KONSEKWENCJE ABDYKACJI POPRZEDNIEGO PAPIEŻA

Benedykt XVI kontra Franciszek – narasta zamęt w Kościele

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 4/357 20–26 STYCZNIA 2020

Ziemkiewicz zdradza, kiedy zniknie WOŚP Owsiaka

JASTRZĘBOWSKI O DODZIE: DODO! WRÓĆ!

W Polsce przybywa przestępstw popełnianych przez imigrantów

Premier Mateusz Morawiecki w rozmowie z „Do Rzeczy":

NIE MA ZGODY NA DYSKRYMINACJĘ POLSKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 04 >
Nakład: 71 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 1425b3815a

Poczta Polska

Pocztex
Kurier Poczty Polskiej

najbliższy punkt odbioru Twojej przesyłki*

- ponad **12 000** punktów odbioru
- śledzenie przesyłki online
- powiadomienie SMS

* dotyczy przesyłek: Paczka+ oraz przesyłek kurierskich Pocztex Ekspres24 i Pocztex Kurier48

pocztex.pl **odbiorwpunkcie.poczta-polska.pl**

eprasa.pl 1425b3815a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Koniec niepodległości

Właściwie powinienem był się już przyzwyczaić. Od kilkunastu miesięcy raz po raz Parlament Europejski organizuje debaty, których głównym celem jest piętnowanie Polski. A ściślej: polskich władz. Kiedy wydawało się, że owe dość rytualne akty potępienia wszystkim się przejadły, że nowi posłowie będą mieli nieco więcej oleju w głowie i szacunku dla demokracji niż ich poprzednicy, okazało się, że nic z tego. Konieczność nieustannego potwierdzania swego oburzenia na państwa, w których rządzi prawica, jest silniejsza od zdrowego rozsądku. Ideologia musi być górą.

Ciekawe, że parlamentarzystom nie przyszło do głowy, iż to, co robią, stanowi drwinę z zasady suwerenności narodu, tak rzekomo ważnej i powszechnie szanowanej. Jak bowiem inaczej nazwać sytuację, w której większość PE potępia raz po raz ustawy polskiego Sejmu, wybranego przecież, kolejny raz w październiku 2019 r., w wolnych wyborach? Jak to możliwe, że kwestie wyraźnie należące do kompetencji państw narodowych – ustrój sądów, sposób ich działania i organizacja – stają się przedmiotem najpierw zainteresowania, a następnie ataku ze strony polityków innych państw?

W ostatniej rezolucji napisano, że w ocenie Parlamentu sytuacja w Polsce i na Węgrzech pogorszyła się od czasu uruchomienia procedury art. 7. Dlaczego? Jak to możliwe, skoro obecny rząd wycofał się przecież z wielu wcześniejszych rozwiązań? Posłowie wezwali też do stworzenia mechanizmu corocznej, międzyinstytucjonalnej kontroli stanu rządów prawa we wszystkich państwach członkowskich. Wszystkich, czyli znowu będzie chodziło o Polskę i Węgry, gdzie rządzi prawica. W praktyce oznaczałoby to powołanie superrządu badającego działalność obecnych polskich władz pod kątem ideologicznej zgodności z unijnymi wytycznymi. Najbardziej zapewne skandalicznym postulatem ze strony PE jest to, że wynik tych kontroli powinien mieć przełożenie na przyznawanie środków unijnych.

Niemal równocześnie z tym apelem o „korzystanie przez Komisję do przysługujących jej narzędzi" w przypadku Polski sama Komisja złożyła do Trybunału Sprawiedliwości wniosek o tymczasowe zawieszenie funkcjonowania nowej Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Uznanie tego wniosku byłoby równoznaczne z tym, że Polska traci zdolność samodzielnego stanowienia swojego prawa. Jak inaczej bowiem nazwać sytuację, w której legalnie wybrany Sejm przyjmuje ustawę, która następnie przechodzi całą drogę legislacyjną po to jedynie, by skończyć w koszu wskutek decyzji TSUE na wniosek KE?

Zarówno rezolucja PE, jak i wniosek Komisji zdają się wskazywać, że dotychczasowa metoda, którą posługiwał się polski rząd, jest nieskuteczna. Ani dialog, ani tłumaczenie, ani wyjaśnienia – nic nie skutkuje. Unijni politycy nie chcą dialogu i porozumienia. Być może w Brukseli uznano, że polska gotowość do rozmów to przejaw słabości. Że należy dokręcić śrubę i zmusić polskie władze do ostatecznej kapitulacji. Wskazują na to choćby bezczelne wręcz próby ingerowania w prace polskiego parlamentu, jeszcze zanim ten w ogóle przyjął ustawę!

Stawką obecnej rozgrywki z UE nie jest już reforma sądownictwa, ale polska niepodległość. Gdyby miało się okazać, że UE jest w stanie zablokować zarówno powołanie Izby Dyscyplinarnej, jak i ustawy dyscyplinującej sędziów, należałoby po prostu zamknąć polski parlament, a pieniędzmi przeznaczonymi na posłów opłacić skutecznych lobbystów w Brukseli. Parlament, w sytuacji, w której przyjmowane przez niego ustawy byłyby skutecznie uchylane przez zewnętrzne instytucje, stałby się przecież jedynie atrapą. Musi uderzać, że nie widzi tego tylu przedstawicieli polskiej opozycji. Jej narodowy nihilizm musi szokować. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM
ZACZYNAMY WALCZYĆ Z ANTYPOLONIZMEM
Nie zrezygnujemy z reformy sądownictwa

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
DAWAJ DIENGI...
Jak w Polsce działają zagraniczni przestępcy

28 MARCIN MAKOWSKI
SĘDZIOWIE WE WŁASNEJ SPRAWIE

31 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DOBROCZYNNOŚĆ ZDEPRAWOWANA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
ODKRĘCANIE LICZNIKÓW

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RUGI UCZELNIANE

38 SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI
DODO! WRÓĆ!

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
OD MARVELA DO HITLERA
Kinowe premiery

46 ROZMOWA Z DOMINIKIEM W. RETTINGEREM
ZBRODNIE POKRYTE PATYNĄ CZASU

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z PROF. JACKIEM CZAPUTOWICZEM
ROSJI BRAKUJE WIARYGODNOŚCI
Świat jest dziś po naszej stronie

58 BŁAŻEJ KMIECIAK
LEWE PRAWA DZIECKA

60 KRYSTIAN KRATIUK
DŁUGI CIEŃ ABDYKACJI

HISTORIA

64 ROZMOWA Z DR. JACKIEM MŁYNARCZYKIEM
POLSKA BYŁA WYJĄTKIEM
Cudzoziemcy w Waffen-SS

67 ADAM ZUBEK
MAPA, KTÓRA OBJAŚNIŁA ŚWIAT

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
MORD, KTÓRY OBUDZIŁ KRAJ
Egzekucja dziennikarza śledczego odmieniła Słowację

74 ŁUKASZ WARZECHA
„ŻYŁEM DOŚĆ DŁUGO". ROGER SCRUTON 1944–2020

76 TERESA STYLIŃSKA
TRZĘSIENIE ZIEMI W PAŁACU BUCKINGHAM

78 MARIA KĄDZIELSKA
GRANICE MODIEGO

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z PROF. WŁADYSŁAWEM MIELCZARSKIM
MASKARADA
Dwutlenek węgla jako narzędzie dominacji gospodarczej

84 OLIVIER BAULT
NIEREFORMOWALNA FRANCJA

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
DEBATA „DO RZECZY". JAK LECZY SIĘ W POLSCE
Podsumowanie roku 2019, plany na 2020: diabetologia, onkologia, choroby rzadkie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (63), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), KUCHARCZYK (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 1425b3815a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Robert Gardziński**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

tym razem dominują listy nienawiązujące bezpośrednio do artykułów z naszych łamów. Dotyczą jednak podnoszonych niejednokrotnie przez „Do Rzeczy" tematów. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

Reparacje czy zadośćuczynienia

W dyskusji o odpowiedzialności Niemiec za straty i zniszczenia wojenne na terenie Polski obok terminu „reparacje" pojawiło się pojęcie zadośćuczynienia. Niektórzy znawcy tematu podnoszą różne wątpliwości co do reparacji (w formie wypłat) i być może pojęcie zadośćuczynienia jest trafniejsze i zapewne mniej kontrowersyjne. Może warto podpowiedzieć naszym drogim sąsiadom formy, w jakich mogliby tego dokonać. Może, na początek, mogliby zbudować np. sieci metra w największych polskich miastach. W pierwszej kolejności w tych, które najbardziej ucierpiały wskutek wojny: w Warszawie, we Wrocławiu, w Gdańsku, ale także w Krakowie, Poznaniu czy Łodzi. I nie chodziłoby o sfinansowanie budowy, ale zbudowanie linii metra własnymi, niemieckimi rączkami.

Adam Zubek

Pożary w Australii

Ostatnio jako dowód na zmiany klimatu podaje się pożary lasów w Australii.

Przed 50 laty byłem na rocznym stażu w CSIRO w Melbourne. Wylatywałem z Polski w lutym przy temperaturze –23 st. C, a lądowałem w Melbourne przy temperaturze 43 st. C . Wtedy też były ogromne pożary lasów. W mojej ocenie to zjawisko naturalne.

Eukaliptusy, dominujące drzewa w lasach naturalnych w Australii, zrzucają w czasie wzrostu korę. W konsekwencji w lasach tworzy się kilkunastocentymetrowa warstwa wysuszonej kory. W trakcie pożaru, np. od wyładowań atmosferycznych, ta kilkunastocentymetrowa warstwa kory jest bardzo trudna do ugaszenia. Tym bardziej że w czasie pożaru wydzielają się duże ilości łatwopalnych olejków. Widziałem taki pożar wokół Melbourne.

Mało kto wie, że pożary lasów eukaliptusowych są częścią tamtego ekosystemu umożliwiającego wzrost nowych eukaliptusów. Nasiona eukaliptusa są szczelnie zamknięte w owocnikach i dopiero w wysokiej temperaturze w czasie pożaru są uwalniane. Dlatego bardzo szybko po pożarze rośnie nowy las.

I jeszcze kilka uwag na temat prof. R. Lindzena. Miałem okazję z nim rozmawiać. Profesor Lindzen co prawda nie kwestionuje efektu cieplarnianego, ale zwraca uwagę, że inne zjawiska, np. zmiany aktywności na Słońcu, odegrały w przeszłości i nadal odgrywają również ważną rolę.

Przy okazji dodatkowa informacja. Polska emituje ok. 330 mln t CO_2/rok, co stanowi ~0,9 proc. światowej emisji (36 800 mln t CO_2/rok).

Serdecznie pozdrawiam
Lucjan Pawłowski

„Sumienie europejskiego liberała", Jan Parys, „DRz" 2/2020

Jan Parys – brawa za odpowiedź Kurtowi Kisterowi i jej ton!
Redakcja – brawa za jej opublikowanie!

Adam Zyzman
Kraków

eprasa.pl 1425b3815a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Łatwy triumf

Kandydat na prezydenta Szymon Hołownia ujawnił w sieci, że na mszy w Warszawie w parafii karmelitów bosych na Solcu ksiądz uchylał się od udzielenia mu komunii (nie do wszystkich dotarła informacja, że kapłan komunii jednak udzielił). Gdy Hołownia zapytał dlaczego, miał usłyszeć: „Sumienie mi nie pozwala. Za poglądy, które pan głosi".

Hołownia relacjonuje dalszy rozwój akcji: „Nie odpuszczam, stoję. Minutę, dwie, trzy. Ksiądz (a w zasadzie ojciec, bo karmelita) grozi mi publicznie palcem, po czym wzdycha i udziela komunii, kręcąc głową, po czym znów grozi mi palcem jak dwuletniemu dziecku".

Do publicysty szybko zadzwonił rzecznik prasowy archidiecezji warszawskiej, który przeprosił go za zaistniałą sytuację. Zapowiedział, że sprawa zostanie formalnie wyjaśniona, a ów zakonnik złamał kościelne przepisy, one bowiem wyraźnie stanowią, w jakiej sytuacji można odmówić komuś komunii. Osobno od karmelity odcięła się parafia na Solcu, deklarując dodatkowo, że zakonnik został „odpowiednio pouczony".

„Przeprosiny przyjąłem, żadnych formalnych skarg składał, rzecz jasna, nie będę" – oznajmił Hołownia.

Przejrzałem zasady udzielania komunii, zastanawiając się, czy jest jakiś zapis usprawiedliwiający, krótkie zresztą, wahanie zakonnika. W grę może wchodzić zdanie o możliwości odmowy sakramentu osobie, która uporczywie tkwi w grzechu ciężkim.

Hołownia nie kryje swych poglądów na kwestie związane ze stykiem wiara – sprawy publiczne. Sam bombarduje nimi Polaków w mediach. Jedne z nich są zgodne z nauczaniem Kościoła katolickiego, ale inne już się z nim mijają lub można uznać je za zgorszenie. W przypadku kandydata na prezydenta nie można uznawać za błahy poglądu Hołowni, że „uważa in vitro za metodę nieetyczną, ale nikomu nie zamierza jej zakazywać". A co z sytuacją, gdy Hołownia kpił z premiera Mateusza Morawieckiego w czasie jego wystąpień do pielgrzymów na Jasnej Górze i go parodiował? Może zakonnikowi utknęła w pamięci deklaracja, że gdy zostanie gospodarzem pałacu prezydenckiego, usunie wszystkie wiszące tam krzyże. Czy to spełnia definicje grzechu ciężkiego? Nie wiem, nie jestem kapłanem. Mogło jednak spowodować chwilę wahania. Wahania przezwyciężonego na korzyść Hołowni, który i tak zrobił ze wszystkiego aferę na cały świat.

Kościół ma na świecie problem, czy udzielać komunii politykom, którzy są jawnymi zwolennikami aborcji. Sprawa nie jest prosta, bo takie odepchnięcie od stołu Pańskiego jest bolesne i wywołuje złe reakcje wiernych. Czy kapłan, znając czyjeś poglądy, może jednak udawać, że niewiele znaczą?

Hołownia nagłośnił sprawę, przedstawił się jako ofiara, zyskał wsparcie większości mediów, kurii warszawskiej, parafii na Solcu. Zakonnik ma nieprzyjemności. Hołownia wygrał, choć mógł potraktować to jako okazję do refleksji nad swoimi poglądami.

Dla wielu wiernych jego pełen pewności siebie ton, w jakim opowiedział całe wydarzenie, rzucił jednak wiele światła na jego styl myślenia. I niekoniecznie przyniesie mu to w kampanii korzyść. © ℗

FOT. SENATE TELEVISION/AP/EAST NEWS

RUSZA PROCES DONALDA TRUMPA

Prezes Sądu Najwyższego oraz członkowie Senatu zostali zaprzysiężeni w procesie prezydenta USA. Na głównego prokuratora wyznaczony został demokrata Adam Schiff. Donald Trump został formalnie postawiony w stan oskarżenia w grudniu, gdy Izba Reprezentantów przegłosowała dwa artykuły impeachmentu, zarzucając przywódcy USA nadużycie władzy i utrudnianie pracy Kongresu. Początek trzeciego w historii Ameryki procesu ws. impeachmentu prezydenta zaplanowano na 21 stycznia. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl 1425b3815a

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 1425b3815a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Marszałkissimus

Polska polityka odnotowała już wiele karier krótkich jak błysk meteoru, ale chyba nikt jeszcze nie tracił powagi i szacunku w tak szybkim tempie jak prof. Tomasz Grodzki. I, paradoksalnie, najmniej szkodzą mu kolejni byli pacjenci, oskarżający o przyjmowanie czy nawet wymuszanie „kopertówek". Wszyscy wiemy, jak jest w służbie zdrowia, i gdyby profesor nie zaplątał się, podając sprzeczne wersje wydarzeń, i nie zaczął groteskowo kreować się na ofiarę „nienawiści" na równi z ks. Popiełuszką, być może wyborcy w ogóle machnęliby na te koperty ręką. Takie rzeczy polski wyborca wybacza.

Być może wyborcy w ogóle machnęliby na te koperty ręką

Nie wybacza natomiast śmieszności. A marszałek Senatu, pozujący na Napoleona i Jana Pawła II w jednym, wygłaszający telewizyjne orędzia nie wiadomo o czym, urządzający audiencje dla ambasadorów i wpraszający się do Komisji Europejskiej i USA na rozmowy o przysyłanych mu z Sejmu ustawach, stał się nieodparcie śmieszny. Zwłaszcza gdy przypadkowe zderzenie operatora TVP ze swoją szefową gabinetu wykorzystał do histerycznych enuncjacji o „agresji" ze strony „szaleńców", do ogłaszania, że jego podwładna padła ofiarą brutalnej napaści i że uderzenie plastikową osłoną obiektywu omalże ją zabiło. Trudno ogarnąć absurd i niewspółmierność reakcji marszałka do zdarzenia.

Cóż, cała Europa widziała swego czasu, jak podczas uroczystej inscenizacji ku czci rocznicy obalenia muru berlińskiego niemiecki kamerzysta wjechał w plecy Lechowi Wałęsie, obalając go na twarz. O dziwo, nikt, włącznie z samym Wałęsą, nie dostrzegł w tym niczego więcej niż niefortunnego wypadku. Rywalizować w przewrażliwieniu na swoim punkcie z samym Wałęsą – przyznają państwo, że to osiągnięcie.

Niestety, wiele z popisów prof. Grodzkiego deprecjonuje nie tylko jego. Żałosne łaszenie się w drętwej angielszczyźnie do zagranicznych gości, mających orzec, jakie prawo wolno Polakom stanowić, było upokarzającym spektaklem lizusostwa i, jak ujął to partyjny kolega „marszałkissimusa", „murzyńskości". Komuniści przynajmniej się swej marionetkowatości wstydzili. Grodzki demonstracyjną uniżonością wobec zagranicy wręcz się przechwala. Im szybciej opozycja zrozumie, jak bardzo wybór takiego marszałka jej szkodzi, i wycofa się z niego, tym lepiej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Prokuratorzy wolności...

Dożyliśmy czasów, w których wolno wszystko. Ot, były komunista Leszek Miller staje się obrońcą demokracji, Lewandowski, gość od wyprzedaży polskiego przemysłu, grzmi w „obronie" gospodarki, a skompromitowani prokuratorzy o wolności. Niejaki Krzysztof Parchimowicz, szef Stowarzyszenia Prokuratorów „Lex Super Omnia" (wspierającego sędziów w protestach), wyszedł z pomysłem przyznawania wytypowanym przez jego środowisko tytułu „Prokurator wolności". Miałaby to być kontynuacja idei prokuratora Andrzeja Jacka Kaucza.

Można by rzec – jacy prokuratorzy, taka wolność. Ów Kaucz w PRL stworzył „brygady tygrysa" zajmujące się ściganiem prywatnych przedsiębiorców. Nie inaczej to wyglądało w III RP – we Wrocławiu funkcjonował tzw. układ Kaucza, a stanowiska w prokuraturze obsadzali ludzie tacy jak Zbigniew S., Tadeusz M. czy Stanisław O., którzy zasłynęli ustawianiem śledztw, korupcją, niszczeniem przedsiębiorców.

Mam kilka typów dla typów ze środowiska „prokuratorów wolności". Mogliby za takiego uznać np. Roberta Mielczarka, który niesłusznie wpakował do aresztu właścicieli Bestcomu, niszcząc firmę, albo Romana Pietrzaka, który doprowadził do zamknięcia na 27 miesięcy innego przedsiębiorcy, twierdząc, że ten na wyspie (która nie istniała) produkował narkotyki. Szefową jury mogłaby zostać – dziś zbuntowana przeciw władzy – sędzia Aleksandra Kussyk, która trzy lata trzymała w więzieniu Maćka Dobrowolskiego na podstawie wartych funta kłaków zeznań „skruszonego" dilera narkotyków.

Że nie zasłużyli? Zasłużą, jeśli będą wystarczająco głośno krzyczeć, że rząd jest „be", a sędziowie i stara prokuratorska gwardia OK. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

REKLAMA

PRESTIŻOWY DOM

Gratka dla miłośników nowoczesnego designu,
unikatowych mebli i wyrazistych akcesoriów.
Najlepsi projektanci z całego świata.
Atrakcyjne ceny, rabaty do -70%.

PARK HANDLOWY DLA
DOMU I OGRODU
ul. MARYWILSKA 44, WARSZAWA

TEL. 888 154 044
GODZINY OTWARCIA
10.00-19.00

REKLAMA

TOTALIZATOR SPORTOWY WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL STYLOWI.PL Multikino DO RZECZY GAZETA POLSKA niezależna.pl NOWE PAŃSTWO Militaria.pl

eprasa.pl 1425b3815a

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Podzwonne dla Pansy

W Rzymie tydzień temu w wieku 84 lat zmarł jeden z czołowych włoskich dziennikarzy i publicystów, autor 60 książek Giampaolo Pansa. Był człowiekiem uczciwym i odważnym, za co przyszło mu zapłacić.

Republika włoska ufundowana została na dwóch fałszywych mitach. Pierwszy mówi o szlachetnych i patriotycznych tradycjach komunistycznej partyzantki, która obaliła faszyzm. Drugi każe wierzyć, że pod koniec 1943 r. naród ciemiężony przez przybyłych z kosmosu faszystów chwycił za broń i ich przegnał.

Pansa po latach błyskotliwej kariery postanowił te mity obalić. W 2003 r. napisał „Krew zwyciężonych". Książka wstrząsnęła Italią. Traktowała o zbrodniach włoskich komunistów pod koniec drugiej wojny i tuż po jej zakończeniu. Ich ofiarą padło ok. 20 tys. osób, faszystów i ich rodzin, a także „wrogów klasowych" – przedsiębiorców, duchownych, właścicieli ziemskich. Mordowali nawet niekomunistycznych partyzantów, którym idea przekształcenia Italii w republikę sowiecką nie przypadła do gustu. Tak zamordowany został Guidalberto Pasolini, brat słynnego reżysera Piera Paola. Pansa odważył się również napisać, że od końca 1943 r. w Italii toczyła się wojna domowa, a nie ludowe powstanie przeciw faszystom-kosmitom i Niemcom.

Lewica, mimo że Pansa był lewicowcem, wyklęła go, oskarżając o rewizjonizm („Pies łańcuchowy neofaszyzmu"). Lewicowi bojówkarze zakłócali przebieg spotkań autorskich Pansy, a nawet atakowali ich uczestników. Obsobaczono go w wiodących mediach i naturalnie w sieci. Zamordystom i hejterom, do których należeli również czołowi włoscy intelektualiści, Pansa poświęcił kolejną książkę „Żandarmi pamięci" i oskarżył lewicę o świadome ukrywanie historycznej prawdy.

Ci sami ludzie, mający nadal w Italii ogromne wpływy, nie dopuścili do realizacji serialu TV RAI na podstawie „Krwi zwyciężonych". W lewicowym dzienniku internetowym „Contropiano" pożegnali go słowami: „Obyś gotował się wiecznie we Flegatonie dantejskiego piekła" (rzeka wrzącej krwi – przyp. P.K.). ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Prosto z frontu

W światowej polityce robi się coraz bardziej niespokojnie. Z jednej strony Amerykanie wysyłają drona na irańskiego generała, z drugiej media publiczne kamerę na urzędniczkę polskiego Senatu. Oddajmy głos reporterowi wojennemu, prowadzącemu twitterowy profil izby wyższej parlamentu: „Skandaliczne zachowanie ekipy TVP Info wobec dyrektor gabinetu Marszałka Senatu! Małgorzata Daszczyk została uderzona w głowę kamerą. Obecnie przebywa w szpitalu. Złożyliśmy wniosek o odebranie akredytacji prasowych dla ekipy biorącej udział w zdarzeniu".

„To niebywałe! Do agresji werbalnej ze strony TVP dochodzi jeszcze agresja fizyczna!" – oburzył się poseł Jan Grabiec, udostępniając wideo z senackiego monitoringu. „Tomografia głowy, objawy wstrząśnienia mózgu, szok. Mogło się skończyć bardziej tragicznie. Powstrzymajmy tych szaleńców!!!" – dodał marszałek Tomasz Grodzki.

„Wbrew niektórym komentarzom uważam, że nie można wykluczyć, że uderzenie zadane przez operatora TVP było intencjonalne. Zapis wideo moim zdaniem sugeruje taki wariant. Powinien się wypowiedzieć biegły w ramach transparentnego śledztwa" – o powołanie komisji zaapelował Roman Giertych.

„Operatorzy, z którymi ponad dekadę pracowałem w TVP, nieraz ryzykowali życie. Nieraz zdrowie. Dałbym się za nich pokroić. Każdy z nich po takiej akcji od razu pojechałby z kwiatami do tej urzędniczki i przeżywałby tę historię tygodniami" – podsumował Kamil Dziubka. A że w rzeczywistości było to niefortunne zdarzenie i nadgorliwość dziennikarzy, którzy goniąc marszałka, nie zauważyli wychodzącej zza filara kobiety? I że danych medycznych nie udostępniono? Cóż.

Z wydarzeń istotnych: wielki come back. „Wróciłem. Polityka trzymania mordy na kłódkę tylko dlatego, że ktoś w prokuraturze, wysoko, w samej Warszawie, może mi utrudnić życie, to durna polityka. Dzień dobry, Kochani. Dostaniecie to, co jestem Wam winien. Dostaniecie prawdę. Dzięki, że jesteście" – tweetnął Kamil Durczok. „Kciuki i żółwik" – odpisał mu inny represjonowany przez system, Mateusz Kijowski. Czy nie pięknie się panowie dobrali? ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
T. KOWALIK I P. SŁOWIŃSKI
„DRAGI I WOJNA"

~~740 ZŁ~~ > **280,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 460 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1425b3815a

JESZCZE WIĘCEJ PRZEMYŚLEŃ

Kinga Rusin na jakiś czas zniknęła z mediów społecznościowych. Nie zdążyliśmy się jednak tym nacieszyć, bo po chwili nieobecności postanowiła wszem wobec ogłosić, że już wraca. Niestety. „Wracam! Przepraszam za chwilową ciszę. Była mi bardzo potrzebna. Tyle smutnych i przerażających rzeczy działo się w ostatnich tygodniach, że zamieszczanie postów w tym czasie uznałam, w moim przypadku, za nie na miejscu" – wytłumaczyła swoje milczenie. „Ciszę przerwałam raz. Ale trzeba wrócić do rzeczywistości i do działania! Mam wiele przemyśleń i wiele planów, które stopniowo zamierzam teraz wprowadzać w życie" – dodała. Nie możemy się doczekać. Zwłaszcza tych „wielu przemyśleń". Zapowiada się intelektualna uczta!

INTERES ŻYCIA

Gwiazdy mniejsze i większe jak co roku w ramach zaangażowania w akcję WOŚP ruszyły do wystawiania na licytacjach swoich ubrań, autografów, pamiątek, mniej lub bardziej cennych rzeczy. Co prawda trudno przebić państwo Rozenków, którzy rok temu wystawili na aukcję swoje zamknięte w butelce oddechy, ale niektórym prawie się to udało. Otóż blogerka modowa Kasia Tusk, prywatnie córka byłego premiera Donalda Tuska, wystawiła na aukcję spacer z nią samą i jej psem. Bonusem jest wizyta – uwaga! – w jej mieszkaniu, aby każdy mógł się przekonać, „jak małe jest w rzeczywistości". Mogła pójść za ciosem i w pakiecie z wyprowadzeniem psa zaproponować posprzątanie mieszkania. Pewnie trzyma to w zanadrzu na przyszłoroczną licytację. To się nazywa łeb do interesów!

CELEBRYTKA Z GŁOWĄ?

Celebrytka Izabela Janachowska wpadła na genialny pomysł, by zachęcić swoich fanów do zaangażowania się w pomoc płonącej Australii.

FOT. PAWEŁ CROMADA

Zaproponowała, by każdy wpłacał na rzecz organizacji pomagających Australii równowartość swoich ostatnich zakupów. Ona sama na zachętę wpłaciła 645 zł, bo tyle zapłaciła w jakiejś drogerii. Swoją akcję nazwała „Shopping for Australia". Pomysł ostro skrytykowała znana recenzentka polskiego show-biznesu Karolina Korwin-Piotrowska, zarzucając Janachowskiej „bezmyślne propagowanie konsumpcjonizmu", i nazwała ją i celebrytki, które dołączyły do akcji (np. Małgorzatę Rozenek), „oderwanymi od rzeczywistości". – Chęć pomocy jest super, ale pomagajmy z głową – zaapelowała na koniec. Raczej kiepskim pomysłem jest apelowanie do celebrytek o zdrowy rozsądek. Przecież gdyby go w najmniejszym stopniu przejawiały, nie byłyby celebrytkami.

BOHATERKA WE WŁASNYM DOMU

Wielki życiowy sukces odniosła Marina Łuczenko-Szczęsna, żona-celebrytka bramkarza reprezentacji Polski. Pochwaliła się na Instagramie, że sama, własnymi rękami skręciła swojemu dziecku zabawkę! A konkretnie drewnianą kuchnię.

„W związku z tym, że Liam przejawił zdolności kulinarne, będziemy zaraz skręcać kuchenkę dla dzieci. Zobaczymy, czy dam radę, ale mamuśki to są super bohaterki. Myślę, że z pomocą Liamka mi się uda" – relacjonowała przejęta celebrytka. „Słuchajcie, kuchenka jest już gotowa, zajęło mi to kilka godzin, myślę, że gdy Liamek się obudzi, to będzie zadowolony. Uwielbia spędzać czas w kuchni i zawsze kręci się pod nogami" – ekscytowała się celebrytka. „Początek był najtrudniejszy i powiem wam, że jestem z siebie cholernie dumna". Za taki wyczyn to jakiś medal jej się należy! Albo od razu indeks na politechnikę. ©℗

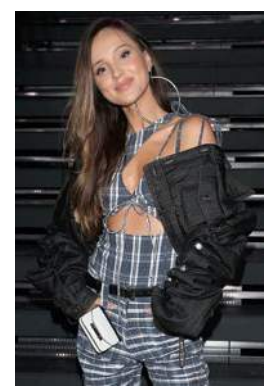

FOT. EAST NEWS (2), REPORTER

eprasa.pl 1425b3815a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w tym tygodniu młodzież będzie zmuszana przez tradycję i atmosferę w tym kraju do celebrowania dnia osobodziadka i osobobabci.

Zwróćcie uwagę, jak bardzo radykalnie patriarchalne są te święta. Po pierwsze, z jakiegoś powodu nie można świętować obu dni jednego dnia – pewnie chodzi o tę polską skłonność do przesady i hulanek, a odkąd seniorzy dostają 13. emeryturę, stać ich na wystawianie przyjęć dla osobownuków.

Po drugie, jaki stereotyp dziadka funkcjonuje w mediach? Wąsaty, rubaszny, wszystko naprawi i zna się na sporcie. A babci? Że przytuli i ulepi pierogi.

Widać więc od razu, iż dziadek jest traktowany w społeczeństwie jako ekspert, a babcie niestety muszą przebijać szklany sufit, iżby zasłużyły na uwagę z innego powodu niż ich umiejętności kulinarne.

No i ostatnia sprawa – tak naprawdę nikt nie spyta babci, czy na pewno czuje się babcią, a nie dziadkiem – i odwrotnie. A jeśli dziadkowie w ogóle są niebinarni? Czy takie dni wciąż powinny się odbywać? Sami sobie odpowiedzcie (podpowiadamy, iż nie).

Kończy się pewna epoka w polskiej polityce, iż Grzegorz Schetyna nie będzie kandydował na prezesa Platformy Obywatelskiej.

Nie wiemy jednak, czy się smucić, czy cieszyć, bo nikt nam tego do końca jeszcze dobrze nie wytłumaczył. Nas cieszy bardziej to, iż Platforma z pewnością trafi w dobre ręce. Borys Budka, Tomasz Siemoniak czy Joanna Mucha to nie są przecież osoby przypadkowe, prawda?

Platforma w ogóle potrzebuje naszym zdaniem jakiegoś nowego pomysłu na siebie. Tutaj widzimy możliwość wejścia w ostry spór z pis, punktowanie jego programu, bycie ostrą i nieprzejednaną opozycją, a jednocześnie tak bezlitośnie merytoryczną i świetnie zorganizowaną jak do tej pory.

Nie ma wyjścia, sukces wtedy sam nadejdzie.

Taki amerykański pisarz Stephen King napisał na Twitterze, iż jego zdaniem w przypadku sztuki powinna być brana pod uwagę jakość, a nie różnorodność.

Tymczasem w gronie aktorek i aktorów nominowanych do Oscara/y jest tylko jedna osoba pigmentalnie uposażona.

King wykazał się ogromnym brakiem wyczucia i taktu, iż takie nominacje są jednoznacznie rasistowskie i faszystowskie. Poza tym jakości nie da się obiektywnie ocenić, a różnorodność – tak.

Dlatego naszym zdaniem ważniejsze są różnorodność i prawa mniejszości, a nie jakość i walory artystyczne, iż te są dyskusyjne, a King niech wraca pisać następne książki o jakichś krwiożerczych samochodach xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Konkretnie

Szymonie, czy możemy chwilkę pogadać?
Oczywiście, Michale. Słucham cię.

Analizowałem twoje występy medialne. Odniosłem wrażenie, że dobrze by było, gdybyś wyrażał się w sposób nieco bardziej zdecydowany.
Hm... Ciekawy postulat. Co masz konkretnie na myśli?

Z badań nam wychodzi, że wszystko jest świetnie, ludzie cię uwielbiają, są zachwyceni, że ktoś spoza polityki startuje, tylko chcieliby mieć większą jasność, jeśli idzie o twoje stanowisko w pewnych sprawach.
W jakich konkretnie?

Weźmy np. 13. emeryturę. Utrzymać czy nie utrzymać. Jak byś odpowiedział?
Bardzo ciekawe pytanie. To znaczy nie twoje – to: jak bym odpowiedział – chociaż ono też jest ciekawe, ale tak bym odpowiedział na początek: bardzo ciekawe pytanie. Bo to dobrze nastawia pytającego od razu, rozumiesz?

Chyba tak...
No właśnie.

A dalej?
Coś w ten deseń: bezpieczeństwo socjalne Polaków jest niezwykle ważne, więc wszelkie tego typu decyzje trzeba podejmować z jego uwzględnieniem, ale zarazem nie pochopnie i po wnikliwej... Michał! Śpisz? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ludzie, którzy przeszli przez takie trudne doświadczenia, uzyskują poczucie bardzo dużej siły i ja takie poczucie dużej siły mam".

JOANNA MUCHA, *posłanka PO, o tym, że dojeżdżała na studia autobusami*

eprasa.pl 1425b3815a

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl 1425638 15a

CARSKA ROSZADA PUTINA

Niespodziewane zmiany w Moskwie. W zeszłym tygodniu 67-letni Władimir Putin, który władzę w Rosji sprawuje już od ponad 20 lat, wygłosił orędzie, zapowiadając poważne reformy konstytucyjne. Ich cel jest jasny: nowe zapisy mają umożliwić obecnemu prezydentowi dalsze sprawowanie władzy absolutnej po zakończeniu obecnej, czwartej już kadencji prezydenckiej w roku 2024.

Takie „reformy" nie są niczym nowym w świecie autorytarnych władców. Podobnego manewru dokonał pod koniec ubiegłej dekady władca absolutny Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew. Również Raúl Castro po ustąpieniu z funkcji prezydenta, którą pełnił 12 lat, zachował potężne wpływy jako sekretarz generalny Partii Komunistycznej.

Aby umożliwić prezydentowi dokonanie zmian w ustawie zasadniczej, do dymisji natychmiast podał swój gabinet premier Dmitrij Miedwiediew. Lojalny człowiek Putina, który grzecznie przypilnował dla swojego szefa fotel prezydenta, gdy ten zgodnie z konstytucją musiał na cztery lata opuścić Kreml, tym razem został złożony jako kozioł ofiarny na ołtarzu rosnącego niezadowolenia Rosjan z sytuacji ekonomicznej w ich kraju i odsunięty na podrzędne stanowisko.

Nowym premierem Rosji został Michaił Miszustin. Nieznany szerzej ekonomista i były szef służb podatkowych, o którego istnieniu do zeszłego tygodnia pojęcia nie miała anglojęzyczna Wikipedia. Kandydaturę Miszustina – mimo braku programu i szczegółowych planów choćby na to, kim obsadzić poszczególne resorty – błyskawicznie przegłosował rosyjski parlament. I trudno się temu dziwić, bo głównym zadaniem „technicznego premiera" będzie po prostu wykonywanie poleceń prezydenta.

Rządowa rewolucja powinna dać Putinowi zastrzyk przychylności Rosjan oraz kupić trochę czasu na dopracowanie formuły, która ma zapewnić mu dożywotnią władzę. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. ALEKSEY NIKOLSKYI/SPUTNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 1425b38156

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Zaczynamy od sprawy najważniejszej: przyszłości naszej planety. Mało kto wie, że w tej właśnie sprawie cudowne dziecko, połączenie Bono, papieża Franciszka i Pippi Langstrump, przyjechało do Polski. Przyjechało, podkreślamy, bo przecież Greta Thunberg nie lata.

Skoro Gretę widziano najpierw w Gdańsku, gdzie szamała w wegańskich restauracjach, to musiała nawet nie przyjechać, ale przypłynąć. Co nas martwi. Gdyż co prawda pływanie to nie latanie i efektu cieplarnianego nie zwiększa, ale za to bardzo stresuje ryby w Bałtyku. Następnym razem sugerujemy więc jazdę rowerem przez Finlandię, Rosję i kraje bałtyckie. Nie lubimy smaku zestresowanych dorszy.

Ujawniamy. Greta Thunberg była nie tylko w Gdańsku. Także w Bełchatowie. Udała się tam, by zbadać osobiście wpływ wielkiego szejtana emisyjnego na stan powietrza. To, co ujrzała, musiało wpędzić ją w depresję, gdyż nasze wiewiórki były świadkami, jak Greta Thunberg na stacji benzynowej w Bełchatowie wpieprza hot doga.

Odcinamy się od tych, którzy powyższe interpretują jako wsparcie Grety Langstrump Thunberg dla sektora spalania paliw oraz hodowli mięsa, która to hodowla – jak wiadomo – zanieczyszcza powietrze. Greta jest z pewnością świadomą osóbką i dobrze wie, że w Polsce hot dogi robi się z kartonu zmielonego z papierem toaletowym i ze starymi szmatami. Jest to więc danie w pełni wegańskie.

Tymczasem w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. W ubiegłym tygodniu odbyło się tam tradycyjne spotkanie noworoczne z mediami. Polega ono na obfitym podlewaniu przedstawicieli mediów oraz karmieniu ich po gardłodziurki. Co bardzo nam się podoba, gdyż dobrze rozwiązuje języki.

Pewnym zaskoczeniem było to, że najwięcej emocji wzbudziło nie życie wewnętrzne pałacu, lecz kwestia nazewnictwa. Inna sprawa, że w poprzednich latach nie objawiał się tak ciekawy temat do rozmowy jak marszałek Senatu Tomasz Grodzki. My, jak pamiętacie, nazywamy go Smerfem Ważniakiem. R.A.Z. uważa, że to marszałkissimus. Goście prezydenta Andrzeja Sebastiana po długiej dyskusji skłonili się ku terminowi „Tomasz III Grodzki". Dlaczego trzeci, zapytacie? No, trzecia osoba w państwie!

Skoro już o Senacie, warto odnotować, że tzw. senator niezależny Wadim Tyszkiewicz zaoferował w ramach walki z PiS rezygnację ze swojego mandatu. Popieramy ten pomysł. Sugerujemy zmiany w prawie, dzięki którym taki niechętny mandatowi osobnik mógłby go oddać od razu przedstawicielowi ugrupowań konkurencyjnych. Skoro bowiem „polityka jest obrzydliwa. To nie mój świat i błędem było wchodzenie w tę matnię" – jak pisze senator Wadim – to należy ją w całości pozostawić obrzydliwcom. A wiadomo, gdzie się kryją. Tylko w PiS.

W kwestii reelekcji prezydenta Andrzeja Dudy wśród ważnych PiS-owców panuje umiarkowany, ale jednak optymizm. Ostatnio podtrzymują go wyniki analiz. Są to analizy porównawcze, z których wynika, że sporo jest gmin, gdzie w wyborach 2015 r. kandydat Andrzej Sebastian miał większe poparcie niż Zjednoczona Prawica w rekordowych dla PiS wyborach parlamentarnych 2019 r. Stąd przekonanie o rezerwach, które da się zmobilizować.

Tymczasem PeŁo zapowiada, że w odróżnieniu od Hanki Bufetowej-Waltz Grodzkiego będzie bronić do upadłego, jak niepodległości (wiemy, wiemy, w przypadku PeŁo to ryzykowne porównanie). Co bardzo nas cieszy. Lubimy obserwować ludzi biegnących sprintem na zderzenie ze ścianą. Tak się bowiem składa, że CBA w sprawie Grodzkiego, kopert i innych takich obyczajów przesłuchało już kilkanaście osób. A to dopiero początek. Efekty zaś już są interesujące.

À propos najważniejszych osób w państwie. Kaczor Dyktator, jak wiecie, dochodzi do siebie po operacji kolana. I jak mówią wiewiórki, okrutnie rwie się do pracy, choć wciąż wygląda mizernie. Na razie jednak to praca przychodzi do niego. Przynoszą ją nie tylko premier Mateusz oraz ważni nababowie z PiS. Ostatnio przyuważono ważnego przedstawiciela mediów telewizyjnych. Uwaga, teraz będzie zaskoczenie. Komercyjnych mediów. Pst, więcej nie możemy powiedzieć.

Zmiany, zmiany, zmiany. Nadchodzą i będą głębokie tudzież zaskakujące. W kierownictwie PiS panuje bowiem przekonanie o potrzebie głębokiej reformy kierownictw rozmaitych spółek Skarbu Państwa. Nominacja Jerzego Kwiecińskiego do PGNiG to dopiero początek. Zatem minister Sasin ręce ma pełne roboty.

À propos zmian. Są takie stanowiska w III RP, na których ciąży jakaś klątwa. I do tej pory nikomu nie udało się jej zdjąć. Chodzi o funkcję prezesa IPN i szefa CBA. Chociaż prawo daje w obu przypadkach możliwość przedłużenia kadencji, to w praktyce wszyscy dotychczas stojący na czele tych instytucji nie zdołali objąć jej po raz drugi. Wydawało się, że fatum to zostanie przełamane, skoro PiS wygrał drugą kadencję. Tymczasem wiele wskazuje na to, że tak się nie stanie.

Już tłumaczymy. Pod dziesiątkami, jak popularnie mówi się na centralę CBA, coraz głośniej słychać, że szef biura Ernest Bejda zastanawia się nad swoją przyszłością. Kadencja upływa mu już 19 lutego. Podobne głosy o możliwej zmianie i nowej przyszłości dochodzą do nas z Wołoskiej, gdzie mieści się centrala IPN.

Jednak CBA nie jest jedyną służbą specjalną, w której może dojść do wymiany szefa. Podobne głosy dobiegają nas znów z Rakowieckiej, gdzie mieści się siedziba ABW. Pogonowski,

eprasa.pl 1425b3815a

zwany również Pogonem, zwany również profesorem, skarży się na syndrom wypalenia.

Tak, działa już giełda nazwisk związana z typowaniem nowych szefów wszystkich powyższych instytucji. Potrzymamy Was jednak jeszcze w niepewności do przyszłego tygodnia.

Nie sprawdziły się natomiast na razie pogłoski, że bp Piotr Libera, który ostatni czas spędzał w pustelni u kamedułów, nie powróci już do swojej diecezji w Płocku. Następcy, którzy już widzieli się w fioletach, muszą jeszcze poczekać.

Są też zmiany wiszące w powietrzu, odłożone tylko w czasie. Różne mądrale opowiadają po mediach, że sytuacja w Senacie zależy od wyniku wyborów prezydenckich. My wiemy z kolei, że znacznie bardziej prawdopodobne są w sejmiku. Mazowieckim. Tam bowiem krecia robota PiS nie ustaje ani na moment. Celem kreciej roboty jest uzyskanie większości i wysłanie marszałka Struzika na niezasłużoną emeryturę.

Bardzo ucieszył nas tymczasem na Marszu Tysiąca Tóg widok znanego sędziego Piotra Najsztuba. Dzięki temu problem z wymyśleniem prześmiewczej nazwy dla tego tragikomicznego przedsięwzięcia mieliśmy z głowy. Marsz Tysiąca Tub.

Prawie tak bardzo zaskakujące jak przejście Najsztuba do stanu sędziowskiego było ogłoszenie przez Maggie Gersdorf, że togi sędziowskie to żadne wielkie halo, tylko takie tam przebranie, jak w przedszkolu. Coś jak fartuszek. Hm. A do tego kielnia?

Powiedzmy od razu: Marsz Tysiąca Fartuszków – to brzmi bosko. Czekamy więc na kolejną edycję. Mamy nadzieję, że impreza wpisze się na stałe do kalendarza ulicznych spędów, wraz z Paradą Równości oraz Marszem Wolności. Jesteśmy nawet za połączeniem tych trzech imprez w jeden marsz. Tak się bowiem składa, że uczestnicy Parady Równości lubią się bardzo przebierać, nie tylko w sutanny, lecz także togi. A uczestnicy Marszu Wolności opowiadają te same dyrdymały co uczestnicy Marszu Tysiąca Fartuszków.

Peło zapowiada, że Grodzkiego będzie bronić do upadłego, jak niepodległości (wiemy, wiemy, w przypadku Peło to ryzykowne porównanie)

Na koniec refleksja cywilizacyjna. Pochodzi z „GazWybu", który pochylił się nad życiem singli w Warszawie. „Ubierają się w second handach, jeżdżą rowerem, pralkę kupują im rodzice. Bo ich nie stać". Well, drogi Watsonie, to chyba wyjaśnia, dlaczego są singlami. „Żyją z miesiąca na miesiąc, nie oszczędzają, do kina chodzą w tanie poniedziałki. Pracują w teatrach, są dziennikarzami, wykładają na uczelniach". A to ostatnie już definitywnie wyjaśnia kwestię singlizmu. Też byśmy takich osobników na życiowych partnerów nie wybrali. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 1425b3815a

Z premierem Mateuszem Morawieckim
rozmawiają Paweł Lisicki i Kamila Baranowska

Zaczynamy walczyć z antypolonizmem

„DO RZECZY": Mamy nową kadencję Sejmu. Czym będzie się różniła od tej poprzedniej?

MATEUSZ MORAWIECKI: Druga kadencja rzeczywiście ze względu na cele, które sobie stawiamy, ma inny charakter. Pierwsza kadencja to walka z patologiami i niedoskonałościami III RP – nazwijmy to tak litościwie. Zbudowaliśmy podstawy godnego życia dla milionów Polaków. Druga kadencja to realizacja planu odpowiedzialnego rozwoju – lepsze drogi, lepsze połączenia kolejowe, także, a może zwłaszcza, na poziomie lokalnym, budowa polskiego kapitału, rozwój krajowych firm i lepszy rynek pracy. Słowem, wyższy poziom życia dla ludzi i zarazem skok cywilizacyjny Polski. Do tego dochodzi uniezależnienie energetyczne Polski od Rosji, wyzwania klimatyczne, poprawa jakości służby zdrowia i edukacji, załatwianie wszelkich spraw urzędowych przez Internet. Tych wyzwań jest naprawdę sporo, żadne z nich nie jest łatwe. Niektóre zajmą może nawet dekadę, ale musimy i chcemy przekonać Polaków jakością naszego rządzenia, że jesteśmy właściwymi ludźmi na właściwym miejscu.

Krótko mówiąc, poprzednia kadencja służyła naprawie zaniedbań odziedziczonych, a teraz rząd stawia przed sobą nowe, pozytywne cele?

W pewnym uproszczeniu – tak. Chociaż cele poprzedniej kadencji również były pozytywne. Wyciągnięcie z biedy milionów ludzi, likwidacja skrajnego ubóstwa wśród dzieci poprzez program „500+" – to wszystko stworzyło szanse rozwojowe dla wielu grup społecznych, przed którymi III RP zamykała drzwi. Dla ludzi, którzy na swojej drodze zamiast wsparcia ze strony państwa napotykali szklane sufity. Poprzez politykę społeczną redukowaliśmy deficyty społeczne; poprzez zmiany w podejściu do rozwoju Polski zapomnianej po 1989 r. promowaliśmy mocno rozwój infrastruktury lokalnej, gminnej i powiatowej, wiedząc, że to klucz do wzrostu gospodarczego, rozwoju mobilności w tych miejscach; poprzez politykę zagraniczną, obecność wojsk NATO w Polsce, staraliśmy się poprawić znacząco nasze bezpieczeństwo. Można też powiedzieć, że w dużym stopniu koncentrowaliśmy się na udoskonalaniu instytucji – walka z mafiami VAT-owskimi, budowa krajowej administracji skarbowej. To dało nam ogromną szansę na zmiany gospodarczo-społeczne.

I co dalej?

Teraz patrzymy, o co toczy się walka na świecie, gdzie pojawiają się szanse na zbudowanie przewag polskiej gospodarki na globalnych rynkach. Wiadomo, że nie we wszystkim będziemy najlepsi i doskonali. Jednak na potwierdzenie dobrego kierunku, który obraliśmy, mam najświeższe dane dotyczące handlu zagranicznego. W listopadzie odnotowaliśmy najwyższą nadwyżkę w historii! To 3,2 mld dol. przewagi eksportu nad importem. To nie przyszło samo.

O czym to świadczy?

To świadczy o tym, że polski eksport jest konkurencyjny względem eksportu całego świata. Nasze działania społeczne, gospodarcze, finansowe, podatkowe doprowadziły do poprawienia jakości PKB. W krótkim terminie wysoki wzrost PKB jest bardzo łatwo wygenerować poprzez wysoki dług publiczny. Platforma Obywatelska na przykład skonsumowała 160 mld zł z OFE. Wchłonęła środki do budżetu, jednocześnie tworząc sobie ekstraprzestrzeń budżetową. To bardzo łatwy ruch z punktu widzenia rządzących. Dużo trudniej jest zaaplikować odpowiednie instrumenty analizy danych, big data, narzędzia informatyczne, które pozwolą skutecznie zwalczyć patologie podatkowe i w ten sposób wygenerować in plus kilkadziesiąt miliardów rocznie. To zrobiliśmy i to będzie służyło rozwojowi na przyszłość. Dziś już każdy wie, że Polska nie jest oazą spokoju dla przekrętów podatkowych.

Jednym z wyzwań będzie też walka o przeszłość i pamięć historyczną. Kilkanaście miesięcy temu wraz z premierem Izraela podpisał pan porozumienie mówiące, że oba państwa będą walczyły z przejawami antypolonizmu. Tymczasem na uroczystości w Yad Vashem, upamiętniającej wyzwolenie obozu Auschwitz, nie ma zgody na przemówienie polskiego prezydenta. Jak to rozumieć? Tamten dokument już nie obowiązuje?

Polityka i podejście do historii nie powinny dzielić nas i Izraela. Oba narody padły ofiarą tych samych zbrodniarzy.

eprasa.pl 1425b3815a

Głównie niemieckich zbrodniarzy, ale również sowieckich, komunistycznych, czego w głównej mierze doświadczyli Polacy. Łączą nas wspólna historia i wspólne cierpienia. W odniesieniu do walki o prawdę historyczną wydobywamy się z jeszcze ciemniejszego kurhanu niż w wielu innych wymiarach, bo proszę sobie przypomnieć, jak wyglądała percepcja światowa w odniesieniu do takich zjawisk jak nazywanie obozów koncentracyjnych „polskimi obozami śmierci". To, co udało nam się zrobić, również dzięki podpisaniu deklaracji polsko-izraelskiej, jest ogromną zmianą. Jeśli ktoś spytałby mnie pięć lat temu, czy wierzę w aż tak głęboką zmianę, to pewnie byłbym człowiekiem małej wiary.

Na czym konkretnie ta zmiana polega?

Zdaję sobie sprawę z tego, że zmiany w świadomości narodów, państw, przedstawienie własnej prawdy historycznej po 60 czy 70 latach gwałtu na polskiej duszy, zakłamywania historii i przedstawiania jej w sposób niezgodny z polską racją stanu nie dzieją się z dnia na dzień. Ostatnie lata pokazały jednak, że poprzez zdecydowaną walkę o prawdę za granicą można doprowadzić do ogromnej poprawy postrzegania prawdy historycznej. Antypolonizm pojawił się w tym oświadczeniu po raz pierwszy, więc czeka nas kilka lat trudnej pracy, bo na przykład z antysemityzmem walczymy od kilkudziesięciu lat na całym świecie. Z antypolonizmem dopiero zaczynamy walczyć, ale głos prezydenta Steinmeiera 1 września, głos kanclerz Merkel 6 grudnia, podkreślających winę niemiecką i zbrodnię niemiecką w tak jednoznaczny sposób, był jeszcze kilka lat temu nie do pomyślenia, jeśli przypomnimy sobie choćby serial „Nasze matki, nasi ojcowie", promowany w niemieckiej telewizji i polskiej – niestety – też. Dzisiaj wyraźnie widać, że doszło do poważnego i pozytywnego dla Polski przewartościowania w postrzeganiu fundamentalnych spraw.

To dlaczego podczas uroczystości w Yad Vashem głos dostał prezydent Putin, który od miesięcy prowadzi ostrą antypolską kampanię, a nie prezydent Duda?

Być może dlatego, że organizatorem i sponsorem tej imprezy jest jeden z głównych współpracowników Władimira Putina, któremu nie udało się przejąć kontroli nad jedną z głównych polskich spółek – nad polskimi Azotami? To jest oczywiście domniemanie, ale nie jest to pozbawione podstaw i poszlak, które do nas docierają. Pan prezydent, mając do czynienia z jawnym lekceważeniem i takim podejściem, podjął decyzję, że nie może tam pojechać i milczeć w obecności prezydenta Putina, który będzie rzucał kalumnie, jak to robił w ostatnich tygodniach, próbując zmienić historię według aktualnych interesów Kremla. Mamy słuchać kłamstw, kiedy nie możemy powiedzieć prawdy? Nie. To już minęło.

Spodziewa się pan kolejnych, mocniejszych ataków?

Musimy być na nie przygotowani. I jesteśmy. W momencie, kiedy pogarsza się sytuacja społeczna w Rosji, tak jak się dzieje teraz, gdy maleje poparcie dla władzy, co koresponduje z kłopotami na arenie międzynarodowej i ze zmianą całego rządu w Rosji, szuka się wroga zewnętrznego, by skupić społeczeństwo wokół wyrazistego celu. Prezydent Putin, mówiąc brednie o Polsce, trafił kulą w płot, bo nasza deklaracja dotarła do ponad 2 mld osób na całym świecie i spotkała się w ogromnej większości z pozytywną reakcją. Okazało się, że skutek działań Putina jest odwrotny do zamierzonego – ze wszystkich stron świata popłynęły depesze, listy, e-maile, telefony, które potwierdzają prawdę historyczną – że to Niemcy wraz z Rosją sowiecką umówiły się, by rozpocząć drugą wojnę światową, czyli okrutne dzieło zniszczenia i przebudowy świata, a pierwszą ofiarą napaści tych sojuszników była Polska.

Zostańmy przy sprawach zagranicznych. W związku ze wzrostem napięcia w relacjach amerykańsko-irańskich po stronie opozycji pojawił się postulat, by wycofać polskich żołnierzy z Iraku. Była o tym mowa na Radzie Gabinetowej?

Tak, dyskutowaliśmy na Radzie Gabinetowej bardzo dokładnie tę kwestię. Dzisiaj mogę powiedzieć, że nasza polityka zachowania zimnej krwi zdała egzamin. Nie warto wykonywać gwałtownych ruchów. Polska zawsze stawała po stronie Dobra, a nie Zła. Mamy za sobą piękną historię, a nie lękliwą histerię. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać i to szanować. Dbamy o bezpieczeństwo naszych żołnierzy, zachowaliśmy wszelkie procedury bezpieczeństwa, dlatego spadające pociski na dwie amerykańskie bazy, w których znajdowali się polscy żołnierze, nie poczyniły nam szkód. Nie lekceważymy sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nie wszystko mogę wyjawić, ale wszelkie posunięcia trzeba uzgadniać z naszymi sojusznikami. Tak też zrobiliśmy i tak robimy.

Reakcje na kryzysy międzynarodowe, ale i plany krajowe siłą rzeczy będą podporządkowane startującej za chwilę kampanii prezydenckiej. Z pana perspektywy jak ważne są te wybory?

Dzielimy z panem prezydentem wspólny system wartości, a jego zwycięstwo dało nam ogromną szansę na zmiany w Polsce, które odczuły miliony polskich rodzin. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że nasze osiągnięcia w polityce zagranicznej, takie jak skuteczność wobec UE czy NATO, nie mogłyby się wydarzyć bez konkretnych działań prezydenta Dudy. Bez jego wsparcia nie odbyłoby się uszczelnienie podatkowe, nie zaszłyby kluczowe zmiany w polityce społecznej, takie jak choćby poprawa trudnego losu emerytów. Ostatnia waloryzacja kwotowa, 13. emerytura czy obniżka PIT dla emerytów to wszystko sprawy bezpośrednio z nim uzgadniane.

Zaangażuje się pan w kampanię prezydencką czy to kampania Andrzeja Dudy i on będzie jej twarzą?

To kampania prezydenta Andrzeja Dudy, ja zamierzam wykonywać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafię. Wyborcom pozostawiam ocenę tego, jak ważna jest współpraca między ośrodkiem prezydenckim a rządem. Możemy poprawiać jakość życia Polaków albo poprawiać byt w pierwszym rzędzie elit, jak było wcześniej. Dla mnie i dla pana prezydenta najważniejsza jest poprawa życia każdego Polaka, a nie tylko wybrańców. Dlatego niezbędna jest mobilizacja naszych wyborców. By byli świadomi, że pozostanie w domach może doprowadzić do braku możliwości kontynuacji zmian, które naruszają mnóstwo interesów III RP i jednocześnie tworzą zupełnie nowe szanse dla ogromnych rzesz społecznych. To wszystko będzie zagrożone, jeśli prezydent Andrzej Duda nie uzyska reelekcji.

Jarosław Kaczyński w liście wysłanym do działaczy PiS na Podkarpaciu napisał, że trzeba zrobić wszystko, by Andrzej Duda wygrał w pierwszej turze. Czy to jest realny scenariusz?

Bardzo bym sobie tego życzył, ale wszyscy podchodzimy ze spokojem i z pokorą do sondaży oraz szans. Walczyć trzeba o jak najwięcej, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że kampania może być bardzo trudna i może rozstrzygnąć

eprasa.pl 1425b3815a

się minimalną różnicą głosów. Mając w pamięci wybory sprzed pięciu lat, ciężko cokolwiek prognozować. Wiem jedno – dla kontynuacji programu szybkiego rozwoju i uczynienia z Polski państwa dobrobytu na wzór państw zachodnich, które gonimy w przyspieszonym tempie, niezbędna jest współpraca z ośrodkiem prezydenckim. To kluczowe ogniwo w procesie zmian i reform. Zmian dla jak najszerszych rzesz społeczeństwa i reform budujących nowoczesną Polskę. Jak bardzo to porozumienie jest niezbędne, widać dzisiaj na przykładzie braku współpracy z Senatem. Oczywiście w demokracji raz większość ma jedna grupa, raz druga, ale w tym przypadku widać wyraźnie, że nie ma woli współpracy, tylko wola opóźniania pozytywnych zmian dla ludzi i destrukcji za wszelką cenę.

Skoro jesteśmy przy Senacie – czy pojawiające się pod adresem marszałka Tomasza Grodzkiego zarzuty korupcyjne to podstawa do dymisji? On sam mówi, że PiS prowadzi na niego nagonkę.

Należy w bardzo szybkim terminie wyjaśnić wszystkie podejrzenia, które się pojawiły. Zdaje się, że pojawiły się osoby, które formułują swoje zarzuty publicznie i pod nazwiskiem. Muszą tu szybko zadziałać prokuratura i sąd.

Czy te zarzuty mają charakter polityczny?

Nie słyszałem, by którakolwiek z osób twierdzących dziś, że wręczały pieniądze doktorowi Grodzkiemu, była członkiem PiS czy politykiem. Sprawa musi być wyjaśniona bez emocji politycznych po obu stronach. Tu chodzi o trzecią dziś osobę w państwie, a nie o osobę prywatną.

Opozycja ma do wyjaśnienia sprawę Grodzkiego, a nad PiS wisi niewyjaśniona sprawa szefa NIK Mariana Banasia. Co dalej z tą sprawą? Czy prezes Banaś pozostanie na stanowisku?

Chciałbym przede wszystkim podkreślić znaczące zasługi prezesa Banasia w likwidacji patologii VAT-owskich i usprawnianiu systemu skarbowego. Jeśli w jego oświadczeniu majątkowym pojawiły się, zdaniem niektórych, nieprawidłowości, to prokuratura powinna to jak najszybciej wyjaśnić, byśmy mogli tę sprawę zamknąć.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zresztą, zaproponowaliśmy opozycji pewną zmianę przepisów. Opozycja to odrzuciła.

Czy rząd nadal planuje ustawę dotyczącą repolonizacji czy dekoncentracji na rynku medialnym, czy odstąpił od tego pomysłu?

Życzyłbym sobie tego, by większość krajowych mediów pilnowała interesów polskich. Tak jak to się dzieje w Niemczech czy we Francji w przypadku ich krajowych mediów i strategicznych interesów. Wolny rynek mediów jest czymś innym niż wolny rynek sklepów. Widać to zwłaszcza w czasach dezinformacji i wojen hybrydowych. Duża część naszego społeczeństwa rozumie to lepiej niż niektóre media. Repolonizacja musi mieć zawsze charakter rynkowy – ktoś chce sprzedać, ktoś chce kupić. Dekoncentracja, czyli regulacje dotyczące tego, ile dopuszcza się kapitału krajowego, a ile zagranicznego w mediach… cóż – tu jesteśmy kilka dekad za wieloma państwami Europy. Jednak aktualnie na naszej desce kreślarskiej nie zajmujemy się tym tematem.

Odchodzenie od podgrzewania politycznych emocji to zrozumiała strategia na czas kampanii prezydenckiej. Skąd zatem pomysł ustawy dyscyplinującej sędziów, która na nowo rozpaliła spór ze środowiskiem sędziowskim?

To odpowiedź na konkretną próbę zakwestionowania legalności powołania sędziów podjętą przez część sędziów Sądu Najwyższego. Musieliśmy zareagować na takie próby rozchwiania całego polskiego ustroju. Musieliśmy zareagować, by uniknąć dualizmu prawnego i chaosu prawnego, by zapewnić coś, co jest fundamentalne dla państwa praworządnego, czyli pewność prawa. Wiązało się to z niewłaściwym odczytaniem wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE z końca listopada przez niektórych sędziów Sądu Najwyższego. W takim przypadku państwo musi zachować się poważnie.

Takie działanie nie zaszkodzi walce prezydenta o bardziej umiarkowanych wyborców?

70–80 proc. społeczeństwa polskiego nadal domaga się zasadniczej reformy wymiaru sprawiedliwości – a zatem nie tylko wyborcy Prawa i Sprawiedliwości chcą tych zmian. Wszyscy musimy być równi wobec prawa. Sędzia skazuje kogoś za kradzież słodyczy, ale sędzia już nie skaże innego sędziego za poważniejszą kradzież. Takie mamy przypadki. To bulwersujące i demoralizujące. Ostatnio wszyscy słyszeliśmy wypowiedź czołowej przedstawicielki środowiska sędziowskiego, że wyroki sądowe są jak wyroki boskie, należy je wykonywać i nie wolno ich nawet komentować – by kilka dni później stwierdzić, że wprawdzie inne państwa UE nie respektują wyroków TSUE, ale to nie są poważne wyroki... Mógłbym powiedzieć mocniej, ale powiem tylko, że to trochę tłumaczy oderwanie się niektórych od rzeczywistości i ich hipokryzję. Liczę, że nasze próby naprawy wymiaru sprawiedliwości spotkają się ze zrozumieniem społeczeństwa.

Na razie nie spotkały się ze zrozumieniem Komisji Europejskiej, która chce wystąpić do TSUE o zablokowanie prac polskiej Izby Dyscyplinarnej

eprasa.pl 1425b3815a

Sądu Najwyższego. Jaka będzie odpowiedź polskiego rządu?

Odpowiedź będzie zgodna z prawem europejskim, ale przede wszystkim z polską konstytucją. W Polsce obowiązuje trójpodział władzy. Jeśli komisarz Jourová domaga się, aby polski rząd zawieszał polskie sądy, i jeszcze w dodatku argumentuje to troską o trójpodział władzy, trudno nazwać to inaczej niż głęboką hipokryzją. My na pewno nie zrezygnujemy z reformy sądownictwa ani też nie zgodzimy się na narzucanie nam działań sprzecznych z polskim prawem i unijnymi traktatami. Wiele krajów UE ma w swoim prawodawstwie znacznie surowsze środki dyscyplinowania sędziów niż te, nad którymi debatujemy dziś w Polsce. Od komisji oczekujemy tylko tego, aby równo traktowała wszystkie kraje, aby nie dyskryminowała Polski. Polska jest takim samym członkiem Unii Europejskiej, jak kraje na Zachód od nas, które samodzielnie reformują swoje sądownictwo i swoją prokuraturę.

Widać już, że nowa Komisja Europejska nie zamierza rezygnować z zajmowania się praworządnością w Polsce. Polska już zawsze będzie na cenzurowanym?

Chyba się już do tego przyzwyczaiłem. Mam wrażenie, że Polacy też się przyzwyczaili do tego rodzaju działań Komisji. Kraj, który jeszcze kilka lat temu miał być zapleczem taniej siły roboczej, nie ma dziś kompleksów i ma duże ambicje. Pokazują to nasze wyniki gospodarcze z ostatnich czterech lat, pokazują to nasze inwestycje w rodziny i pokazuje to również nasza naprawa instytucji państwa. To wielu musi boleć i boli.

Komisja twierdzi, że boli ją jedynie sposób reformowania sądownictwa.

Reforma wymiaru sprawiedliwości, której się podjęliśmy, a która, co przyznaję, idzie jak po grudzie ze względu na opór środowiska sędziowskiego, jest niezbędna z trzech powodów. Po pierwsze, względy historyczne. Sądownictwo nie oczyściło się z czasów komunistycznych. Po drugie, względy efektywnościowe. Cały czas polskie sądy są bardzo opieszałe, sprawy potrafią trwać latami. I po trzecie, chodzi o wymiar dyskusji z Unią, o to, gdzie są granice kompetencji państw członkowskich, a gdzie UE może ingerować w poszczególne dziedziny. Wymiar sprawiedliwości należy do wyłącznych kompetencji państw członkowskich, więc w tym przypadku walczymy o ducha i literę traktatów. W tym trzecim obszarze mogę powiedzieć, że pojawił się też aspekt porównawczy. Nasza reforma sądownictwa nie wdraża zasadniczo niczego, co nie funkcjonowałoby w innych krajach unijnych. Zresztą, proszę mi pokazać jakikolwiek przykład ingerencji politycznej w wymiar sprawiedliwości w czasach rządów PiS? To pytanie retoryczne, bo zadaję je w Brukseli i naszym adwersarzom tutaj. Nikt mi żadnego przykładu nie podał. Tymczasem wystarczy przypomnieć sprawę sędziego Milewskiego. Byłego prezesa Sądu Okręgowego w Gdańsku, który za naszych poprzedników był gotowy na polityczne zamówienie odpowiednio pokierować organizacją sprawy Amber Gold. Środowisko sędziowskie nadal pozwala mu orzekać. Nie pozbyli się z zawodu tej czarnej owcy, przenieśli ją tylko do innego sądu.

Chcemy pielęgnować i promować wartości rodzinne, z których wyrasta patriotyzm i szereg postaw obywatelskich

Nikt nie zarzuca działań bezpośrednich, lecz pośrednie, tak jak w przypadku sędziego Juszczyszyna, któremu najpierw minister Ziobro cofnął delegację do sądu okręgowego, a którego następnie zawiesił powoływany przez ministra prezes sądu.

Sędzia Juszczyszyn pozostaje w sporze z ministrem sprawiedliwości i władzą wykonawczą, ponieważ chce zakwestionować podstawową prerogatywę konstytucyjną prezydenta, co do której wypowiedziała się zresztą kilka dni temu Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Powołanie sędziego przez prezydenta zamyka jakiekolwiek wątpliwości co do procedury poprzedzającej powołanie. To jednoznacznie wynika z art. 144 i art. 179 Konstytucji RP. Emocjonalne harce są tu nie na miejscu – próby podważania statusu sędziów to bardzo duże zagrożenie dla ich niezawisłości.

Przyznał pan, że reforma sądownictwa idzie jak po grudzie. Uda się ją doprowadzić do końca tak, by jej skutki były odczuwalne dla ludzi? Na razie bowiem można odnieść wrażenie, że utknęliście na przepychankach personalnych.

Minister sprawiedliwości dostał zadanie, aby jego działania w tej sprawie jak najszybciej przełożyły się na poprawę jakości postępowań, tempa rozpatrywania spraw gospodarczych, cywilnych i karnych. Jednak trzeba mieć na uwadze, że tu ludzie grają główne role. Prawo jest bardzo ważne, ale jakość wyroków sędziów jest kluczowa. Minister na pewno będzie się bardzo skupiał na poprawie jakości funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, ale ryba psuje się od głowy i zmiany w hierarchii sądów od góry były i są bardzo konieczne. Szkoda, że niektórzy prawnicy dbają bardziej o swoje przywileje i wygody niż o dobro ludzi, którzy w sądach szukają sprawiedliwości okupionej czasami łzami, dramatami, stratami i nieprzespanymi nocami.

Polski rząd pochwalił się, że na szczycie klimatycznym w Brukseli Polska uzyskała zwolnienie z zasady zastosowania neutralności klimatycznej. Niektórzy twierdzą, że jedynie do czerwca 2020 r.

Niektórzy jeszcze miesiąc temu twierdzili, że Polska nie będzie miała w ogóle dostępu do Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. A to właśnie zostało przez komisję zdementowane i jednoznacznie określone, że nie tylko będziemy mieli dostęp, lecz także udział Polski w tym funduszu będzie proporcjonalnie wysoki, a nawet najwyższy spośród wszystkich państw. To po pierwsze. Po drugie, konkluzje, które są podejmowane na Radzie Europejskiej, są ostateczne. Ich zmiana może odbyć się tylko z udziałem państwa, które w tych konkluzjach bierze udział – w tym przypadku jest to Polska. Ani z tych konkluzji, ani z dyskusji nie wynika, że ma nastąpić zmiana. My natomiast solidarnie wchodzimy w debatę nad szczegółami i mogę zapewnić, że polski wkład w osiągnięcie neutralności ze względu na dużo większy wysiłek, jaki musimy poczynić, będzie daleko wyższy niż przeciętnego obywatela Francji, Niemiec czy Hiszpanii.

Rok 2019 był rokiem, w którym doszło do największej chyba liczby marszów równości. Arcybiskup Jędraszewski nazwał to „tęczową zarazą". Jak rząd konserwatywno-prawicowy zamierza się bronić w czekającej nas wojnie kulturowej, cywilizacyjnej?

Nie powinniśmy dać się wciągnąć w logikę myślenia wojennego. Mam świadomość, że w Polsce funkcjonuje radykalna i dość głośna mniejszość, która próbuje nam narzucić zupełnie nowy

eprasa.pl 1425b3815a

model życia. To często ludzie, którzy domagają się tolerancji, a sami nie tolerują wartości, które są głęboko osadzone w polskiej tradycji i które są bliskie niemal wszystkim Polakom. My na tę wojnę się nie godzimy i nie dopuścimy do tego, by radykalne, mniejszościowe rozwiązania ideologiczne były narzucane Polakom.

W jaki sposób nie dopuścicie?

Zamiast ideologicznej wojny proponujemy Polsce, ale i całej Europie, coś pozytywnego – ofensywę wartości. Chcemy pielęgnować i promować wartości rodzinne, z których wyrasta również patriotyzm i szereg postaw obywatelskich. To w końcu w rodzinach uczymy się troski o dobro wspólne, to rodzina jest odpowiedzią na zgubny indywidualizm, samotność, rozbicie wewnętrzne społeczeństw europejskich. Będziemy bronić wielkich wartości. Jednak nie widzę powodu, dla którego takie tematy i priorytety jak walka o czyste powietrze, dbałość o estetykę naszego otoczenia czy humanitarne traktowanie zwierząt albo bezpieczeństwo ruchu drogowego były lekceważone. Albo żeby ktoś traktował je jako domenę lewicy. To poważne wyzwania, których nasz rząd nie odpuści.

Wracając do zbliżających się wyborów prezydenckich – jakie wnioski w ich kontekście płyną z ostatniej kampanii parlamentarnej?

Powiem krótko i bez filozofowania: trzeba zabiegać o głos każdego Polaka. Zwycięstwo, które odnieśliśmy jesienią, jest bezprecedensowe. To ponad 8 mln głosów i pierwszy raz w drugiej kadencji partia uzyskuje samodzielną większość. Rekordowy procent głosów do Sejmu. To bardzo budujące i jestem wdzięczny rodakom za zaufanie.

Chociaż oczekiwania, jeśli idzie o przewagę w Sejmie, a zwłaszcza w Senacie, były większe.

Ta duża fala, która nas niosła w 2019 r., była tak wysoka, że zdemobilizowała część naszego elektoratu. I tu upatruję zadania, wyzwania i ryzyko związane z wyborami prezydenckimi. Musimy zmobilizować naszych wyborców i pokazać rodakom, że tylko wygrana Andrzeja Dudy gwarantuje kontynuację coraz lepszego życia na co dzień. Musimy dotrzeć do ludzi, jeszcze ciężej pracować, bo najwyraźniej część naszego elektoratu nieco się zdemobilizowała. To współpraca, a nie kłótnia na linii rząd-prezydent pozwala, by zobowiązania zamieniać na decyzje i czyny. Czy mielibyśmy 500+, godną stawkę za godzinę pracy, obniżkę podatków, obniżkę wieku emerytalnego, gdyby pomiędzy rządem a prezydentem były kłótnie i awantury? Nie.

Jednym ze skutków wyborów parlamentarnych jest wzmocnienie koalicjantów w ramach Zjednoczonej Prawicy. Z mocniejszymi partnerami rządzi się trudniej?

Powiedziałbym, że jest odwrotnie, niż się wydaje, bo coraz lepiej się poznajemy i rozumiemy.

Chce pan powiedzieć, że relacje z wicepremierem Gowinem i ministrem Ziobrą są teraz lepsze, niż były?

Tak.

A jak wyglądają relacje z opozycją? W Sejmie pojawiły się nowe partie, już nie tylko Platforma nadaje ton opozycji. Poprawiła się jakość dyskusji?

Bardzo bym sobie tego życzył, ale tego nie widać. Niestety obyczaje parlamentarne kuleją, co mnie bardzo martwi. Sam staram się je mitygować, jak tylko mogę, ale do tanga trzeba dwojga. Byliśmy gotowi na daleko idącą współpracę z opozycją. Na pakiet demokratyczny. Widać jednak, że totalność opozycji niestety nie zamieniła się we współpracę i jedność nawet w najważniejszych dla Polski sprawach. Jak bowiem rozumieć brak zgodności w tak kluczowych ostatnio sprawach jak zachowania Rosji czy wydarzenia w Iranie i Iraku? Apeli o odpowiedzialność nigdy za wiele, ale jeśli ktoś w Polsce kwestionuje nasze sojusze bezpieczeństwa i świadomie lub nieświadomie gra w orkiestrze Putina, to sam sobie wystawia świadectwo.

Kim jest dzisiaj dla pana Jarosław Kaczyński?

Jest liderem politycznym, który wraz z bratem umożliwił tę fundamentalną zmianę, którą dzisiaj mamy. Jego upór, ogromna odporność, wybitny umysł strategiczny i inteligencja lokują go w gronie najwybitniejszych polskich polityków, nie tylko w ostatnich 30 latach. Jarosław Kaczyński doskonale wie, że mamy szansę osiągnąć coś, co marzy się Polakom od 500 lat – silne państwo, sprawne instytucje, nowoczesną gospodarkę. Mamy naprawdę realną szansę – w perspektywie 10–20 lat – stać się najlepszym miejscem do życia w Europie. I to jest ten cel, który wytycza Jarosław Kaczyński. To jest też mój cel i cel całego obozu Zjednoczonej Prawicy. Przede wszystkim jednak to marzenie 40 mln Polaków.

To ile kadencji PiS powinien rządzić, żeby to wszystko zrobić?

Będziemy o to pytać Polaków w każdych kolejnych wyborach. Od przewidywania przyszłości wolę jej tworzenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

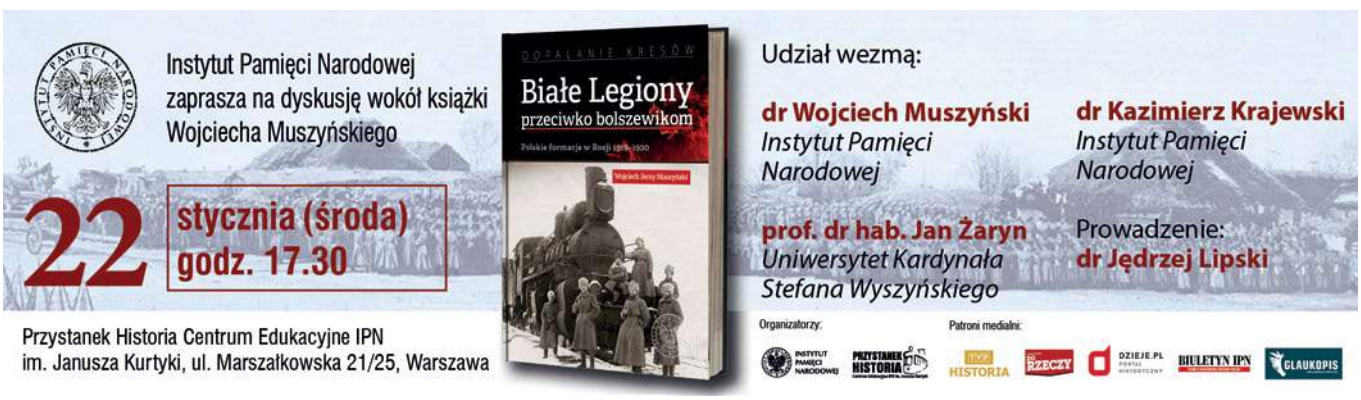

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Wybranowski

Policyjne dane wskazują na wzrost przestępczości cudzoziemców mieszkających lub czasowo przebywających na terenie Polski. Za sprawą przybyszów zza wschodniej granicy wróciły też formy przestępczości, z którymi polska policja poradziła sobie już w latach 90.

Do napaści na dziennikarza „GW" Piotra Stasińskiego doszło w noc sylwestrową w podwarszawskiej gminie Lesznowola. Hucznie świętujący nadejście nowego roku Wietnamczycy, zamieszkujący jedną z posesji położonych niedaleko domu Stasińskiego, mieli odpalać petardy, które wpadały na teren działki dziennikarza. Kiedy ten udał się do nich, by zwrócić uwagę na niebezpieczne zachowania, został zaatakowany. Przewróconego na ziemię kopano i bito, złamano mu nos i szczękę. Trafił do szpitala. Oświadczenie w sprawie wydało Stowarzyszenie Przedsiębiorców Wietnamskich w Polsce, potępiając akt przemocy, którego mogli dopuścić się mieszkający w Polsce obywatele wietnamscy. Prokuratura prowadzi śledztwo w tej sprawie.

– Działania operacyjne prowadzone w tej sprawie mają na celu oczywiście ustalenie sprawców. Niemniej jednak azjatyckie społeczności w naszym kraju są bardzo zamknięte – mówi nam jeden z warszawskich funkcjonariuszy policji pragnący zachować anonimowość. – W takich środowiskach obowiązuje swoiście pojmowany kodeks honorowy, raczej sami ewentualnie wymierzą sprawiedliwość napastnikom, niż będą współpracować z organami ścigania – dodaje nasz rozmówca.

Policyjne statystyki odnotowują radykalny wzrost przestępczych zdarzeń z udziałem obcokrajowców zamieszkałych na terenie Polski lub czasowo przebywających w naszym kraju.

– Rzeczywiście, przestępstw z udziałem cudzoziemców jest więcej i są to sprawy, w których są oni zarówno poszkodowanymi, jak i podejrzanymi. Ten

eprasa.pl 1425b3815a

Dawaj diengi...

wzrost jest zrozumiały, jeśli spojrzeć na przyrost liczby obcokrajowców w Polsce – potwierdza insp. Mariusz Ciarka, rzecznik komendanta głównego policji. – W latach 90. w małych miejscowościach ewenementem było w ogóle spotkanie obcokrajowca, dzisiaj nikogo nie dziwi, że jest ich więcej, a skoro jest ich więcej, to jest też więcej popełnianych przestępstw z ich udziałem – dodaje.

ALKOHOL + KOBIETY = NIESZCZĘŚCIE

Wśród przestępstw, których ofiarami padają przybysze z dawnych republik sowieckich, najczęstszym jest tzw. praca niewolnicza. Z kolei sami Ukraińcy coraz częściej bywają zatrzymywani za rozboje, napady i pobicia.

– W przypadku Ukraińców i Gruzinów mamy do czynienia z całym przekrojem Kodeksu karnego. Warto zauważyć jednak, że to przestępczość najczęściej wewnętrzna. Oni się między sobą biją, oszukują, mordują. Co ich różni od Azjatów? Przybysze zza wschodniej granicy zgłaszają takie zdarzenia, natomiast w społecznościach azjatyckich panuje pewien kodeks honorowy i zdarzenia kryminalne trafiają do ciemnej strefy. Załatwiają to między sobą – mówi jeden z naszych rozmówców z Komendy Głównej Policji.

– Nasze źródła mówią, że w przestępczych statystykach dominują Ukraińcy, choć w ostatnich miesiącach zaczęli być doganiani przez obywateli Gruzji. Można by powiedzieć, że nie ma dnia, by nie doszło do zdarzenia z udziałem Gruzina. Albo po pijanemu ucieka samochodem przed policją, albo jest to czynna napaść, włamanie lub zabójstwo – twierdzi nasz informator.

Jak opowiada, takie przestępstwa mają podobny schemat: dochodzi do nich w grupie obcokrajowców wracających do swojego kraju z pracy zarobkowej w Polsce. W hotelach robotniczych za zarobione pieniądze piją alkohol, pojawiają się również kobiety – też obywatelki krajów dawnego ZSRS.

– A jak jest alkohol, to szybko uderza do głowy, zaczyna się bójka o kobietę, ktoś sięga po nóż. Dochodzi do zabójstwa, ale między nimi. Nie wychodzą na miasto, nie atakują Polaków – mówi policjant. – Coraz częściej wpadają też pijani kierowcy z Ukrainy, Gruzji lub Białorusi.

REKLAMA

CIEMNE ŚREDNIOWIECZE? NIC Z TEGO.
KONIEC Z MITAMI, W KTÓRE WIERZYŁEŚ!
KSIĄŻKA DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL

PATRONAT MEDIALNY:

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl 1425b3815a

Jesienią ubiegłego roku krakowscy policjanci zatrzymali dwóch młodych mężczyzn z Ukrainy, którzy zaatakowali i poranili nożem swojego rodaka. Do zdarzenia doszło po imprezie w jednym z miejscowych akademików. Kilka miesięcy wcześniej, także w Krakowie, funkcjonariusze policji pod jednym z centrów handlowych zatrzymali grupę Czeczenów, którzy uzbrojeni m.in. w kastety i noże szykowali się na „ustawkę" z miejscowymi kibicami. Bynajmniej nie chodziło jednak o kibicowską wojnę, ale haracze – krakowianom nie podobało się, że przybysze z Kaukazu planowali przejąć kontrolę nad miejskimi targowiskami.

Do najpoważniejszego przestępstwa z udziałem obywatela Gruzji doszło w 2018 r. w Łodzi. Gruzin Mamuka K. zamordował wówczas przypadkowo poznaną Polkę – Paulinę. Ciało dziewczyny przewiózł w pobliże jednego z lokalnych stawów i usiłował ukryć. Udało mu się opuścić Polskę, został zatrzymany na Ukrainie i wydany polskim służbom.

Latem ubiegłego roku warszawscy policjanci zatrzymali grupę obywateli Gruzji mających na sumieniu liczne kradzieże pieniędzy, dokumentów i telefonów komórkowych.

Obywatele innych narodowości w policyjnych statystykach pojawiają się stosunkowo rzadko. Ewenementem jest Szwajcar, który chciał zastrzelić Niemca. Dlaczego? Szwajcarowi nie odpowiadało, że Niemiec, którego nie akceptował, jest partnerem jego córki.

AZJATYCKIE I WSCHODNIE GANGI

– Zauważalny jest powrót do Polski przestępstw, których nasi rodzimi gangsterzy dokonywali jakieś 20 lat temu, a które nam udało się wówczas dość szybko opanować i stłumić. Chodzi o plagę kradzieży samochodów, np. metodą „na butelkę" czy na „kolce" – opowiadają nam stołeczni policjanci. Tłumaczą też, że – być może ze względu na bariery kulturowe i językowe utrudniające im prowadzenie zorganizowanej przestępczości gospodarczej – oddają się tej najbardziej prymitywnej działalności. Podkładają butelkę pod koła, krzyczą, że jest przebita opona, kierowca jest przytrzymywany, a złoczyńcy odjeżdżają samochodem. Celują w tym grupy gruzińskie.

W listopadzie ubiegłego roku warszawscy funkcjonariusze policji zatrzymali pięciu Gruzinów podejrzewanych o dokonanie na terenie stolicy, pobliskich miejscowości oraz województwa śląskiego wielu kradzieży metodą „na kolec" właśnie. Kiedy kierowca zajęty był wymianą opony, plądrowali samochód, kradnąc najczęściej portfele, torby, odtwarzacze. Wpadli, kiedy funkcjonariusze zauważyli dwóch z nich, jak próbowali sprzedać skradziony towar na jednym ze stołecznych targowisk. W grudniu ubiegłego roku zatrzymano dwóch Gruzinów, którzy prowadzili podobną „działalność" na terenie Wielkopolski.

Czy jednak rzeczywiście przestępczość obcokrajowców w Polsce to jeszcze tylko incydenty lub działalność drobnych gangów, a nie coraz bardziej rozbudowana, zhierarchizowana przestępczość zorganizowana?

– Jeśli chodzi o zorganizowaną przestępczość na wyższym poziomie, to polski półświatek przestępczy nie dopuści ich do tego, by zgarnęli dla siebie istotny segment bandyckiego rynku, by zyskali większe wpływy. Aczkolwiek muszę przyznać, że funkcjonowała już, rozbita przez nas w 2018 r., chińska grupa – opowiada jeden z naszych rozmówców. Czym się zajmowała? – Mieli w Polsce stworzoną centralę, kwatery pod Warszawą, w Lublinie i Krakowie, bezpieczny Internet i dokonywali przestępstw „na wnuczka", ale w Chinach. Dzwonili z Polski na telefony w Chinach, mamili swoje ofiary, przekonując do przelania pieniędzy na wskazane konta – słyszymy.

O akcji funkcjonariuszy było wówczas głośno w polskich mediach. Zatrzymano bowiem aż 50 osób (z których 48 to obywatele Chin i Tajwanu, dwie to współpracujące z nimi Polki), którym w krótkim czasie udało się wyłudzić blisko 2 mln euro.

Wiosną ubiegłego roku podwarszawscy policjanci zatrzymali Chińczyków nadzorujących profesjonalnie zorganizowaną plantację marihuany w Jankach. Rok wcześniej w województwie śląskim policjanci odkryli plantację konopi indyjskich, których ilość pozwalała na produkcję marihuany na przemysłową skalę. Wśród zatrzymanych było czterech obywateli Wietnamu i dwóch Polaków.

Z kolei funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji z Bielska-Białej pozyskali informacje, które pozwoliły na namierzenie rezydentów chińskiej mafii narkotykowej Sun Yee On, uważanej za jedną z największych organizacji przestępczych w Chinach. Jak ustalono w trakcie śledztwa prowadzonego przez Śląski Wydział Zamiejscowy Prokuratury Krajowej, zajmowali się oni organizacją przemytu transportów kokainy z Kolumbii, które przez Europę Zachodnią i Polskę trafiały do Australii. Grupa działała od 2014 r., a swoją działalność zaczęła od przemytu środków służących do produkcji MDMA (ecstasy) z Holandii do Australii. W działalność przestępczej grupy w naszym kraju zaangażowani byli przede wszystkim Polacy: Igor D., Tomasz N. oraz Czesław M., a także obywatel Czech Zbigniew M. oraz niezidentyfikowani dotąd obcokrajowcy działający w Wielkiej Brytanii, Holandii i Chinach, ukrywający się pod pseudonimami Old Guy, Old Belgium Guy, Jack Sparrow. Śląska prokuratura skierowała już do sądu akt oskarżenia w tej sprawie. Strona polska wystąpiła też do Chin o ustalenie personaliów niejakiego Tse Chi-Lop, dziś jednego z najbardziej poszukiwanych przestępców na świecie.

O całej sprawie jako pierwsze poinformowało w ubiegłym tygodniu Radio RMF FM.

TERRORYZM...

Coraz częściej też pojawiają się podejrzenia związku obcokrajowców przyjeżdżających do Polski lub przebywających w naszym kraju z grupami terrorystycznymi. 30 stycznia ubiegłego roku funkcjonariusze ABW zatrzymali Czeczena podejrzewanego o powiązania z Azamatem B., mężczyzną wydalonym z Polski za współpracę z Państwem Islamskim. Z kolei w grudniu tego roku ABW zatrzymała obywatela Ukrainy Maksyma S., który ponoć miał planować atak terrorystyczny na galerię handlową w Puławach. Mężczyzna niedawno przeszedł na islam, był zafascynowany działalnością radykalnych bojówek islamskich.

Wcześniej, w 2016 r., funkcjonariusze ABW zatrzymali i doprowadzili do wydalenia z Polski Irakijczyka – Sinana S. Mężczyźnie postawiono zarzut posiadania substancji wybuchowych. Także w 2016 r. funkcjonariusze zatrzymali obywatela Maroka Mourada T., kuriera Państwa Islamskiego. Mężczyzna blisko współpracujący z Abdelhamidem Abaaoudem, prominentnym członkiem ISIS, w Polsce korzystał z mieszkania w Rybniku. W marcu ubiegłego roku został skazany na trzy lata i osiem miesięcy pozbawienia wolności w związku z udziałem w zorganizowanej grupie przestępczej o charakterze terrorystycznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

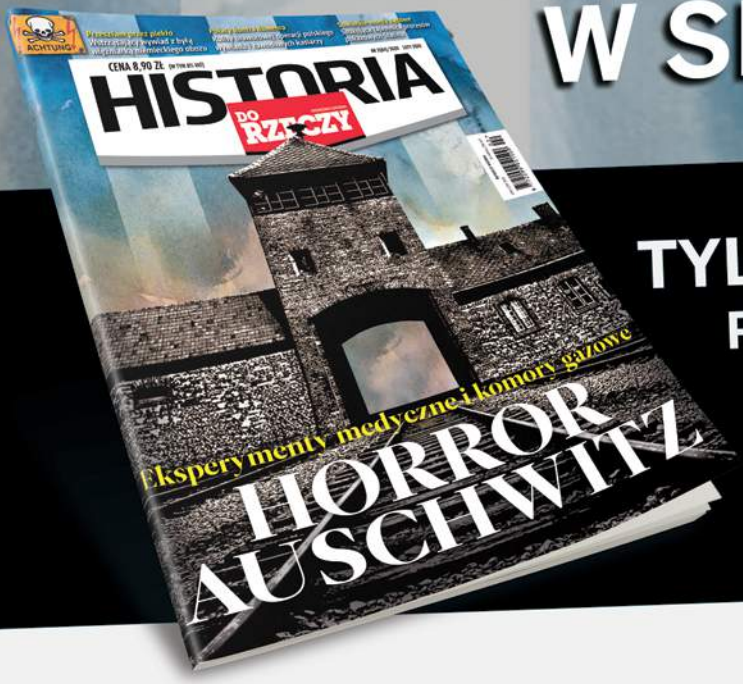

TYLKO U NAS!

Przeżyłam piekło – szokujący wywiad z więźniarką Auschwitz

Piotr Cywiński – **Fabryka śmierci**
Piotr Zychowicz – **Eksperymenty doktora Mengele**
Mikołaj Iwanow – **Sowieckie psy kamikadze**
Grzegorz Janiszewski – **Wywiad II RP kontra Abwehra**
Jochen Böhler – **Zabójcza machina Waffen-SS**
Sławomir Koper – **Swawole Cata-Mackiewicza**
Leszek Lubicki – **Krwawe porachunki Kazimierza Wielkiego**
Tomasz Stańczyk – **Spór o mordy rytualne dzieci**
Sławomir Cenckiewicz – **Polska wiktoria 1920**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 1425b3815a

Sędziowie we własnej sprawie

Marcin Makowski

Dopóki sędziowie i prawnicy będą używać autorytetu we własnej sprawie, a rząd nie zyska szerokiego poparcia ludzi, dopóty w Polsce będzie trwał klincz, który nie pozwoli na poprawę wymiaru sprawiedliwości

W warszawskim Marszu Tysiąca Tóg przeszło – według szacunków – 15 tys. sędziów, radców prawnych, polityków i zwykłych przechodniów. Organizatorzy ogłosili sukces. Jednak niewygodne pytanie brzmi: Dlaczego poszło tylko tyle osób? Przecież stawką ubiegłotygodniowego marszu była podobno walka o niezawisłość trzeciej władzy, prawo każdego obywatela do uczciwego procesu i w dalszej perspektywie – zatrzymanie galopującego polexitu. Gdy w Czechach latem ubiegłego roku pojawiły się zarzuty odnośnie do niejasnej sytuacji finansowej premiera Andreja Babiša, na ulice wyszło prawie ćwierć miliona prażan. Czy Polakom nie zależy na ich własnym państwie? A może odpowiedź jest znacznie prostsza: środowisko, które przez trzy dekady nie potrafiło się zreformować, a do protestowania zabrało się dopiero wtedy, gdy stanowione przez rząd prawo naruszyło status quo, siłą rzeczy nie budzi masowej empatii.

TWARZE PRAWORZĄDNOŚCI

Na dobrą sprawę: Kto ma ją budzić? Czyja twarz ma uzmysławiać mieszkańcom Białegostoku, Opola, Wieliczki czy Koszalina, że sędziowie biją się również o ich interesy? Twarz znanego dziennikarza, który po przejechaniu prawie całej Polski pod wpływem alkoholu

eprasa.pl 1425b3815a

Marsz Tysiąca Tóg, Warszawa, 11 stycznia 2020 r.
Od lewej: Bartłomiej Przymusiński, Małgorzata Gersdorf, Krystian Markiewicz
FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

i podrobieniu weksla na 3 mln zł nie trafia nawet na jeden dzień do aresztu? A może wizerunek drugiego, który po potrąceniu kobiety na pasach, jadąc bez prawa jazdy, samochodem bez przeglądu i OC, po jakimś czasie wraca za kierownicę? A potem – tak, tak, mowa o Piotrze Najsztubie – pojawia się na Marszu Tysiąca Tóg. – Być może nie zatrzymamy tej nowelizacji, ale sędziowie potrzebują od nas takiego poczucia, że staniemy za nimi murem, że nam zależy na ich niezależności. Trzeba im to okazać – mówi ten sam człowiek do mediów, nie rozumiejąc nawet, że staje się realnym balastem wizerunkowym. Symbolem głębszej patologii polegającej na przeświadczeniu, że przed sądem wygrywają nie ci, którzy są niewinni, lecz ci, którzy mają lepsze koneksje, większe pieniądze, mocniejsze plecy.

Nie ma sensu powtarzać wytartego jak buty Franka Sterczewskiego sloganu o „nadzwyczajnej kaście ludzi", ale jest coś głęboko nie tak z częścią środowiska sędziowskiego, skoro przez pięć lat toczenia nieustannych potyczek z PiS, niekiedy w słusznej sprawie, nie wyciągnęło wniosków ze swoich słabości. Bo jak inaczej, jeśli nie genem autodestrukcji, nazwać eksponowanie na – wedle zapowiedzi – apolitycznym marszu polityków opozycji, z Ryszardem Kaliszem w todze na czele? „Jak podsumował to pewien mecenas, który przesłał mi przed chwilą poniższy dokument z 2009 r. (!): »Niezłe… najbardziej mordercza jest hipokryzja«. Rzeczywiście. Tyle powiem" – napisał na Twitterze w trakcie trwania manifestacji prezydent Andrzej Duda. Cytat, który zakreślił na czerwono, brzmi następująco: „Krajowa Rada Sądownictwa zwraca uwagę, że apelowanie do sędziów o aktywny udział w akcjach protestacyjnych i podejmowanie działań zachęcających ich do tego, a przede wszystkim stwarzanie środowiskowej presji, może stanowić zagrożenie dla niezależności sądów i niezawisłości sędziów. […] akcje protestacyjne ze względu na sposób i formę protestu stanowią obejście zakazu przynależności sędziego do związku zawodowego i zakazu prowadzenia strajku".

TYSIĄC PRZEDSZKOLNYCH FARTUSZKÓW

Opinia KRS, jeszcze tego „niepisowskiego", dotyczyła akcji „Dzień bez wokandy", która stanowiła odpowiedź środowisk prawniczych na plany Ministerstwa Sprawiedliwości (również „niepisowskiego"), polegające na wprowadzeniu okresowej oceny pracy sędziów. Według Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia propozycje resortu miały godzić w „niezawisłość sądów i naruszać przepisy konstytucyjne", ponieważ w przypadku złej oceny mogły zatrzymać awans zawodowy. Sędziowie argumentowali również, że ponieważ zarabiają za mało, w ramach strajku w jeden dzień nie będą orzekać, pisząc w tym czasie zaległe raporty.

Ponad dekadę później to samo gremium powtórzyło identyczne argumenty o zagrożeniu konstytucyjnym, tyle że nie uznało ówczesnej opinii KRS za wiążącą. Pod hasłem „Prawo do niezawisłości. Prawo do Europy" ponad tysiąc przedstawicieli zawodów prawniczych nie tylko aktywnie – cytując dokument – „stwarzało środowiskową presję", lecz także równocześnie wystąpiło w togach. A te zgodnie z art. 81, par. 1 Ustawy o ustroju sądów powszechnych, stanowią strój urzędowy zakładany jedynie podczas rozpraw i posiedzeń w budynku sądu.

Ci, którzy wyszli bronić prawa, sami udowodnili empirycznie, że chcą stanowić jego ostateczną wykładnię. Bez żadnych ciał pośrednich, koniecznych w demokratycznym państwie do zachowania równowagi pomiędzy poszczególnymi władzami.

Nie są to tylko moje dywagacje, ale również słowa I prezes Sądu Najwyższego oraz byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego. – Krytyka będzie pod każdym adresem. Chcą, to wezmą, toga to nie łańcuch sędziowski, to nie jest nic zdrożnego; będzie widać, że to są sędziowie […]. Toga to jak fartuszek w przedszkolu – odpowiedziała prof. Małgorzata Gersdorf na pytanie dziennikarzy o to, czy nie widzi problemu w manifestowaniu w ubiorze służbowym poza miejscem orzekania. – Ja myślę, że wyroków sądowych i boskich się nie komentuje, tylko się wykonuje – dodała równocześnie, odnosząc się do orzecznictwa Sądu Najwyższego w sprawie tzw. neo-KRS. Z kolei na pytanie dziennikarza TVP Info, czy występowanie na manifestacji politycznej w togach jest zgodne z prawem, prof. Andrzej Rzepliński odpowiedział, że „jest zgodne z potrzebą". A kto definiuje owe potrzeby? Ci, którzy wyszli na ulice. – Sędziowie, prokuratorzy, którzy szli w Marszu Tysiąca Tóg, nie walczyli o swoją korzyść. Wprost przeciwnie, będą prawdopodobnie szykanowani. Walczyli o dobro obywatela – wskazywał w „Faktach po Faktach" prof. Marcin Matczak. Podobny rodzaj usprawiedliwienia, w poezji i filozofii zwany „autotelicznym", czyli tłumaczącym samego siebie, stosowany jest sukcesywnie od początku III RP. Wynika on w jakiejś mierze z nieumiejętności spojrzenia na własną pozycję społeczną oczyma ludzi, w których interesie powinno się orzekać. Od ich opinii – jak w wielu zawodach, z dziennikarzami włącznie – ważniejsza jest opinia „środowiska". Kult wewnętrznej akceptacji dla prowadzonych działań, w kontrze do szukania poparcia w społeczeństwie, umacnia negatywny dla

eprasa.pl 1425b3815a

wymiaru sprawiedliwości trend ucieczki w elitaryzm.

POMOC ZAGRANICZNYCH PRZYJACIÓŁ

Jego przejawem było emocjonalne odczytywanie przedstawicieli środowisk prawniczych, którzy do Warszawy „walczyć o polską praworządność" przylecieli z 22 państw, z Turcją włącznie. To im zgromadzeni na placu Krasińskich bili brawo i skandowali gromkie: „Dziękujemy!", gdy przechodzili zatroskani z narodowymi flagami. Fakt, że cywilizowane Francja, Norwegia, Szwecja czy Niemcy „są z nami", stanowił istotę Marszu Tysiąca Tóg. – Sędziowie francuscy protestowali przeciw nagonce prezydenta Sarkozy'ego, niemieccy blokowali bazy rakiet nuklearnych. Anarchia? Raczej potwierdzenie, że nie należy milczeć, gdy dokonuje się bezprawie – tłumaczył formułę marszu portal OKO.press, również sięgając po argument „z zagranicy". Ten sam schemat powielany jest równocześnie przez polityków rządowych, którzy chętnie dobierają przykłady z obcego ustawodawstwa, gdy akurat jest im ono na rękę. Obydwie strony łączy jednak selektywna ślepota, gdy akurat wypadki nie układają się po ich myśli. Niesamodzielność szczególnie razi jednak, gdy jako istotę swojej skuteczności zakładają konieczność odwoływania się do podmiotów zewnętrznych, które uporządkują w prawie to, czego państwo polskie za pomocą klasycznego dla demokracji sporu między władzą a opozycją rzekomo uporządkować nie potrafi.

W takiej formule do Polski na zaproszenie marszałka Senatu, który nie ma konstytucyjnych uprawnień do samodzielnego prowadzenia polityki międzynarodowej, przylatuje np. czterech przedstawicieli Komisji Weneckiej. Rząd uznaje ową delegację za nieoficjalną. Opozycja uznaje zdanie tych delegatów za równoważne ze zdaniem całej Komisji Weneckiej, która oczywiście w gronie ponad stu członków w sprawie Polski nie debatowała. A w rzeczywistości mamy do czynienia i tak z niewiążącą opinią ciała doradczego Rady Europy, które urosło do rangi ważniejszego niż Trybunał Konstytucyjny organu stanowienia prawa w naszym kraju.

Grecką tragedią polskiego sporu o kształt wymiaru sprawiedliwości jest ten, powtarzany jak fatum, scenariusz. Rząd proponuje ostrą, często nieprzemyślaną reformę, opozycja odwołuje się do arbitrażu np. Komisji Europejskiej, ten przekierowuje sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i gdy nie ma już pola manewru, PiS zazwyczaj wycofuje najbardziej kontrowersyjne zapisy reform. Ostatecznie ci, dla których prawo powinno być stanowione i sumiennie egzekwowane, otrzymują kolejne odcinki coraz gorszej jakości serialu o personalnych wojnach między „kastą" a chcącą nakładać „kaganiec" władzą.

I na nic argumenty, że przenoszenie wewnątrzkrajowych sporów na forum międzynarodowe nie przynosi Polsce wiele więcej ponad uświadomienie tym, którzy jeszcze o tym nie wiedzą, że jesteśmy państwem słabym i kompletnie niesamodzielnym. Bo państwa silne przed Komisjami Europejskimi tłumaczyć się nie muszą.

W tym samym czasie, gdy przez Warszawę przechodził Marsz Tysiąca Tóg, pacyfikowano – również występujących w togach – francuskich prawników protestujących w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu. Stanowili oni część trwającego od roku strajku generalnego, którego uczestnicy sprzeciwiają się reformie emerytalnej zaproponowanej przez prezydenta Emmanuela Macrona. Co z tego, że mają argumenty, skoro paryska policja miała gumowe pałki oraz przewagę liczebną. Czy ONZ wysłało z tego tytułu do Francji misję obserwacyjną? Komisja Wenecka przyleciała w pełnym składzie pogrozić palcem? Komisja Europejska urządziła debatę? Nic z tych rzeczy. Wniosek o dyskusję, złożony przez europosłów Zjednoczonej Prawicy, został natomiast odrzucony. Zamiast niego debatowano o kryzysie konstytucyjnym w Polsce.

HISZPANII WOLNO WIĘCEJ

Niemal w tym samym czasie Sąd Najwyższy Hiszpanii uznał, że nie wykona wyroku TSUE dotyczącego katalońskiego eurodeputowanego Oriola Junquerasa. Madryt uznał, że ponieważ był jednym z inspirujących niepodległościowe tendencje Katalonii oraz organizował referendum zmierzające do odłączenia regionu, należy go osądzić według najsurowszej normy w postaci zarzutu zdrady stanu. Skazany na 13 lat więzienia Junqueras wygrał jednak mandat w wyborach europarlamentarnych, a skoro tak, Trybunał w Luksemburgu orzekł, że mężczyzna chroniony immunitetem może objąć swoje stanowisko i wyjść na wolność. Hiszpania nie uznała tego wyroku i pozostała przy swoim zdaniu, na które przystał Parlament Europejski, a jego przewodniczący David Sassoli zapowiedział, że Katalończyk zostanie zdjęty ze stanowiska. Tyle. Żadnego espanexitu, wypisywania się z Unii, darcia szat.

Tymczasem gdy w 2018 r. Jarosław Gowin w „Do Rzeczy" zasugerował tylko, że rząd może nie uznać stanowiska TSUE, największe światowe i wszystkie krajowe media rozpisywały się o faktycznym końcu państwa prawa i cywilizacji europejskiej w Polsce. „KE nie reaguje na sytuację we Francji czy Hiszpanii, ponieważ tam nie ma zagrożenia niezależności sądownictwa, a więc jest tam mechanizm rozwiązywania sporów pomiędzy obywatelem i państwem. KE reaguje, bo uważa, że w PL ten mechanizm jest zagrożony. Proste" – podsumował obecną sytuację na Twitterze Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu.

Właśnie w takich okolicznościach Komisja Europejska wystąpiła 14 stycznia bezprecedensowo do TSUE o środki tymczasowo zamrażające działanie Izby Dyscyplinarnej przy Sądzie Najwyższym, 15 stycznia polscy europarlamentarzyści przekrzykiwali się w Brukseli w debacie o praworządności nad Wisłą, a w Senacie o polskim prawie wyrokowali zagraniczni prawnicy. – Polska stała się jednym z najpoważniejszych przypadków odchodzenia od demokracji i praworządności, nie tylko w Europie, ale i na świecie. W przypadku sądownictwa w Polsce sądzę, że stoimy przed bezprecedensową perspektywą powrotu do wymiaru sprawiedliwości inspirowanego wzorcami sowieckimi – mówił prof. Laurent Pech z Uniwersytetu Middlesex w Londynie. Jak się później okazało, serdeczny przyjaciel prof. Wojciecha Sadurskiego oraz małżeństwa Kramków.

I tak właśnie dochodzimy do nieuchronnej konkluzji. Żadnych zmian na lepsze w prawie i sądach nie będzie, jeśli sędziowie i prawnicy będą adwokatami we własnych sprawach, w ramach drugiej instancji będą powoływać kolegów z Zachodu, a władza nie okaże się mądrzejsza, zyskując poparcie społeczne za pomocą skutecznego reformowania autentycznych patologii i przewlekłości w egzekwowaniu prawa, a nie tylko podnosząc temperaturę personalnego klinczu. Nasze państwo, w obliczu najpoważniejszych od lat wyzwań geopolitycznych, po prostu musi być stać na więcej. Inaczej nie miejmy pretensji, jeśli kolejny raz ktoś będzie decydować o nas, za nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. HUBERT MATHIS/FORUM

Dobroczynność zdeprawowana

Rafał A. Ziemkiewicz

Doroczny charytatywny festyn Owsiaka integrował wspólnotę wokół rządzących elit, a tym samym ugruntowywał panujący porządek

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy to światowy fenomen. W żadnym innym kraju na świecie nie znajdziemy podobnej akcji charytatywnej, łączącej masową zbiórkę pieniędzy na cel dobroczynny z narodowym festynem, angażującej największe media, instytucje publiczne i agregującą reklamowe przekazy wielkich koncernów, a do tego prowadzonej przez podobnego Owsiakowi charyzmatycznego lidera, który łączyłby role filantropa, menedżera, celebryty oraz wyroczni w sprawach moralności i polityki. Światowa norma to nie jedna wielka i świąteczna, ale właśnie przeciwnie – tysiące, dziesiątki tysięcy małych orkiestr pomocy codziennej, działających bez medialnej pompy i lansu.

Unikatowość WOŚP bywa podawana przez entuzjastów Owsiaka jako jeden z głównych ich powodów do dumy z niego – ale powinniśmy chyba spojrzeć na sprawę inaczej. Zapytać wreszcie:

eprasa.pl 1425b3815a

Czy to, że żaden inny kraj na świecie nie popada co roku w szaleństwo festynu charytatywnego, oznacza, że to w USA, zachodniej Europie czy innych rozwiniętych regionach świata dobroczynność traktowana jest przez tamtejsze społeczeństwa po macoszemu, marginalnie, krótko mówiąc: że to z nimi jest coś nie tak? Czy może jednak przeciwnie: to nasza WOŚP stanowi aberrację?

CO „JUREK WYDOBYŁ"?

Skąd w ogóle wzięło się to szaleństwo, narastające z roku na rok i z roku na rok generujące coraz silniejsze negatywne emocje, dzielące Polaków wedle znanej od dawna linii postkolonialnego rozdarcia na gardzące tubylcami kreolskie elity i odmawiających im autorytetu autochtonów?

Wyznawcy Owsiaka ukuli i uwielbiają powtarzać wzniosłą frazę, że „Jurek wydobył z nas, Polaków, to, co w nas dobre i piękne". Z przykrością trzeba stwierdzić, że jest inaczej. Jerzy Owsiak rzeczywiście wydobył z naszego społeczeństwa pewne charakterystyczne dla niego cechy, ale raczej te, z których nie można być dumnym, stanowiące spuściznę komunizmu i wcześniejszych zaborów: zamiłowanie do spektakularnych zrywów od czasu do czasu zamiast systematycznego wysiłku, do działań na pokaz, efekciarstwa i biurokratycznego picu.

W rozmachu WOŚP odżywa coś z wczesnych lat gierkowskich, tkwiących wciąż w polskiej podświadomości jako dobrze wspominany stan odniesienia: coś z haseł „Polak potrafi", z masowych akcji „szukania 20 miliardów" czy „ludzi do-ro" (dobrej roboty) i coś z cyklicznego telewizyjnego festynu „Turniej miast". Można się też w WOŚP dopatrzeć odrodzenia sanacyjnej tradycji ciągłego odwoływania się do społecznej ofiarności, do nieustannych zbiórek, w których dorośli i dzieci oddawali oszczędności na dozbrojenie armii, na zakup okrętu podwodnego czy ścigaczy, na ochronę przeciwlotniczą i Ligę Kolonialną – zbiórek, które co prawda niewiele przyniosły realnego pożytku, ale dawane przez nie poczucie jednoczenia się wokół szlachetnego celu pozostało częścią mitu przedwojennej Polski.

Odżywa to wszystko, jak często w historii bywa, w formie skarlałej czy wręcz zdegenerowanej. Wbrew twierdzeniom entuzjastów WOŚP orkiestra, szczególnie odkąd stała się popkulturowo-urzędowym molochem, nie pobudza Polaków do dobroczynności. Jest raczej rozgrzeszeniem z bierności i obojętności na innych przez całą resztę roku. I to rozgrzeszenie jest towarem, którego sprzedaż przyniosła Owsiakowi ten bezprzykładny sukces. Wrzucając do puszki albo licytując na aukcji internetowej, można kupić sobie poczucie, że się jest dobrym człowiekiem, ratującym chore dzieci, na dodatek w pakiecie z poczuciem przynależności do jasno wyodrębnionej, bo oznakowanej logo z serduszkiem wspólnoty takich ludzi, a więc – do lepszych, stojących moralnie wyżej. Czyż nie jest znaczące, że owsiakowe serduszka tak chętnie i tak demonstracyjnie obnoszą celebryci, artyści i dziennikarze, którzy przez resztę roku zioną pogardą dla stojących od nich niżej, „starszych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków", epatując w wywiadach poczuciem wyższości nad „wiochą" i „patologią" biorącą „500+"? Że nad zasługą Owsiaka, który „odbudowuje ich wiarę w Polaków", roztkliwiają się na okoliczność „finałów" ci sami, którzy w czasie powszednim skarżyli się mediom, że czują się, tu, w Polsce, „jak w niewietrzonej piwnicy z tłumem niedomytych ludzi w brudnej bieliźnie i śmierdzących skarpetach", „jakby ktoś bez przerwy puszczał bąki" czy zgoła jakby tu na nich „ktoś ciągle sr.ł"?

> **Wrzucając do puszki albo licytując na aukcji internetowej, można kupić sobie poczucie, że się jest dobrym człowiekiem**

W krajach „małych orkiestr codziennej pomocy" dobroczynność jest dla osób publicznych i wszelkiego rodzaju ludzi sukcesu czymś więcej niż elementem dobrego tonu – jest warunkiem, który trzeba spełniać, żeby zasługiwać na odpowiedni do zajmowanej pozycji społecznej szacunek. Szczególnie w USA finansowanie przez sławnych ludzi dobroczynnych fundacji, badań naukowych, szpitali, stypendiów dla uzdolnionej młodzieży etc. ma ogromne, rzadko przez nas sobie uświadamiane rozmiary. Do każdej takiej osoby zwraca się nieustannie o wsparcie wielu organizatorów przedsięwzięć charytatywnych, nie wszyscy oczywiście dostają pieniądze, o które proszą, ale trudno mi sobie wyobrazić, aby jakiś gwiazdor Hollywood zaoferował, że może proszącym dać na licytację swoje stare buty czy kurtkę albo zaszczyt zjedzenia z nim śniadania.

Zwyczaj, w który obrosła WOŚP – by zamiast wesprzeć sprawę pieniędzmi, licytować spacer ze sobą albo wpuszczenie do swego miejsca pracy – wydaje się szczególnie żałosną formą lansu. W tym roku rekord pobiła blogerka modowa i córka byłego premiera Kasia Tusk, która wystawiła na licytację wyprowadzenie na spacer swojego psa; być może niebawem pojawią się do wylicytowania oferty zrobienia u jakiejś gwiazdy porządków w piwnicy albo skopania ogródka.
Z drugiej strony trzeba przyznać, że te specyficzne atrakcje znajdują nabywców, najwyraźniej więc także i tu odpowiada WOŚP na jakiś nieprzeczuty przez nikogo poza Owsiakiem popyt.

PRZEDSIĘWZIĘCIE UPAŃSTWOWIONE

Jeśli spojrzeć na Owsiaka – a tak proponuję – jako na swego rodzaju biznesmena, który odniósł wielki sukces, bo umiał zaoferować towar zaspokajający powszechną potrzebę, to nie można nie zwrócić uwagi, że decydującą dla tego sukcesu klientelę stanowiło państwo, a mówiąc ściślej, sterująca tym państwem od roku 1989 neoliberalna oligarchia (nie jest to termin dobrze oddający naturę „klasy panującej" III RP, zrodzonej z magdalenkowego układu, ale, niestety, język w tych sprawach narzuciła lewica). Spontaniczne początkowo przedsięwzięcie, zrodzone z mobilizacji muzyków rockowych i ich publiczności, zostało błyskawicznie upaństwowione. Owsiak dostał do dyspozycji państwowe media, studia, wozy transmisyjne etc., całą infrastrukturę, której wartość pozostawała o rzędy wielkości wyższa niż możliwości zbiórki. Każde miasto, każdy powiat dokładały się do medialnej oprawy zbiórki, za pieniądze obywateli budując estrady, organizując koncerty i zatrudniając artystów. W apogeum sukcesu, za rządów Tuska, na Owsiaka pracowały wszystkie możliwe służby, poczta, straż pożarna, wojsko woziło go myśliwcem F-16, wszystko to w atmosferze kompletnego lekceważenia dla zasad budżetowania jednostek administracyjnych czy samorządowych.

eprasa.pl 1425b3815a

Często używany przez wyznawców WOŚP argument, że kto krytykuje ich idola, nie ma moralnego prawa być leczonym z wykorzystaniem kupowanego przez WOŚP sprzętu, poza tym, że oparty jest na grubym przecenieniu znaczenia tego sprzętu, jest szczególnie chybiony, bo za ten sprzęt zapłaciliśmy wszyscy, nie tylko ci, którzy dobrowolnie wrzucali datki do puszek. W atmosferze moralnego terroru, rozpętanego na wiele lat przez elity III RP, nikt nigdy nie pokusił się o policzenie kosztów zbudowania popularności i siły znaku WOŚP – poukrywanych w finansowaniu przez telewizję, samorządy i państwowe służby – zaryzykowałbym jednak stwierdzenie, że przez 30 lat grubo przekroczyły one oficjalny dochód ze zbiórek, wedle samej WOŚP wynoszący łącznie około miliarda złotych (dla porównania – roczny budżet NFZ to 88 mld).

Co w zamian dostali rządzący? Tu pojawia się jedyna zagraniczna analogia, którą można dla WOŚP znaleźć, historyczna i niezbyt chwalebna – coroczna akcja „zimowej pomocy", urządzana w latach 30. w Niemczech. Tam również w dniu akcji wszyscy celebryci, rządzący i znane osoby zobowiązane były do zbierania datków na biedniejszych rodaków. Nie należy przesadzać z szukaniem łatwych podobieństw, ale wielki, doroczny charytatywny festyn Owsiaka osiąga dokładnie ten sam cel: integrowania wspólnoty wokół elit rządzących, a tym samym ugruntowywania panującego porządku.

W pakiecie usług, które establishment III RP kupił poparciem dla WOŚP od Owsiaka, było jeszcze coś – indoktrynacja młodzieży. Nastolatki z nizin społecznych, z małych miejscowości, z prowincji wtrąconej „transformacją ustrojową" w bezrobocie i beznadzieję w podziękowaniu za pracę wkładaną w WOŚP dostawały od Owsiaka możliwość wyjazdu raz do roku na festiwal rockowy. A na tym festiwalu, w pakiecie z muzycznym karnawałem, wyrwaniem się z szarej rzeczywistości, wytarzaniem w błocie i haustem młodzieńczej wolności, dostawali spotkania z autorytetami, tymi właśnie, które im taką, a nie inną rzeczywistość zafundowały. I przemożną perswazję, że „transformacja" jest dobra, a w każdym razie fajna – to z ich codziennym otoczeniem, rodzicami i starszymi sąsiadami, którzy na nią narzekają, musi być coś nie tak. By nie dłużyć wątku, kto ciekaw, niech przejrzy w Internecie listę gości kolejnych Owsiakowych festiwali. Wałęsa, Balcerowicz, Bartoszewski, gwiazdy publicystyki TVN… Przez wszystkie lata nie wpuszczono tam ani jednej osoby choć odrobinę krytycznej wobec panującej oligarchii i pomagdalenkowego porządku.

SZTANDAR PRZEGRANYCH

W tej części zjawiska WOŚP jest też zaczątek jego przyszłego upadku. Silna więź z rządzącymi sprawiła, że w momencie, gdy doszło do zmiany rządów i zakwestionowania elity III RP – a wcześniej utraty przez nią autorytetu – nie mógł Owsiak uniknąć bardzo silnego zaangażowania po ich stronie. I tak WOŚP ze świetnie skrojonego pozoru wytęsknionej przez prostego Polaka jednoczącej wspólnoty stała się sztandarem jednego z politycznych plemion. I to tego przegrywającego. Ten proces przyśpieszył po tragicznej śmierci Pawła Adamowicza i całym politycznym spektaklu nad jego trumną, w którym ważną rolę odegrał Owsiak. Każdy celebrycki wpis, czyniący z datku na WOŚP formę demonstracji przeciwko PiS, Kościołowi i innym obiektom nienawiści upadającej elity Okrągłego Stołu, przyśpiesza erozję owego nimbu świeckiej świętości, który przez tak wiele immunizował Owsiaka na wszelkie pytania i wątpliwości.

W pakiecie usług, które establishment III RP kupił poparciem WOŚP od Owsiaka, było jeszcze coś – indoktrynacja młodzieży

Owe pytania coraz częściej dotyczą biznesowego otoczenia WOŚP, spółek Złoty Melon, Mrówka Cała etc. Szczególnie ta pierwsza nazwa stała się sławna, gdy w procesie wytoczonym oskarżającemu go o nadużycia finansowe blogerowi Markowi Wielguckiemu wolał Owsiak przegrać, niż przedstawić sądowi żądaną dokumentację finansową. Wrogowie WOŚP, mnożący się w miarę, jak sam Owsiak coraz bardziej stawał się jednym z liderów politycznego obozu anty-PiS, poczuli krew.

Nie wydaje się, by oskarżenia o nadużycia kiedykolwiek znalazły potwierdzenie, ale nie chodzi o nadużycia, chodzi o samo przedostanie się do publicznej świadomości, że Owsiak zarabia pieniądze. I to nieliche: krytykujący go od dawna Łukasz Foltyn, na podstawie oficjalnych sprawozdań finansowych, obliczył ostatnio wpływy jego rodziny z przedsięwzięć zbudowanych wokół marki WOŚP na 5–10 mln zł. Może to być więcej, i doprawdy nie ma w tym żadnego naruszenia prawa. WOŚP stała się potężną marką, o którą biją się reklamodawcy, od banków i telefonii komórkowych po producentów soków. Stał się też ważnym graczem na rynku cennego i rzadkiego sprzętu medycznego. Obsypywanie zleceniami Złotego Melona czy innych spółek jest pewnie pierwszym pomysłem, który się każdemu z przedstawicieli biznesu narzuca, o bardziej wysublimowanych nie wspominając.

Ale nie chodzi o insynuacje, że Owsiak podbiera z puszek (które od czasu do czasu próbuje wyśmiewać albo wykorzystać do kreowania się na męczennika). Wystarczy, że markę WOŚP i swoją osobistą sławę zbudował Owsiak na micie filantropa, a nie biznesmena. Jako taki powinien w oczach przeciętnego Polaka żyć w ascezie. To, że mieszka w superwilli, jeździ „wypasioną" furą i ustawił dostatnio dzieci, skutecznie demoluje jego wizerunek.

Potęga WOŚP jest tak duża, że Owsiak na pewno będzie z niej mógł dobrze żyć, może nie „do końca świata i dzień dłużej", ale wystarczająco długo – choć kolejne doroczne rekordy od dawna wydają się fikcją, podtrzymywaną wpłatami od wielkich reklamodawców, a nie wpływami ze zbiórki (informacji o tych ostatnich Owsiak odmawia równie gniewnie jak szczegółów działalności swoich spółek). Ten fakt niezmiernie gniewa jego prawicowych krytyków.

W istocie, jak sądzę, nawet nie szanując Owsiaka, nie ma sensu prowadzić z nim wojny. Oczywiście wykazał się wielką zręcznością przy tworzeniu know-how orkiestry (wysyłanie do zbiórki dzieci, oklejanie sprzętu i szpitali serduszkami etc.), ale w gruncie rzeczy o jego sukcesie zadecydował stan polskiego społeczeństwa, jego odziedziczone po PRL patologie. Dopóki one nie znikną, dopóty żadna krytyka wyznawców Owsiaka nie przekona – a gdy znikną, WOŚP sama z siebie będzie musiała stać się normalną akcją w typie zachodnim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ADOBE STOCK

Odkręcanie liczników

Łukasz Zboralski

Rząd uszczelnił sieć na oszustów samochodowych i nie ma tygodnia, by policja nie wykrywała cofniętego przebiegu w samochodzie. W tym systemie tkwi jednak jeszcze jedna wielka dziura

Od 1 stycznia tego roku policjanci drogówki mają nowy obowiązek podczas kontroli kierowców. Muszą sprawdzić i wprowadzić do systemu stan drogomierza samochodu. Z Centralnej Ewidencji Pojazdów od razu otrzymują informację, jak ma się to do stanu licznika zarejestrowanego przez diagnostów podczas ostatniego badania technicznego. Niezgodności widoczne są więc od ręki.

I już 2 stycznia w ręce policji wpadł pierwszy kierowca, którego stan licznika pojazdu budził wątpliwości. Patrol policyjnej grupy SPEED zatrzymał na zakopiance szofera, który jechał za szybko o ok. 30 km/godz. Gdy funkcjonariusze sprawdzili stan licznika peugeota partnera, okazało się, że od przeglądu samochód swój przebieg... zmniejszył o 46 tys. km. Kierowca nie potrafił tego wyjaśnić. Zasłaniał się tym, że to pojazd firmowy.

Po tym dniu posypały się doniesienia w policyjnych kronikach. Nie było tygodnia, by jakiś patrol w kraju nie natrafił na „kręcony" licznik. Co chwila padały nowe

eprasa.pl 1425b3815a

rekordy. Dwa dni po kontroli na zakopiance inni policjanci w Krapkowicach ujawnili w osobowej skodzie zaniżony drogomierz o blisko 200 tys. km. A i ten „rekord" został dość szybko pobity. 7 stycznia w miejscowości Kraszewo niedaleko Ciechanowa drogówka zatrzymała dostawcze iveco. Z jego licznika od przeglądu zniknęło blisko 0,5 mln km. A już w ubiegłym tygodniu policjanci z Krakowa zatrzymali kierowcę mercedesa sprintera, w którym stan drogomierza nie zgadzał się o ponad milion kilometrów! Kierowca tłumaczył, że w tym firmowym samochodzie licznik został wymieniony – policja będzie to weryfikować.

We wszystkich tych przypadkach nie kończy się na mandacie, rozpoczynają się postępowania karne, ponieważ cofanie licznika w samochodzie jest dziś przestępstwem. Nie byłoby tego, gdyby nie pomysł ministra Zbigniewa Ziobry.

GIGANTYCZNY BIZNES

Z cofaniem rzeczywistego przebiegu samochodu było w Polsce tak samo jak z wieloma innymi rzeczami – wszyscy od lat wiedzieli, że w ten sposób sprzedający używane samochody wraz z mechanikami świadczącymi takie usługi oszukują klientów, ale nikt nawet nie starał się temu przeciwdziałać. Być może dlatego, że byłby to cios w gigantyczny biznes. Tylko z zagranicy rocznie do Polski sprowadza się wciąż milion używanych samochodów. Chodzi więc o rynek wart 1 mld zł. Według szacunków Związku Dealerów Samochodowych w Polsce aż 85 proc. sprowadzanych używanych aut może mieć zaniżone przebiegi. I choć to pewnie zawyżona skala, to problem jednak jest potężny.

Wojnę „kręconym licznikom" wypowiedział minister sprawiedliwości. Trzy lata temu Zbigniew Ziobro zapowiedział zmiany w prawie, które miały proceder ukrócić. – Wprowadzamy nowy typ przestępstwa, nieznany dotychczas polskiemu prawu. Za sam fakt sfałszowania licznika, cofnięcia licznika bądź wymiany licznika na inny będzie grozić odpowiedzialność karna od trzech miesięcy do lat pięciu – zapowiedział na konferencji prasowej w 2017 r. Za prace nad tym projektem odpowiedzialny był wiceminister Patryk Jaki.

Od początku te zmiany w prawie część osób krytykowała. Pojawiały się m.in. takie opinie, jakie było słychać po niedawnej zapowiedzi premiera o zmianie w sprawie pierwszeństwa pieszych – że sama zmiana prawa rzeczywistości nie zmienia. – Tak, pamiętam, była taka presja, jak zresztą przy wielu innych ustawach, by tego nie wprowadzać, bo to jest bez sensu – wspomina „Do Rzeczy" wiceminister Patryk Jaki. – A ja uważałem, że jest głęboki sens tej zmiany. W Polsce wiele firm wyspecjalizowało się w oszukiwaniu na licznikach. I nie chodzi już wyłącznie o to, że Polacy przy zakupie używanego samochodu płacą więcej, niż on faktycznie jest wart, ale chodzi też o bezpieczeństwo. Samochód, który ma wiele większy przebieg, niż faktycznie się to podaje, może nie być w tak dobrym stanie technicznym. I potem się okazuje, że np. w trudnej sytuacji drogowej coś nie zadziała i ginie jakieś dziecko, jacyś rodzice – opowiada.

Procedura legislacyjna trwała jednak dość długo, bo dopiero w ubiegłym roku nowe prawo weszło w życie. Od maja 2019 r. w Kodeksie karnym zaczęły funkcjonować zapisy, które określiły nowy typ przewinienia i karę za nie (§ 1. Kto zmienia wskazanie drogomierza pojazdu mechanicznego lub ingeruje w prawidłowość jego pomiaru, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5;

Wojnę „kręconym licznikom" wypowiedział minister Ziobro. Oszuści wreszcie widzą, że nie są bezkarni, i działa to na nich prewencyjnie

§ 2. Tej samej karze podlega, kto zleca innej osobie wykonanie czynu, o którym mowa w § 1;

§ 3. W wypadku mniejszej wagi, sprawca czynu określonego w § 1 lub 2, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2).

Oczywiście, jak wskazywali też eksperci, zmiana prawa nie była niezbędna. W polskim Kodeksie karnym od dawna były zapisy, które pozwalały na penalizację takich zachowań. Zgodnie z art. 286 § 1 Kodeksu karnego karą więzienia do 8 lat zagrożony jest ten, kto „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, doprowadza inną osobę do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania". Jednak takich oszustw wymiar sprawiedliwości nie tropił. A przecież wykazać, że zmniejszony przebieg podnosi wartość samochodu przy sprzedaży, nie byłoby trudno.

Dlatego resort sprawiedliwości postawił na uproszczenie sprawy. Teoretycznie kara została zmniejszona, ale jasne zapisy powinny pomóc w karaniu sprawców – no i przy tak wielkiej kampanii w mediach (a o zmianach dyskutowało się bez przerwy) nowy zapis zadziałać mógł też odstraszająco.

WSZYSTKO DO SYSTEMU

Cały system zmian nie sprowadził się do wyznaczenia kodeksowej kary. Połączono wiele elementów. W 2014 r. podczas przeglądów na stacjach diagnostycznych kierowcy zaczęli otrzymywać też zaświadczenie m.in. z wydrukowanym stanem licznika. Te dane diagności zaczęli też wprowadzać do rządowej bazy. Już wówczas cofanie licznika mogło się odbywać bez wpadki jedynie tuż przed przeglądem.

Teraz, gdy policjanci muszą podczas kontroli drogowych spisywać liczniki, system się domknął. Owszem, nadal można cofnąć licznik np. w dniu, w którym ktoś pojedzie na przegląd techniczny – ale już nie ma pewności, że po drodze nie zatrzyma go akurat patrol do kontroli.

– Mamy sygnały, że to wszystko zaczyna działać, ale realne statystyki zobaczymy dopiero po roku – zauważa Patryk Jaki. – Do tej pory nie było ani prawa, ani dobrej praktyki. Teraz oszuści już widzą, że nie są bezkarni, i zadziała to na nich prewencyjnie. Za rok natomiast zobaczymy, jak dalej zadziałało to w wymiarze sprawiedliwości – dodaje.

Już dziś wiadomo, że w systemie pozostaje jedna wielka wyrwa, której nie kwapi się załatać Ministerstwo Cyfryzacji. Chodzi o samochody używane sprowadzane z UE do Polski. Na milion ubiegłorocznego importu połowa aut przyjechała do nas z Niemiec. Tymczasem polski resort cyfryzacji oferuje w państwowym systemie sprawdzenie przebiegu samochodów (po numerze VIN) z innych krajów i nawet to swego czasu mocno reklamował. Sęk w tym, że wśród tych krajów nie ma najważniejszej bazy – niemieckiej.

Niemieckie bazy, w których można takie rzeczy sprawdzać, są płatne. Chociaż na poziomie państwa to wydatki groszowe, a Polsce powinno bardzo zależeć na tym, by na nasze drogi nie trafiały wyeksploatowane pojazdy z dróg niemieckich lub by nabywcy znali ich pełną historię. Czy ministerstwo się przełamie i zadziała na korzyść obywateli?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. DAWID CHALIMONIUK / AGENCJA GAZETA

Rugi uczelniane

Agnieszka Niewińska

Studenci Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach złożyli skargę na profesor. „Definiowała płody jako dzieci" – napisali. Rzecznik dyscypliny chce ją ukarać naganą

Homofobia, antysemityzm, dyskryminacja wyznaniowa czy promowanie poglądów niezgodnych ze współczesną wiedzą naukową – to tylko kilka z długiej listy zarzutów grupy studentów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach wobec prof. Ewy Budzyńskiej, specjalistki z zakresu socjologii rodziny i socjologii moralności. Na UŚ prowadziła w ubiegłym roku akademickim zajęcia „Międzypokoleniowe więzi w rodzinach światowych" i to one tak wzburzyły grupę studentów, że zdecydowali się na oficjalną skargę.

– Kiedy zostałam wezwana na urzędowe spotkanie z władzami uczelni i pokazano mi kserokopię tego donosu, byłam zszokowana – mówi „Do Rzeczy" prof. Budzyńska. Wysunięte przez studentów oskarżenia uważa za oszczerstwa i pomówienia. – Od 28 lat prowadzę tego typu zajęcia. Zdarzało się, że studenci podejmowali ze mną dyskusję, nie zgadzali się z wynikami prezentowanych badań czy opracowań naukowych, ale każdy zostawał przy swoim. Nikogo do niczego nie zmuszam, nie przekonuję. Opieram się na literaturze fachowej, a na egzaminie wymagam zrelacjonowania tego, co było w omawianych opracowaniach naukowych – tłumaczy socjolog.

„NORMALNA RODZINA" DYSKRYMINUJE

Zajęcia z socjologii rodziny, jak mówi, zaczyna od klasycznej definicji rodziny, omawia typy rodzin funkcjonujących w różnych kulturach i religiach. Porównuje stosunek różnych religii do takich kwestii, jak trwałość małżeństwa, rozwody, status kobiet w rodzinie, stosunek do płodności, antykoncepcji czy postrzeganie aborcji. – Prezentowałam to nawet w tabelach, pokazując, jak na te kwestie zapatrują się religie chrześcijańskie i pozachrześcijańskie – opowiada prof. Budzyńska i dodaje, że studenci pracują na tekstach źródłowych, opracowaniach naukowych, na zajęciach wykorzystywane są także materiały filmowe.

Jak zajęcia opisała w skardze grupa studentów? „Prof. Budzyńska wypowiada się o osobach nieheteronormatywnych, stygmatyzując je negatywnie i podkreślając, że normalna rodzina składa się zawsze z mężczyzny i kobiety. Jesteśmy oburzeni taką postawą, nie zgadzamy się na żadną dyskryminację" – czytamy.

– Jest mi bardzo trudno zrozumieć, co było powodem takiego zarzutu. Może podanie klasycznej socjologicznej definicji rodziny – małżeńskiej, realizującej wyznaczone społecznie role oraz spełniającej oczekiwane od niej zadania? Dodam, że nie używam w tym przypadku określenia „normalna" rodzina, ale „rodzina tradycyjna". Jest to ważne choćby przy omawianiu przemian współczesnych rodzin zachodnich oraz ich skutków – zwłaszcza dotykających dzieci z rodzin niepełnych, rozbitych przez rozwód, zrekonstruowanych bądź tworzonych przez pary homoseksualne. Cóż tu miałoby „stygmatyzować" osoby homoseksualne? – pyta socjolog.

Studenci w skardze żalą się, że profesor, mówiąc o aborcji, „stygmatyzowała osoby, które mogły mieć doświadczenie związane z tym zabiegiem medycznym (nazywając go morderstwem)".

– Mówię studentom o tym, jakie oceny etyczne pojawiają się w różnych religiach i wyznaniach w odniesieniu do aborcji. W jednych podkreśla się prawo kobiety do wyboru, w innych aborcja jest równoznaczna z zabójstwem dziecka i zakazana

eprasa.pl 1425b3815a

ze względu na złamanie przykazania Dekalogu „Nie zabijaj" – wyjaśnia prof. Budzyńska. Dodaje, że mówi studentom także o konsekwencjach dokonanej aborcji. – W jej wyniku ginie nie tylko człowiek, ale głębokie cierpienie dotyka także jego matkę. Jestem również psychologiem klinicznym, przez wiele lat wspierałam głęboko cierpiące kobiety, które wcześniej dokonały aborcji. Wiem, z jakimi problemami później się zmagają. Są i inne konsekwencje aborcji oraz antykoncepcji, takie jak powolne wyludnianie się krajów zachodnich. Najczęstszą przyczyną śmierci Europejczyka staje się aborcja. Prowadzi to do starzenia się społeczeństw i braku rąk do pracy.

Wśród zarzutów studentów znalazł się i taki: „Definiowała też płody jako dzieci". – Zarzut ten budzi moje zdumienie. Określenie „dziecko" ma różne znaczenia, a wśród nich jest i takie, które wskazuje na związki biologiczne, emocjonalne i społeczne z naszymi rodzicami: jesteśmy zatem dziećmi zarówno przed urodzeniem, jak i po urodzeniu; gdy mamy po kilka lat, jak i wtedy, gdy wchodzimy w okres starości – zawsze pozostajemy dziećmi naszych rodziców. Tym bardziej na takie określenie zasługuje człowiek na etapie życia prenatalnego – odpowiada socjolog.

NAGANA TO PREWENCJA

Chociaż skarga studentów na prof. Budzyńską wpłynęła w grudniu 2018 r., to UŚ do tej pory zajmuje się sprawą. Postępowanie wyjaśniające na wniosek rektora wszczął prof. Wojciech Popiołek, rzecznik dyscyplinarny UŚ. Przesłuchał czwórkę studentów, którzy podpisali się pod skargą, otrzymał też obszerne wyjaśnienia prowadzącej zajęcia.

Reprezentująca prof. Budzyńską mec. Magdalena Majkowska z Centrum Interwencji Procesowej Ordo Iuris ma zastrzeżenie do sposobu prowadzenia postępowania wyjaśniającego. – Rzecznik dyscyplinarny przesłuchał jedynie niektórych z tych studentów pani profesor, którzy poparli skargę, ponadto dwojgu przesłuchiwanym okazał protokół zeznań trzeciego z nich, by następnie ze zgodnych zeznań świadków wyprowadzić wniosek o ich prawdziwości – mówi mec. Majkowska. Dodaje także, że rzecznik nie przesłuchał studentów spoza grupy, która podpisała skargę.

Chociaż rzecznik dyscyplinarny za bezzasadny uznał zarzut antysemityzmu oraz nienaukowości przekazywanych informacji, złożył wniosek o ukaranie prof. Budzyńskiej naganą. Zarzuca socjolog m.in. brak tolerancji, wypowiedzi homofobiczne, krytykę wyborów życiowych kobiet dotyczących m.in. przerywania ciąży. „W ocenie Rzecznika wymierzenie Obwinionej stosunkowo łagodnej kary nagany będzie stanowiło adekwatną dla czynu Obwinionej karę, a także będzie stanowiło wyraz prewencji ogólnej oraz prewencji szczególnej" – napisał.

– W takich postępowaniach wobec wykładowców chodzi o atmosferę zastraszania, wymuszanie na nich politycznej poprawności – komentuje Krystian Kratiuk, publicysta katolicki. – W efekcie naukowiec, który chce zrobić doktorat, habilitację, pracować na uczelni i nie zostać z niej relegowanym, wie, że pewnych tematów nie można poruszać. Włącza się autocenzura – podkreśla.

Wśród zarzutów studentów znalazło się m.in. to, że profesor definiowała rodzinę jako związek kobiety i mężczyzny

Zapytaliśmy rzecznika prasowego UŚ, czy wszczęcie postępowania wobec prof. Budzyńskiej oznacza, że na tej uczelni są tematy, których wykładowca nie może poruszać podczas zajęć. Jacek Szymik-Kozaczko nie chciał szerzej odnieść się do sprawy, tłumacząc, że postępowanie trwa, a profesor nie została ukarana.

Sprawa prof. Budzyńskiej to nie pierwszy przypadek, który pokazuje, że osoby, które nie stosują prawideł poprawności politycznej, nie są na uczelniach mile widziane. We wrześniu 2019 r. UMK zawiesił na trzy miesiące prof. Aleksandra Nalaskowskiego. Pedagog w felietonie opublikowanym w prasie w ostrych słowach opisał parady równości. Po tym, jak o sprawie zrobiło się głośno, a prof. Nalaskowski złożył odwołanie, rektor decyzję cofnął.

Pod koniec listopada umowę z wykładowcą rozwiązał Śląski Uniwersytet Medyczny. Powodem był wykład „Homoseksualizm a zdrowie". Środowiskom LGBT nie spodobało się mówienie o „medycznych konsekwencjach homoseksualizmu" czy wskazywanie, że wśród chorych na AIDS najwięcej jest gejów.

– Problemy mają nie tylko wykładowcy, lecz także organizacje i koła studenckie, które chcą zaprosić na spotkanie czy konferencję osoby podejmujące drażliwe dla ideologów postępu tematy – zwraca uwagę Kratiuk.

Przykłady można mnożyć. W styczniu 2017 r. Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego odwołało zapowiedzianą konferencję „Prawo dziecka do życia". Protestowała przeciw niej Partia Razem. W 2017 r. na Wrocławskim Uniwersytecie Medycznym nie mogła wystąpić Irene van der Wende – holenderska działaczka pro-life, która w młodości dokonała aborcji. Wraz z dr Wiesławą Stefan miała mówić o syndromie poaborcyjnym.

W tym samym roku szerokim echem odbiła się sprawa odwołania spotkań z amerykańską prawniczką i działaczką pro-life Rebeccą Kiessling. Miała ona wystąpić na czterech uczelniach. Spotkania zostały oprotestowane przez grupy studentów. Odbyło się ono tylko na KUL. – W Stanach Zjednoczonych bardzo często przemawiam na najbardziej prestiżowych uniwersytetach i ani razu nie zdarzyło mi się, żeby ktokolwiek zablokował moje wystąpienie – dziwiła się Kiessling. Występowała m.in. na Uniwersytecie Stanforda czy w Instytucie Technologii w Massachusetts.

– W środowiskach akademickich można już wręcz mówić o „dyktaturze LGBT" – zwraca uwagę Krystian Kratiuk. – Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich niedawno wydała stanowisko, z którego można wysnuć, że kwestie związane z ideologią LGBT nie podlegają dyskusji, bo to „fakty naukowe" – mówi.

GENDER JAK KOMUNIZM

Profesor Budzyńska z jednym zarzutem ze skargi studentów się zgadza. Porównywała gender do komunizmu. – Mówiłam o tym, że na uczelniach wyższych na świecie wykładowcy, którzy ideologii gender nie przyjmują, są zmuszani do odejścia lub wyrzucani z uczelni. To fakt. Takie działania uciszania niepokornych wykładowców metodą donosów i kar stosował komunizm – mówi „Do Rzeczy".

Jak postąpi Uniwersytet Śląski? Prof. Budzyńska już zdecydowała, że niezależnie od decyzji komisji dyscyplinarnej nie chce już pracować na uczelni, która, jak mówi, „dąży do narzucania nauczycielom akademickim lewicowego języka poprawności politycznej, będącej współczesną formą totalitarnej cenzury".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

Dodo! Wróć!

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1425b3815a

Sławomir Jastrzębowski

W procesie Dody i jej byłego narzeczonego jest interesujący szczegół – na jaw może wyjść, kto ujawniał pikantne szczegóły śledztwa

A tak mnie jakoś ostatnio naszło na wspominki. Brakuje mi tej Dody. Oglądam sobie różne piosenkarki i skóra bez kości, a głosiki cieniutkie, cieniuteńkie, banalne, banalniuteńkie, infantylne, infalniusie, takie jakieś gwiazdusie. Brakuje mi tej Dody. No to jednak kobieta wszechstronnie zjawiskowa oraz kobiecością silna. Ze skóry, z ciała i energii kobieta, w tym także cudownie niszczycielskiej. Ponieważ państwu też bardzo brakuje Dody, specjalnie dla państwa aż musiałem sprawdzić, co u niej słychać!

Z interesujących rzeczy – trwa proces, w którym naszą artystkę oskarżono, choć ona oczywiście twierdzi, że jest niewinna, w co ja jej wierzę, bo niby dlaczego miałaby mnie okłamywać? Proces niezwykle ciekawy oraz pikantny, ukazujący świat ludzi zamożnych, znanych, prowadzących bujne, skandalizujące życie – a to zawsze ciekawe. Co więcej, będziemy, właściwie już jesteśmy, świadkami soczystych pojedynków słownych między bardzo znanym adwokatem a jeszcze bardziej znaną piosenkarką. Na ławie oskarżonych zasiądą Dorota Rabczewska, znana jako Doda (35 lat), i jej mąż Emil Stępień (42 lata). Według prokuratury para miała wynająć paru drabów, żeby poszli do byłego narzeczonego Dody, Emila Haidara (38 lat), i szantażem nakłonili go do wycofania prywatnego aktu oskarżenia oraz wpłacenia miliona złotych. Zapętlenie sprawy polega między innymi na tym, że Haidarowi chodziło o to, żeby nikt nie dowiedział się, czym miał być rzekomo szantażowany, więc teraz znane są publicznie niestety wszystkie intymne szczegóły. Doda natomiast twierdzi, że chciała wyłącznie dobra zbłąkanego narzeczonego oraz zwrotu notarialnie udzielonej mu pożyczki w wysokości właśnie miliona, a poza tym uważa, że śledztwo przeciw niej nie było prowadzone uczciwie. Kto ma rację? To się okaże.

SILNA KOBIETA

Sylwetki Dody za bardzo przybliżać nie trzeba nawet ludziom stroniącym od życia artystów celebrytów. Z całą pewnością Dorota Rabczewska ma już zapewnione miejsce w historii polskiego show-biznesu i nie tylko. Świadomie od lat kreuje swój wizerunek kobiety silnej, niezależnej, skandalizującej. Jej brutalna szczerość bywała dla opinii publicznej paraliżująca, tak jak choćby wtedy, gdy na wizji zszokowała wszystkich, przyznając się do uprawiania seksu w toalecie w czasie przerwy w pewnym programie.

O tym, że nie opłaca się z niej naśmiewać, przekonał się z kolei między innymi Kuba Wojewódzki, którego w jego własnym programie oblała wodą, cedząc: „Jesteś ciotą, frajerem i nie masz ani honoru, ani godności". Zważyć należy, że nie pogniewała się na gospodarza programu śmiertelnie i nie była to jej ostatnia wizyta u Wojewódzkiego. Dlaczego? Ponieważ zna i akceptuje reguły gry panujące w show-biznesie – biznes to nic osobistego.

Zmysłowo głośne było jej małżeństwo z Radosławem Majdanem, które potem nazwała pomyłką, a kolorowe magazyny, w których wystąpiła w erotycznych sesjach, sprzedały się dwa razy lepiej niż świetnie. Kiedy osobiście zaangażowała się w akcję walki z białaczką, nakłaniając dawców szpiku kostnego na koncertach, w wywiadach i przy każdej możliwej okazji do rejestracji i przesyłania próbek przez osoby niespokrewnione z chorymi, lekarze nie mogli wyjść z podziwu, ponieważ dzięki niej ponad 100 tys. ludzi zamówiło pakiety rejestracyjne, żeby przekazać swoje próbki. Wtedy szeroko komentowano kolejny – także nieudany, jak się potem okazało – związek Dody, tym razem z muzykiem Nergalem. Ona wspierała go w ciężkiej chorobie, a on okazał się niewdzięczny, taki niewdzięczny.

Odnotować należy, że Doda bywała w sądach nierzadko i nie zawsze chodziło o procesy cywilne. Raz oskarżono ją o znieważenie funkcjonariuszy policji w nocy i uderzenie jednego torebką w plecy. Zarzut uderzenia torebką się nie utrzymał, a zarzut znieważenia słowami dość ordynarnymi warunkowo umorzono, co oznacza uznanie winy, ale też utrzymanie statusu osoby niekaranej. Z kolei nad wypowiedzią Dody, która padła w czasie jednego z wywiadów, deliberowało pięcioro sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Doda powiedziała dziennikarzowi, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię" i że według niej „ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem i palący jakieś zioła". Za obrazę uczuć religijnych została skazana prawomocnie na grzywnę, a Trybunał Konstytucyjny, do którego trafiła nietypowa sprawa, orzekł, że religię można co prawda krytykować, ale trzeba zachować nieznieważające formy. To orzeczenie TK jest niewątpliwym wkładem piosenkarki w debatę publiczną.

PREZENTY DO ZWROTU

Czy mężczyźni próbowali lansować siebie i swoje interesy przy okazji związku z Dodą? Kto wie, kto wie…

Pięć lat temu Doda poznała Emila Haidara, przedsiębiorcę z branży paliwowej. Jego ojciec przyjechał do Polski z Syrii, został uznanym lekarzem, próbował cztery lata temu jako polityk Zjednoczonej Lewicy dostać się do Sejmu, ale się nie udało, więc wystąpił teraz jako polityk Koalicji Obywatelskiej i mu się udało – został posłem. Emil razem z bratem prowadził interesy związane z kilkoma spółkami. Wydawał się człowiekiem zamożnym, który obsypywał swoją narzeczoną drogimi oraz bardzo drogimi prezentami. Jednak jak na biznesmena zachowywał się chyba nazbyt celebrycko. Wrzucając swoje zdjęcia z Dodą do mediów społecznościowych, informował, że jest w stanie za polubienie danej informacji zdradzić jakieś łóżkowe sekrety, a za określoną liczbę „lajków" nawet oświadczyć się narzeczonej. Wśród prezentów, które przyjęła od niego Doda, był pierścionek z diamentami, który miał sam zaprojektować,

Czy mężczyźni próbowali lansować siebie i swoje interesy przy okazji związku z Dodą? Kto wie, kto wie…

eprasa.pl 1425b3815a

a który miał być wart ponad 200 tys. zł. Ten szczegół wydaje się ważny.

Także ten związek się rozpadł, ale nie rozpadły się roszczenia Emila Haidara. Przedsiębiorca zażądał od swojej byłej narzeczonej zwrotu wszystkich prezentów. Gest ów nie spotkał się ze zrozumieniem polskiej opinii publicznej, aprobującej przecież niewystępujący w kodeksie cywilnym, ale obowiązujący zapis, że „kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera". W związku z tym sama piosenkarka nie miała zamiaru niczego oddawać. Sprawa prezentów trafiła do sądu, co naraziło biznesmena na lekkie kpiny, ale przecież miał prawo złożyć pozew i złożył. Sąd Okręgowy w Warszawie po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy uznał jednak, że byłemu narzeczonemu zwrot prezentów się nie należy, z wyjątkiem pierścionka, który został potraktowany jako rodzaj przyszłej umowy małżeńskiej (to kolejny, niebagatelny wkład Dody w polskie orzecznictwo). Można powiedzieć, że w połowie przegrał, ale i trochę wygrał. Zwrotu pierścionka się jednak nie doczekał, ponieważ Doda poszła z nim do urzędu skarbowego i obwieściła światu, że przekazała go na poczet wielomilionowych długów spółek Emila Haidara, co nie zrobiło najlepiej reputacji przedsiębiorcy. Sam pierścionek został wyceniony przez biegłego na „zaledwie" 130 tys. zł, a Doda pokazała w mediach właściwe pokwitowania świadczące o przekazaniu świecidełka.

W tym czasie artystka zaczęła być widywana w towarzystwie innego znanego Emila – Stępnia, finansisty, producenta filmowego i wspólnika reżysera Patryka Vegi. Panów łączyła prawie przyjaźń, ale – jak wieść gminna niesie – poróżniła ich właśnie Doda. Stępień miał wywierać lekką presję na Vegę, żeby ten obsadził w głównej roli w najnowszym „Pitbullu" piosenkarkę, a Vega był temu przeciwny. Panowie się rozstali. Doda zagrała w tym filmie, choć reżyserował go już Władysław Pasikowski.

PIKANTNE FILMIKI

Emil Haidar zgłosił policji, że jest szantażowany przez Dodę pewnymi pikantnymi filmikami i zmuszany do określonego zachowania. Dzięki mediom społecznościowym ta sprawa toczyła się i w części toczy na oczach opinii publicznej, po części w czasie rzeczywistym. Świat przeczytał więc słowa piosenkarki, że nikogo niczym nie szantażuje, zwraca jednak uwagę na rzekomo daleko idące uzależnienia byłego narzeczonego, które mają mu rujnować życie. Ten odprysk sprawy trafił do prokuratury, a potem do sądu.

I tu robi się ciekawie, ponieważ do sprawy wkracza słynny mec. Roman Giertych, który w charakterystyczny dla siebie sposób poinformował na Twitterze: „Dziś zapadł wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie w sprawie Doroty R. Została prawomocnie skazana na grzywnę za groźby karalne wobec Emila Haidara. We wrześniu rozpocznie się znacznie poważniejsza sprawa, gdzie na ławie oskarżonych skazana dziś Dorota R. zasiądzie wraz z innymi osobami". Znamy Dodę od lat, nie byłaby sobą, gdyby nie odniosła się do tego wpisu w sposób także charakterystyczny dla siebie. Obserwujący tego typu batalie internauci mają w takich przypadkach zwyczaj mówić, że idą po popcorn. Oto odpowiedź piosenkarki: „Romana poniosło na Twitterze. W tej sprawie nie ma i nie było takiego zarzutu gróźb karalnych. Zarzut oficjalnie brzmiał: w okresie od 15 sierpnia 2015 roku do dnia 27 listopada 2015 roku zmuszała Emila Haidar do określonego zachowania, polegającego na przyznaniu się na forum swojej rodziny oraz rodziny Emila Haidar, że ten jest uzależniony od alkoholu i środków odurzających, grożąc umieszczeniem na portalu społecznościowym zawierających treści kompromitujące pokrzywdzonego". Piosenkarka umieściła na końcu jeszcze jedno zdanie, które uznane zostało przez duży portal internetowy za „tajemnicze, że aż ciarki przechodzą po plecach". O jakie słowa chodzi? „Panie Romanie, faktycznie we wrześniu zacznie się nowy rozdział nie tylko w moim życiu, ale też pana... i pan wie, że ja wiem" – napisała Doda.

We wrześniu ruszył proces, w którym piosenkarka ze swoim mężem oskarżeni są o nasłanie osiłków na Emila Haidara. Podobno mieli go szantażować kompromitującymi filmikami i żądać miliona złotych. Haidar twierdzi, że został… odurzony i (tu uwaga, tylko dla czytelników o mocnych nerwach) zgwałcony wibratorem na Seszelach. Całość ktoś nagrał, żeby go szantażować. Informacji o tym bardzo chcieli uniknąć on i jego rodzina, ale się nie udało. Tutaj zaczynają się prawnopolicyjne aspekty sprawy. Sami oskarżeni mówią, że nie mają niczego wspólnego z filmikiem, że nie chodzi o żadne wymuszenie, lecz jedynie o zwrot notarialnie udzielonej pożyczki, ale to wydaje się mniej interesujące.

Dużo ciekawiej zrobiło się, kiedy w maju internetowe media zamieściły informację, że piosenkarka trafiła do szpitala po przeczytaniu artykułu pod tytułem „Kto chce zniszczyć Dodę?". Z artykułu wynika, że śledztwo w jej sprawie prowadził policjant, który korzystał z tego samego adwokata, z którego korzystał Emil Haidar. Poza tym z tego śledztwa w cudowny sposób wyciekały informacje i zeznania. Który prawnik miał dostęp do akt i wbrew przepisom je wynosił? Prokuratura jeszcze nie ustaliła, ale w artykule, po którym piosenkarka trafiła do szpitala, czytamy: „prawnik Emila Stępnia zawiadamiał prokuraturę i policję o dokonanych i planowanych publikacjach materiałów z prowadzonego śledztwa, które były objęte tajemnicą. Niestety dla Dody i Stępnia zawiadomienia nie przynosiły zamierzonego efektu, ponieważ organy ścigania wykazywały w tej kwestii dziwną i długotrwałą bezradność. W konsekwencji w międzyczasie ukazywały się kolejne publikacje zawierające w sobie materiał dowodowy objęty tajemnicą śledztwa".

Dużo ciekawiej zrobiło się, kiedy w maju internetowe media zamieściły informację, że piosenkarka trafiła do szpitala po przeczytaniu artykułu pod tytułem „Kto chce zniszczyć Dodę?"

Doda w swoich wpisach twierdziła, że naruszono zasady uczciwego procesu i że wszystkie powiązania wyjawi na sali sądowej. I na koniec zagadka, czy jej słowa: „Panie Romanie, faktycznie we wrześniu zacznie się nowy rozdział nie tylko w moim życiu, ale też pana... i pan wie, że ja wiem" to blef, czy rzeczywiście trzyma coś w zanadrzu? Zobaczymy. Procesy procesami, ale Dody nam zwyczajnie brak. Za rzadko na scenie, za rzadko na teledyskach. Ten potencjał musi być wykorzystany!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
AUTOBIOGRAFIA „RYSZARD SZURKOWSKI - WYŚCIG"

~~337~~ ZŁ > 136,00 ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 201 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1425b3815a

Od Marvela do Hitlera

Piotr Gociek

„Jojo Rabbit" niespodziewanie zdobył sześć oscarowych nominacji. Prowokacyjna komedia o małoletnim naziście to przykład popkulturowego rewizjonizmu historycznego

Jojo Betzler ma dziesięć lat i marzy o karierze w Hitlerjugend. Na obozie przygotowawczym dla przyszłych członków tej organizacji przechwala się przed swym kumplem Yorkim, że bezbłędnie rozpoznałby każdego Żyda (bo pachną brukselką), następnie przebił nożem (właśnie je dostali) i podarował Führerowi. – Od razu przyjąłby mnie do swojej osobistej gwardii – ekscytuje się Jojo. – A potem zostałbym jego najlepszym przyjacielem!

Jojo (Roman Griffin Davis) nie jest jednak najlepszym kandydatem na wyróżniającego się członka Jungvolku ani tym bardziej Hitlerjugend. Chęci ma wiele, ale to zwykły samotny, wrażliwy dzieciak – tyle że z umysłem wypranym przez hitlerowską propagandę. Kiedy więc instruktorzy na obozie każą mu własnoręcznie ukręcić kark królikowi (pierwszy krok w nauce zabijania wrogów Rzeszy bez mrugnięcia okiem) Jojo skrewia i zamiast dokonać mordu, wypuszcza zwierzątko. „Jesteś tchórzem jak twój ojciec" – słyszy Joachim. „Mały tchórzliwy królik!" Tak powstaje jego ksywa stanowiąca jednocześnie tytuł filmu: „Jojo Rabbit".

KOCHANY FÜHRER

Nikt nie wie, że Adolf Hitler już jest najlepszym przyjacielem Jojo. Nikt inny go nie widzi, ale dziarski, pełen energii, odziany w mundur przywódca Trzeciej Rzeszy objawia się dziesięciolatkowi, pociesza w trudnych chwilach, częstuje papierosami, dopinguje do wysiłku, udziela absurdalnych porad i wygłasza równie absurdalne monologi. Hitlera gra osobiście Taika Waititi, reżyser filmu „Jojo Rabbit", który wcześniej zdobył rozgłos „Dzikimi łowami" (2016) i komedią o wampirach „Co robimy w ukryciu" (2014), a wielkie pieniądze kręcąc film „Thor: Ragnarok" na zlecenie Marvela. Jego opowieść o blondwłosym superbohaterze zarobiła niemal 900 mln dol. i została uznana za jeden z najlepszych oraz najzabawniejszych filmów Marvel Cinematic Universe.

Waititi bez wątpienia ma talent reżyserski (już pracuje nad kolejnym „Thorem", kręci komedię o drużynie piłkarskiej z Samoa, szykuje też serialową wersję „Bandytów czasu" Terry'ego Gilliama), jest również utalentowanym komikiem. Jego Adolf Hitler to pełna energii komiczna kreacja, dokładnie taka, jakiej można się spodziewać po obdarzonym bujną wyobraźnią dziesięciolatku, który Führera sobie wyobraża. „Jojo Rabbit" to bowiem komedia, która idzie po bandzie – ale tylko do czasu i do pewnej dość bezpiecznej, jak się okaże, granicy.

Początek szokuje. Nie tylko dlatego, że małemu Jojo przysięgającemu wierność Hitlerowi podpowiada sam Adolf (wedle którego nasz bohater ma umysł węża, ciało wilka, odwagę pantery oraz

eprasa.pl 1425b3815a

Adolf Hitler w „Jojo Rabbit" to pełna energii komiczna kreacja, dokładnie taka, jakiej można się spodziewać po obdarzonym bujną wyobraźnią 10-latku, który Führera sobie wyobraża FOT. MATERIAŁY PRASOWE

niemiecką duszę i jest „najlepszym, najbardziej lojalnym małym nazistą, jakiego spotkał"). Także dlatego że czołówce z napisami towarzyszą archiwalne zdjęcia Hitlera i wiwatujących na jego cześć tłumów, z podłożoną do tego piosenką Beatlesów „I Wanna Hold Your Hand", tyle że śpiewaną po niemiecku („Komm, gib mir deine Hand").

Czy to zgrywa dla zgrywy? Niekoniecznie. W znanej i w Polsce książce „Mit Hitlera" Ian Kershaw, jeden z najlepszych biografów Führera, opisuje przemysł „sprzedawania Hitlera" Niemcom. Popularna prasa, filmy, książki, radiowe wystąpienia, pocztówki. Adolf Hitler był wielką gwiazdą – dziś powiedzielibyśmy popkultury – idolem mas. Ujęcia, które możemy oglądać w dokumentalnych filmach propagandowych Leni Riefenstahl nie zostały wymyślone i zainscenizowane. Niemcy kochali Hitlera, nic więc dziwnego, że kocha go także – i wyobraża sobie jako najlepszego kumpla – mały Jojo Betzler. Który zresztą sam wygląda jak jeden z małych doboszy wybijających rytm starszym kolegom w dziełach Riefenstahl. Taika Waititi pozostaje zresztą konsekwentny i przez cały film serwuje nam w rozmaitych momentach współczesne przeboje, łącznie z „Helden", czyli „Heroes", Davida Bowie na finał.

Gdy spojrzymy na obraz, barwy, kompozycję, timing komediowy, staje się jasne, że filmowi „Jojo Rabbit" patronuje także inny rodzaj czarnej satyry. Tej, której mistrzem jest jeden z najciekawszych amerykańskich reżyserów Wes Anderson, autor „Grand Budapest Hotel", „Kochanków z księżyca", „Genialnego klanu" czy „Podwodnego życia ze Stevem Zissou". Taika Waititi zgrabnie łączy farsę w stylu Mela Brooksa (któż jeszcze pamięta „Być albo nie być", komedię, której akcja rozgrywała się w okupowanej Warszawie, a Hitler został okpiony przez teatralną trupę) oraz charakterystyczny styl Andersona, w którym feerii barw na ekranie towarzyszy powściągliwa, minimalistyczna robota aktorska, a najbardziej absurdalne teksty wygłaszane są ze śmiertelną powagą. Gdy na ekranie pojawia się gestapo, trudno z kolei pozbyć się wrażenia, że wkraczamy gdzieś w rejony brytyjskiego sitcomu „'Allo 'Allo!". Herr Deertz (świetny epizod Stephena Merchanta) wygląda niemal jak Herr Otto Flick, jest jednak o wiele bardziej przerażający.

Taika Waititi dokonuje więc w „Jojo Rabbit" miksu popkulturowego. To już nie jest mieszanie historii i wyobraźni, faktów i fikcji, to gotowanie potrawy z produktów już wcześniej przez popkulturę przetworzonych. Dodaje to surrealistycznej komedii dodatkowego poczucia odrealnienia, nie niszcząc jednocześnie komfortu widza, który przecież te wszystkie klisze zna i doskonale wie, w której wymyślonej krainie się znajduje.

KOMEDIA O HOLOKAUŚCIE

Przychodzi jednak moment, kiedy prócz stylu pojawia się substancja. Świat „Jojo Rabbita" jest bowiem mocno umowny, ale problem, którego dotyka – prawdziwy. Nie muszę zdradzać wiele, bo sam dystrybutor filmu zrobił to już za mnie. W oficjalnym opisie czytamy: „Gdy niemiecki chłopiec znajduje młodą Żydówkę, którą ukrywa na strychu samotnie wychowująca go matka, jego świat staje na głowie".

Tak jak Jojo wygląda na „najlepszego, najbardziej lojalnego małego nazistę", tak i jego matka Rosie (Scarlett Johansson nominowana za tę rolę do Oscara) nie budzi początkowo naszych wątpliwości. Idealna Aryjka, blondwłosa i elegancka, obiekt westchnień miejscowych nazistów. O ojcu Jojo wiemy niewiele – podobno walczy we Włoszech (taka jest przynajmniej oficjalna wersja).

Nietrudno więc wyobrazić sobie konfuzję małego Jojo, gdy odkrywa, że matka postępuje niczym wróg Rzeszy: sama ukrywa wroga. Konfuzja powiększa się jeszcze, gdy Jojo konfrontuje swe wyobrażenia o Żydach z widokiem i obyczajami szczupłej, ładnej dziewczyny kryjącej się na piętrze jego domu. Przecież Żydzi to potwory, które śpią jak nietoperze, wisząc głową na dół, potrafią innych kontrolować mocą umysłu, cuchną, mają rogi, a kieruje nimi sam diabeł. Tymczasem Elsa ma niebieskie oczy, nie pasuje na przedstawiciela słabszej, podrzędnej rasy, bo gdy zachodzi potrzeba, potrafi sprać małego Jojo, w dodatku twierdzi, że była przyjaciółką zmarłej siostry małego nazisty.

Jojo wybiera jednocześnie ucieczkę do przodu i drogę wyparcia. Oswaja się z myślą o Żydówce pod własnym dachem, bo sam siebie przekonuje, że to doskonała okazja do studiowania wroga. Kto wie, może nawet napisze książkę o prawdziwych obyczajach Żydów? Pełną rysunków, wnikliwych obserwacji i informacji uzyskanych bezpośrednio od wroga – Elsy. Taki album z pewnością spodobałby się Führerowi!

I tak opowieść o pociesznym zainfekowanym nazizmem dziesięciolatku zamienia się w opowieść o Zagładzie. O tym, że komedia o Holokauście jest możliwa, zaświadczyły najmocniej pod koniec XX w. trzy filmy, które pojawiły się na ekranach w rocznych odstępach. Były to „Życie jest piękne" Roberto Benigniego (1997, trzy Oscary), „Pociąg życia" Radu Mihaileanu (1998, nagroda FIPRESCI na festiwalu w Wenecji) i „Jakub kłamca" Petera Kassovitza (1999). Przy czym ten ostatni film był drugą ekranizacją powieści Jurka Beckera pod tym samym tytułem, pierwszej dokonał Frank Beyer w 1974 (wyprodukowany w NRD film był nominowany do Oscara). („Jojo Rabbit" też oficjalnie wziął się z inspiracji książką, mianowicie „Niebem na uwięzi" Christine Leunens, ale niewiele ma wspólnego z literackim oryginałem).

Chociaż sam pomysł „komedii o Holokauście" może się niektórym wydawać

eprasa.pl 1425b3815a

Oprócz demonicznych funkcjonariuszy gestapo i przerysowanej, karykaturalnej Fräulein Rahm właściwie wszyscy dorośli Niemcy otaczający małego Jojo okazują się bardzo OK FOT. MATERIAŁY PRASOWE

oburzający, jako metoda artystyczna jest zupełnie zrozumiały. Zwróćmy uwagę, że jedne z najbardziej bezlitosnych portretów komunizmu także zawdzięczamy komedii – od Orwella po Wojnowicza. Groteska, absurd, surrealizm, są naturalną odpowiedzią na niepojęty ogrom tragedii – tego z kolei uczyli nas w drugiej połowie XX stulecia klasycy teatru absurdu. Choć Taika Waititi zdaje się podążać tymi właśnie śladami, to jednak jego dzieło udane jest tylko częściowo.

Bez wątpienia jest to majstersztyk realizacyjny, nakręcony w dodatku za niewielkie jak na Hollywood pieniądze (14 mln dol. to w realiach USA budżet kina niezależnego). Część z tych pieniędzy została u naszych południowych sąsiadów, bo film kręcono w Pradze i trzech innych czeskich miastach. Taika Waititi prócz wspomnianych już talentów (reżyserskiego i aktorskiego) ma także dobrą rękę do obsady. Na drugim planie pojawiają się choćby świetny Sam Rockwell jako szkolący Jungvolk kapitan Klenzendorf oraz znany z „Gry o tron" Alfie Allen jako jego zastępca Finkel (oczywiście musi być między nimi nić homoseksualnej sympatii, pamiętacie, że wciąż tasowane są tu znane klisze). Jest też komediowa aktorka Rebel Wilson, w roli Fräulein Rahm wygłaszającej z poważną miną monolog o tym, że będzie uczyć dziesięcioletnie dziewczynki, jak rodzić porządne aryjskie dzieci, i że sama ma takich dzieci osiemnaścioro.

„Jojo Rabbit" zdobył sześć nominacji do Oscara – niezwykłe osiągnięcie jak na film, który w pierwszym tygodniu wyświetlania w USA z trudem zarobił 350 tys. dol., a i recenzje miał mieszane. Ma szansę na statuetkę nie tylko dla najlepszego filmu i za najlepszy scenariusz adaptowany, lecz także za kostiumy i montaż. O nominacji dla Scarlett Johansson już wspominałem.

Wszyscy mają powody do zadowolenia. Widzowie, bo się pośmiali, Niemcy, bo się upewnili, że nie byli tacy straszni, członkowie amerykańskiej Akademii Filmowej, bo mogli wyróżnić „film na ważny temat"

Początkowo przyjmowany z niedowierzaniem, im dłużej gości na ekranach, tym bardziej się podoba.

ŚMIECH WIĘŹNIE W GARDLE

Skąd ta sympatia? Moim zdaniem właśnie stąd, że Waititi zatrzymał się w połowie drogi. „Jojo Rabbit" nie jest filmem tak prowokacyjnym i ostrym, jak z początku się wydaje. Chociaż udaje filmy Wesa Andersona, to brak mu psychologicznego okrucieństwa, które widzieliśmy za dekoracjami „Genialnego klanu" czy „Podwodnego życia ze Stevem Zissou". Tonacja jest komediowa, pojawiają się elementy dramatyczne (jeden nawet bardzo dramatyczny), ale zamiast rozdrapywania ran twórca „Jojo Rabbita" wybiera ostatecznie drogę głaskania królika po brzuszku.

Na koniec okaże się bowiem, że lekcję mamy następującą: nienawiść to choroba, z której wychodzi się szybko i bezboleśnie, bo wywołuje ją jedynie fakt, że bywamy niedoinformowani. Żydzi w Niemczech mogliby ocaleć, jeśliby tylko zaufali dobrym Niemcom. Niemcy właściwie też byli całkiem w porządku. Oprócz demonicznych funkcjonariuszy gestapo i przerysowanej, karykaturalnej Fräulein Rahm właściwie wszyscy dorośli Niemcy otaczający małego Jojo okazują się bardzo OK. Mama działa w ruchu oporu i ukrywa Żydówkę, nieobecny ojciec też okaże się stać po właściwej stronie, kapitan Klenzendorf to w gruncie rzeczy poczciwina, bo w decydującym momencie (a nawet dwóch decydujących momentach) zachowa się jak człowiek. Któż zatem wybrał się z Adolfem Hitlerem na wielką wojnę i wymordował pół świata?

Wszyscy więc mają powody do zadowolenia. Widzowie, bo się pośmiali, Niemcy, bo się upewnili, że nie byli tacy straszni, członkowie amerykańskiej Akademii Filmowej, bo mogli wyróżnić „film na ważny temat". Kiedy spojrzymy na to, co mówi nam „Jojo Rabbit", w szerszej perspektywie, śmiech szybko uwięźnie nam w gardle. Dzieło Waititiego wpisuje się bowiem w taką oto współczesną narrację popkulturowego rewizjonizmu: wielkie narody (Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie) toczyły wielkie boje, zaś z dala od frontu wykazywały się wielkim duchem.

Kto w takim razie odpowiada za wszystkie złe rzeczy, które przyniosła ostatnia wojna światowa? Skoro nie narody wielkie, to ani chybi te małe. W ich przypadku nikt nie będzie zajmował się dzieleniem włosa na czworo, szukaniem dowodów na istnienie duszy. Obozy zagłady nie bez powodu powstały na terenie Polski, Żydzi bali się polskich sąsiadów bardziej niż Niemców, winą za Holokaust można jeszcze obciążyć Słowaków i Węgrów, bo deportowali, Litwinów i Łotyszy, bo sami mordowali. Znacie tę narrację, prawda? O tym nikt komedii kręcić nie będzie, dla małych narodów zarezerwowany zostanie ton ponury i oskarżycielski. Mało kto wie, że byli w USA i tacy krytycy, których zdaniem o Oscara dla najlepszego filmu zagranicznego powinien w tym roku ubiegać się przede wszystkim „Malowany ptak" nakręcony w Czechach na podstawie wyssanej z palca książki Jerzego Kosińskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FILM NA SOBOTĘ

w Telewizji Republika

REPUBLIKA

25 stycznia

Pogrom czy mord. Kielce 4.07.1946

Na podstawie ostatnich badań IPN film opowiada przebieg mordu na kieleckich Żydach 4 czerwca 1946 roku.

1 luty

Flotylla Pińska na straży Niepodległej

Flotylla Pińska powstała 19 kwietnia 1919 r., gdy Jan Giedroyć stworzył z trzech motorówek w Pińsku patrol rozpoznawczy. Flotylla przeszła swój chrzest bojowy 3 lipca 1919 r. w zwycięskiej bitwie o Horodyszcze.

8 luty

Pierwsza powojenna konspiracja niepodległościowa

Film przedstawia historię powojennego Koszalina, przybywających do miasta osadników, repatriantów, działania żołnierzy Armii Czerwonej wobec ludności polskiej oraz tworzenie sie pierwszej konspiracji niepodległościowej na terenie Koszalina i Pomorza Środkowego. Film zawiera sceny rekonstrukcyjne omawianych wydarzeń.

15 luty

Żołnierze z Westerplatte w Koszalinie

Film z serii „Koszalin - historie zapomniane". Heroiczna obrona Westerplatte to jedna z najchwalebniejszych kart polskiego oręża. Okazuje się, że ślad tego ważnego wydarzenia prowadzi również do Koszalina. To właśnie westerplatczycy byli jednymi z pierwszych mieszkańców miasta i pomagali w jego odbudowie.

22 luty

ŻELAZNY - Legenda Wileńskiej Partyzantki

Film przedstawia historię jednego z najbardziej znanych żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady AK - ppor. Zdzisława Badochy „Żelaznego". Jego odwaga, pomysłowość, brawura, skuteczność oraz wierność ideałom sprawiły, iż stał się prawdziwą legendą wileńskiej partyzantki. Jest to opowieścią o walce, wartościach, wojennych przyjaźniach, miłości, ale również i zdradzie.

29 luty

KOMAR - Partyzant w US Army

Opowieść o żołnierzu Armii Krajowej, który po brawurowej ucieczce wstąpił w szeregi 7 Armii Amerykańskiej. Urodzony w 1925 r. na Wołyniu Edward Mucha podczas II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej Obwodu Garwolin. W 1945 r. podjął brawurową ucieczkę na Zachód. Po powrocie do kraju w 1949 r. Komar został aresztowany przez UB. Przeszedł ciężkie śledztwo i więzienie.

SOBOTA 19:10

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 1425b3815a

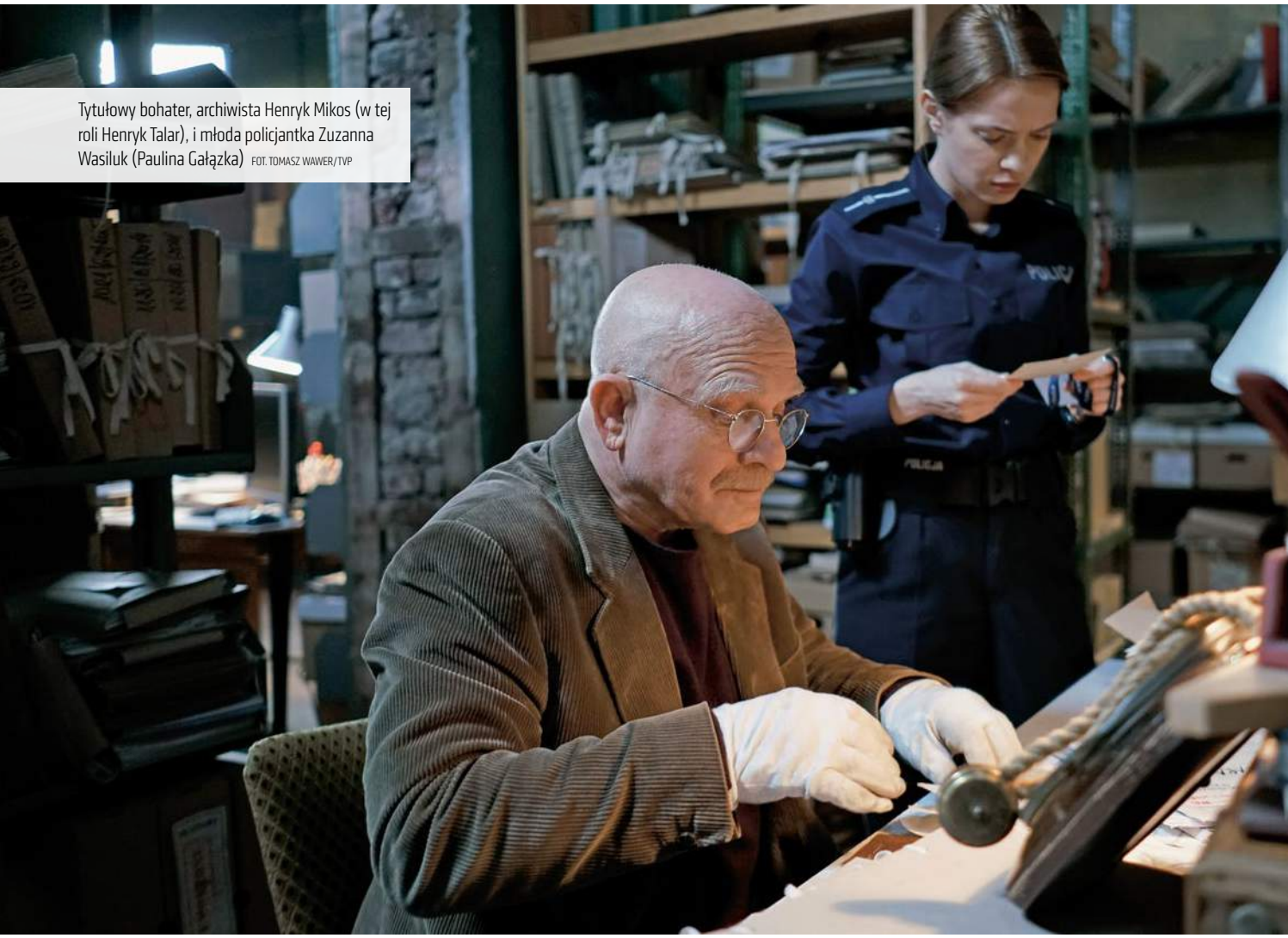

Tytułowy bohater, archiwista Henryk Mikos (w tej roli Henryk Talar), i młoda policjantka Zuzanna Wasiluk (Paulina Gałązka) FOT. TOMASZ WAWER/TVP

Z Dominikiem W. Rettingerem, scenarzystą, reżyserem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zbrodnie pokryte patyną czasu

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Archiwista" wykorzystuje scenariusze napisane przez życie czy to wyłącznie kreacje?

DOMINIK W. RETTINGER: Naszym współpracownikiem literackim i konsultantem jest nadinsp. Jerzy Nęcki, były szef Biura Kryminalnego KGP. Tematy wielu odcinków są inspirowane autentycznymi morderstwami, o których nam opowiedział. Inspirowane, gdyż tak samo jak w serialu są to śledztwa nierozwiązane i umorzone. Co nie oznacza, że zamknięte, ponieważ sprawy zabójstw przedawniają się po 30 latach i policyjne archiwum X w każdej chwili może do nich powrócić. Nasze scenariuszowe rozwiązania tych zagadek kryminalnych są z konieczności fikcyjne. Nie było naszym zamiarem zastępować policji ani, tym bardziej, dowodzić braku staranności czy skuteczności organów ścigania. Ideę, która nam przyświecała, można zawrzeć w słowach: nie ma zbrodni doskonałej. Zdarzają się błędy w dochodzeniach, bo policjanci są tylko ludźmi, świadkowie – a zwłaszcza sprawcy – niekoniecznie mówią prawdę itd. Prawem twórców filmu jest żonglowanie rzeczywistością, z założeniem idealnym, że sprawiedliwość zawsze zwycięża.

Żyrardów na miejsce akcji wybrano przypadkowo?

Na to pytanie najlepiej odpowiedzieliby producent oraz Telewizja Polska. Z tego, co wiem, chodziło o miejsce akcji inne niż Warszawa, pojawiająca się w większości seriali. Żyrardów jest

eprasa.pl 1425b3815a

Emisja „Archiwisty" w piątki o godz. 21.30 na antenie TVP1. Oprócz aktorów wymienionych w rozmowie w poszczególnych odcinkach pojawią się m.in.: Izabela Kuna, Sylwia Juszczak, Rafał Maćkowiak, Jan Wieczorkowski, Jan Jankowski, Janusz Onufrowicz, Aleksander Mikołajczak i Lech Dyblik. Autorami pomysłu serialu są Andrzej Ciborski i Piotr Mikołajczak, operatorem – Jakub Stolecki, oprawę muzyczną zapewnił Kris Gorski, a za reżyserię odpowiadają Maciej Żak oraz Robert Wichrowski.

bardzo ciekawym miastem ze względu na swoją historię. A z uwagi na zabytkową architekturę postindustrialną łatwo wpada w oko kamery. Fotogeniczna prezencja zdaje się wręcz sugerować, że został stworzony przez i dla filmowców. Muszę podkreślić, że władze Żyrardowa stworzyły bardzo przyjazne warunki pracy dla ekipy.

Tak kontrastującego tandemu głównych bohaterów w polskim serialu kryminalnym chyba jeszcze nie było...

Z powodu braku czasu nie jestem specjalistą w kwestii dziejów naszych seriali. Jeśli jednak tak pan twierdzi, to zapewne jest tak w istocie. Kontrast i konflikt są duszą każdej dramaturgii, w literaturze, teatrze czy filmie. Nasz tytułowy bohater, archiwista Henryk Mikos, jest starszym panem o genialnym i dotąd niewykorzystanym przez policję umyśle. To dziwak i samotnik, mężczyzna z pozoru gburowaty, lecz obdarzony wielkim sercem, pokorą wobec świata i specyficznym poczuciem humoru. Do tego cywil, choć zatrudniony w lokalnej komendzie policji. Młodej, ambitnej policjantce Zuzannie Wasiluk wydaje się początkowo zaprzeczeniem partnera w rozwiązywaniu kryminalnych łamigłówek. Irytuje ją od pierwszych chwil wymuszonej na nich współpracy. Ona też działa mu na nerwy, ponieważ zaszył się w archiwum dla świętego spokoju. Aby uciec od ludzi, a nie zajmować się niespokojną policjantką domagającą się od niego pomocy w wyjaśnianiu śledztw umorzonych. Okazuje się, że ten brak akceptacji obfitujący w prowokacje Henryka wobec Zuzanny i odwrotnie prowadzi do ujmowania przez nich kolejnych morderców. Aż w końcu powstaje znakomicie współpracujący tandem. W dalszym ciągu jednak iskrzy między nimi, bo różnice charakterów, doświadczeń, wiedzy i motywacji nigdy nie znikną. Henryk ma też głęboko utajoną sprawę osobistą, tragedię zbrodni sprzed lat, która go dręczy i domaga się rozwiązania. Ukrywa to przed Zuzanną, aż do decydującej chwili...

Dlaczego atrybutem „Archiwisty" są szachy?

Ponieważ odpowiadają jego usposobieniu. Powolna, przemyślna gra – niemal o niezliczonej ilości kombinacji – której celem jest zapędzenie przeciwnika w sytuację bez wyjścia, kończy się zazwyczaj poddaniem partii, względnie matem. Tak jak w perfekcyjnym dochodzeniu, w którym śledczy sukcesywnie osacza sprawcę, pozbawia go kolejnych atutów, żeby w końcu zmusić do wyznania winy lub udowodnić mu popełnienie zbrodni.

Scenarzysta tak wyobrażał sobie bohaterów? Miał wpływ na obsadę?

Jestem scenarzystą prowadzącym i autorem 13. odcinka. Autorami są: Bartosz Janiszewski, Piotr Rzepka, Katarzyna Gortat i Magdalena Żakowska – ich również należałoby o to zapytać. Moim zdaniem rzadko się zdarza tak świetny wybór jak Henryk Talar w roli tytułowej. Wspaniały i zdecydowanie za mało wykorzystany aktor. Plus świetny, mądry człowiek – co ma decydujące znaczenie w tej roli, bo klasa, inteligencja i przenikliwość archiwisty stają się czytelne od pierwszych kadrów filmu. Tego się nie da zagrać, to trzeba mieć w sobie. Podoba mi się też bardzo Paulina Gałązka w roli Zuzanny. Szybko myśląca i działająca, energiczna, odważna, niezależna. Znakomite są postacie ich przełożonych: szorstkiego komendanta (Mirosław Zbrojewicz) i policjanta służbisty (Rafał Mohr). Przekonujące, mocne i – kiedy trzeba – zabawne są w swoich rolach Beata Fido i Maria Gładkowska. Wszystkich nie jestem w stanie tu wymienić, ale generalnie obsada „Archiwisty" jest – jak określamy w filmowym slangu – „trafiona".

W obsadzie dostrzegłem również kaskaderów. Do czego byli potrzebni?

Jak zawsze: do scen bójek, rozmaitych pościgów, upadków z wysokości, sekwencji z użyciem broni. Będzie tego dużo w „Archiwiście".

Późna pora emisji zdaje się dowodzić, że serial przeznaczony jest wyłącznie dla widzów dorosłych.

Nie ma takiego ograniczenia. To najlepszy czas dla widzów lubiących seriale kryminalne. Ten gatunek filmowy najchętniej bywa oglądany wieczorami.

Na tuzinie odcinków się nie skończy?

To się okaże. I zależy od reakcji widzów, czyli oglądalności. Mam nadzieję, że „Archiwista" spotka się z zainteresowaniem i dobrym odbiorem. W tajemnicy mogę powiedzieć, że na ciąg dalszy wszyscy jesteśmy gotowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dominik W. Rettinger *– scenarzysta, reżyser, pisarz, absolwent kulturoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim oraz PWSFTViT w Łodzi. Scenarzysta filmów: „Milion dolarów", „Pora mroku", „Kamienie na szaniec", „Jak pies z kotem" i seriali: „Ultraviolet", „Układ warszawski", „Korona królów". Autor przedstawień teatralnych: „Karski" – o Janie Karskim i „Wojna, moja miłość" – o Krystynie Skarbek oraz powieści fantasy i historycznych, m.in.: „Wiara i tron. Święty Wojciech i początki państwa polskiego", „Talizmany", „Sekret Elizy. Auschwitz – płatna miłość".*

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Brytyjczyk potrafi

Warto słuchać starszych. Z opowieści dziadka – szczęściarza, któremu udało się wrócić z wojny w jednym kawałku – Sam Mendes ulepił film lepszy od „American Beauty".

6 kwietnia 1917 r. front zachodni tonie we krwi i błocie. Szeregowiec Blake dowiaduje się, że jego brat zginie razem z 1600 jego kolegów w bezsensownym szturmie na pozycje wroga, jeśli rozkaz odwołujący atak nie zostanie w porę doręczony. Trzeba tylko pokonać kilkukilometrowy pas ziemi niczyjej, upstrzony minami, zasiekami z kolczastego drutu i gnijącymi zwłokami ludzi i koni, pożeranymi przez szczury.

Misja ma wszelkie znamiona samobójczej, w dodatku towarzysz Blake'a wydaje się mniej zdeterminowany w dążeniu do celu – wymienił medal za odwagę („kawałek blachy") na butelkę wina. Chociaż z raportów lotniczych wynika, że „Helmuty" wycofały się na z góry upatrzone pozycje, wiadomo, że coś knują. Wędrówka bohaterów przez piekło nowoczesnej wojny, sfilmowana w baaardzo długich ujęciach, wbija w fotel. Apokaliptyczna sceneria czasem ustępuje miejsca sielskim krajobrazom, lecz tam, gdzie rzeka bystra i łąka zielona, łatwiej utracić czujność, a chwilę potem – życie.

Żołnierze złudzeń nie mają, na froncie króluje wisielcze poczucie humoru. „Wojna skończy się, gdy wszyscy zginą" – przewiduje spotkany w okopie oficer. Wizerunek Brytyjczyków jest u Mendesa standardowy: ot, ekscentryczni dżentelmeni, potrafiący zachować fason i zimną krew w każdej sytuacji. Arogancja? Panika? Złe traktowanie podwładnych? Im się to po prostu nie zdarza. Co innego Niemcy – barbarzyńcy, którzy nie walczą honorowo i stosują taktykę spalonej ziemi (przed odejściem zastrzelą krowy i wytną kwitnące drzewka owocowe).

Poza tym jednak czepiać się nie ma czego. „1917" jest majstersztykiem, godnym stać w jednym rzędzie z powieścią Remarque'a, obrazami Nevinsona i Sargenta, wierszami Owena i Sasoona, filmami Kubricka i Weira. Wyspiarze wciąż wracają do traumy, którą była dla nich wielka wojna. My wciąż nie umiemy przetrawić faktu, że setki tysięcy rodaków biły się i ginęły za cara i kajzera i Jego Apostolską Mość cesarza Austrii. Ta prawda jest akceptowalna jedynie w konwencji szwejkowskiej („C.K. dezerterzy").

W sytuacji, gdy polska popkultura kurczowo trzyma się mitu legionowego, porównanie „1917" z dokonaniami naszych reżyserów musi wypaść miażdżąco. Piszę to z przykrością, chwaliłem na tych łamach „Legiony" za batalistykę i „Piłsudskiego" za aktorstwo. Wiązanka stereotypów nie zastąpi jednak wciągającej fabuły, a dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. ©℗

★★★★★★
REŻ. SAM MENDES
„1917"
WIELKA BRYTANIA 2019

wyst. George MacKay, Dean-Charles Chapman, Andrew Scott

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „RICHARD JEWELL""

Najnowszy film Clinta Eastwooda inspirowany jest prawdziwymi wydarzeniami. Jego główny bohater uratował setki istnień podczas igrzysk olimpijskich 1996 r. w Atlancie, ale potem wskutek nieodpowiedzialnych doniesień medialnych stał się nagle jednym z podejrzanych o dokonanie zamachu. Za żeńską rolę drugoplanową w „Richardzie Jewellu" nominację do Oscara i Złotego Globu otrzymała Kathy Bates. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Richard Jewell", reż. Clint Eastwood, wyst. Paul Walter Hauser, Sam Rockwell, Olivia Wilde, Kathy Bates, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Bad Boys for Life", reż. Adil El Arbi, USA 2020***
- ***„Błąd systemu", reż. Nora Fingscheidt, Niemcy 2019***
- ***„Śnieżka i Fantastyczna Siódemka", reż. Sung-ho, Hong, Korea Południowa 2019***

eprasa.pl 1425b3815a

Mamo, nie odlatuj!

Eva Green, dyżurna kusicielka kina, zmienia emploi. Zamiast satynowej bielizny wdziewa obły skafander, gra bowiem uczestniczkę kosmicznej misji, ostatniej przed planowaną wyprawą na Marsa. Męskim szowinistom oczywiście to nie w smak. Przyszły współtowarzysz z arogancją właściwą Jankesom sugeruje, że Francuzki najlepiej sprawdzają się w kuchni.

W gwiezdnym miasteczku Sara stara się udowodnić, że jest twardsza od stali i nie zasługuje na miano „kosmicznej turystki". A tu, jak na złość, jej siedmioletnia córka bardzo źle znosi rozłąkę. Obawa, że Stella ją znienawidzi, a mieszkając z ojcem – Niemcem – całkiem się zgermanizuje, osłabia morale matki, która na użytek mediów musi zgrywać uśmiechniętą Wonder Woman.

Dla widza, znużonego obcowaniem z superbohaterami, „Proxima" mogłaby się stać odświeżającym doświadczeniem. Niestety, do duszy astronauty zajrzeli już wcześniej (i z lepszym efektem) twórcy „Pierwszego człowieka". Winocour wpadła w pułapkę sentymentalizmu. Poza tym jakoś trudno uwierzyć, że zdobywcy kosmosu, nie tylko rosyjscy, wykorzystują każdą okazję, by się napić wódki, zaś Bajkonur jest strzeżony gorzej niż magazyn makulatury w Pierdaszewicach Dolnych.

Może babcia Stelli miała jednak rację, mówiąc, że kobiety nie powinny odrywać się od Ziemi? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. ALICE WINOCOUR „PROXIMA" FRANCJA 2019

wyst. Eva Green, Zélie Boulant, Matt Dillon

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

APETYTY HRABIEGO DRACULI

Po odświeżeniu dla BBC Sherlocka Holmesa i Doctora Who Steven Moffat zabrał się do Draculi. Trzyczęściowa miniseria (odcinki po półtorej godziny) okazała się jedną z głośniejszych premier początku roku. Błyskotliwy scenariusz czerpie mocno z literackiego oryginału, ale dokonuje dwóch istotnych zmian: inna jest figura głównego protagonisty wampira i zupełnie inny, wymyślony na nowo (co wzbudziło protesty fanów) ostatni rozdział jego historii. Claes Bang jako krwiożerczy hrabia robi wrażenie – jest przerażający, uwodzicielski i wyrafinowany. Przejmuje umiejętności swych ofiar, co czyni go w dwójnasób groźnym. Wersja Moffata jest makabryczna i w wielu miejscach zabawna, jednak w ostatnim odcinku wyczucie zawodzi doświadczonego scenarzystę, motywacja postaci staje się wątpliwa, a uwspółcześnienie historii – wymuszone. Trafnym wyborem było natomiast podkreślenie seksualnych podtekstów opowieści o złowrogim arystokracie z Transylwanii.

★★★★☆☆

MARK GATISS, STEVEN MOFFAT „DRACULA" WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. John Heffernan, Claes Bang, Dolly Wells, dystr. Netflix

DAWNO TEMU W SAN FRANCISCO

Akcja „Wojownika" zaczyna się w 1878 r. Do San Francisco przybywa z Chin młody mistrz sztuk walki poszukujący zaginionej siostry. Oryginalna produkcja Cinemaxa zrobiona jest wedle receptury HBO: dużo golizny, sporo przemocy, wyszczekane dialogi. Najlepiej ogląda się ją, gdy jest po prostu przygodowym kryminałem z epoki, najgorzej, kiedy scenarzyści pragną widza edukować. Chińscy imigranci są ofiarami krewkich Irlandczyków, z którymi rywalizują o pracę, chciwych przedsiębiorców i fałszywych polityków. Inna sprawa, że sami sobie wyrządzają wiele krzywd walkami zwaśnionych gangów (tongów). Mimo nadmiaru łopatologicznej ideologii to kawałek dobrej telewizyjnej rozrywki, szczególnie od piątego odcinka. Za produkcję odpowiada Shannon Lee, córka Bruce'a Lee, który wymyślił przed laty ten projekt. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆

SEZON 1 „WOJOWNIK" („WARRIOR") USA 2019

wyst. Andrew Koji, Olivia Cheng, Jason Tobin, Dianne Doan, dystr. Galapagos

GRA TYGODNIA: „UNTITLED GOOSE GAME"

★★★★★☆

Końcówka starego i początek nowego roku to zwyczajowo martwy okres w kalendarzu premier. Dlatego postanowiłem poszukać nieco głębiej, w świetnych tytułach 2019 r., które z różnych powodów nie znalazły się w dotychczasowych recenzjach. Z tego grona wybrałem jedną grę, która nie straciła na świeżości i niewątpliwie zasługuje na uwagę również w roku 2020. To „Untitled Goose Game", czyli symulator... złośliwej kaczki. Takiej, która w kreskówkowej grafice i idyllicznym miasteczku, zamiast pływać w stawie, zajmuje się uprzykrzaniem życia mieszkańcom. Chowa okulary, wyciąga listy ze skrzynki, kradnie fajkę. A ile przy tym frajdy. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *logiczna*
- ***Platforma:*** *PC/XONE/PS4/PC/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *House Games / Panic Inc.*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *3+*

eprasa.pl 1425b3815a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Homer uszlachetnia

Ta książka powstała z audycji radiowych, które autor – znany francuski pisarz i podróżnik – przygotowywał w odizolowaniu od świata na Cykladach. „Przez miesiąc – opowiada – mieszkałem […] na wyspie Tinos, naprzeciw wyspy Mykonos. […] W świetle zasilanej generatorem żarówki czytałem »Iliadę i Odyseję«. Nękał mnie nieustanny wiatr. W dole morze znosiło jego ataki. Sztorm dziurawił satynę wody uderzeniami pięści. Rozdzierały mi się karty książki, odfruwały papiery". „Duch miejsca – twierdzi Tesson – inspiruje ludzi. Wierzę w infuzję geografii w ludzkie dusze. »Jesteśmy dziećmi naszego krajobrazu« – mawiał Lawrence Durrell".

Może rzeczywiście pobyt na greckiej wyspie przybliżył autora „Lata z Homerem" do istoty wielkich dzieł ojca poezji epickiej. Z całą pewnością dzieła te pokochał, może nawet nazbyt? Osobiście nie przepadam za takimi deklaracjami jak ta, że podobnie jak malowidła ścienne w Lascaux mogłyby położyć kres malarstwu, tak na „Iliadzie" i „Odysei" mogłaby zakończyć się twórczość literacka. To, oczywiście, nieprawda. Po co zresztą od razu tak wielkie słowa. W końcu wiemy od Gogola, że „Aleksandr Makiedonskij gieroj, no zaczem że stulja łomat?".

Niemniej jest faktem, że w arcydziełach Homera znajdziemy wszystko: i to, co było, i to, co jest, i zapewne to także, co będzie. „Otworzyć »Iliadę i Odyseję« – czytamy już na wstępie książki Tessona – to tak, jak zajrzeć do gazety. Ten napisany raz na zawsze dziennik świata jest dowodem, że nic się nie zmienia pod słońcem Zeusa: człowiek – to wspaniałe i beznadziejne zwierzę, jaśniejące blaskiem i pełne niedoskonałości – jest zawsze taki sam. Homer pozwala zaoszczędzić na prenumeracie gazet".

FOT. ERIC FOUGERE/CORBIS/GETTY IMAGES

Przypatrzmy się też bohaterom Homera, choćby Odysowi. Jest żądny przygód, ale tęskni za domem, wdaje się w romanse, ale tęskni do Penelopy. Ten „wzór siły i przebiegłości – powiada autor »Lata z Homerem« – okazuje się nieuchwytny, rozdarty między dwoma skłonnościami. To ty, czytelniku, to ja, to my – Odyseusz jest naszym bratem. Patrzymy na »Odyseję« jak w zwierciadło naszej duszy. Na tym polega geniusz: w kilku pieśniach nakreślić ludzkie granice. Od tamtej pory nikt się nie zmienił".

Wiersze Homera – zachwyca się Sylvain Tesson – mienią się radością życia, czasem rzecz jasna zagłuszaną przez szczęk oręża. Te poematy – zaręcza pisarz – przetaczały w mój organizm utraconą witalność. Mogło tak być, a na pewno lektura Homera uszlachetnia. Poza tym, a może przede wszystkim, uosabia najwyższe wartości i czyste piękno.

W homeryckich strofach odnajdujemy męstwo, honor, moc, chwałę, brawurę, uniesienie, los. Jeszcze tych słów nie zakazali posługujący się nowomową i lansujący ją poprawnościowi kastraci. Tesson wśród cytatów z „Iliady" przywołuje i taki: „Zbawi nas ramion moc, lecz nigdy miękkość bezsilna!". Tak mówi Homer ustami jednego ze swoich wojowników. „Do jakiej rangi – pyta francuski pisarz – mogą aspirować te niestosowne pojęcia w naszym społeczeństwie ceniącym komfort jednostki i kolektywne bezpieczeństwo? Czy są na zawsze odłożone do lamusa? »Języki starożytne są martwymi językami« – słyszy się zwykle. Czy te pojęcia także?".

Przypomniał mi się w tym momencie Zbigniew Herbert, nie tylko z oczywistym – jak się wydaje – „Przesłaniem Pana Cogito", lecz także jeszcze wcześniejszym wierszem „Do Marka Aurelego", z przepiękną końcową dedykacją:

zdradzi nas wszechświat astronomia
rachunek gwiazd i mądrość traw
i twoja wielkość zbyt ogromna
i mój bezradny Marku płacz.

Nie wiem, co nas zdradzi, a co zbawi. W każdym razie i „Iliada", i „Odyseja" są pieśniami o przekraczaniu siebie. A Sylvain Tesson w „Lecie z Homerem" zauważa bardzo ważne sprawy, tylko na pozór niemające większego związku z antycznymi eposami. Otóż pisze on tak: „W świecie zachodnim XX wieku heroizm miał jeszcze wartość ewangeliczną. Polegał na oddaniu życia za coś poza sobą; w XXI wieku sprowadza się do okazywania słabości. Bohaterem jest ktoś, kto może twierdzić, że cierpiał z powodu prześladowań. Być ofiarą: oto ambicja dzisiejszego bohatera!

Stać się najlepszym ze wszystkich – do tego dążył bohater homerycki.

Wszyscy są najlepsi – a taka jest dewiza chrześcijańska w wersji laickiej przyjętej przez współczesne demokracje".

I tak właśnie jest, niestety. ©℗

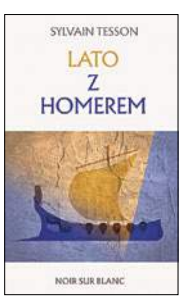

★★★★☆
SYLVAIN TESSON „LATO Z HOMEREM" NOIR SUR BLANC 2019

eprasa.pl 1425b3815a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kiedyś, czyli nigdzie

Powieść Petera Balko ma wielu patronów i każdy z nich jest zacny. Znajdziecie w niej delikatność i rozmarzenie jak z wiersza Andrzeja Bursy „Fiński nóż" (ten nóż, którym to „bawoła mogłem zabić nim", lecz ostatecznie „między bajki wkładam"). Znajdziecie surrealistyczny klimat z opowiadań Oty Pavela („Śmierć pięknych saren"), wściekłość, którą pamiętam z „[...] będzie gorzej" Jana Pelca. A jednocześnie na tle tych wszystkich skojarzeń Balko wygląda jak kozak niebywały, bo docisnął w swym pisaniu gaz do dechy, a jego magiczny realizm jest realizmem szaleńczym.

Książka „Wtedy w Loszoncu" to wyprawa do krainy dzieciństwa, jednak opowieść, w której młody słowacki pisarz Peter Balko dokonuje rzeczy niesłychanie trudnej. W warstwie emocjonalnej jest bardzo prawdziwa i poruszająca. W warstwie fabularnej to stek bzdur niemożebnych, opowieści absurdalnych, bajęd o złotych świniach kryjących się w lasach, egzekucji paru ton ryb poprzez ich publiczne spalenie, o czarnej rumuńskiej magii, japońskich wojownikach, którzy przybyli dokonać zamachu na Karola I itd. Jedna kompletnie fantastyczna historyjka goni następną, a wszystkie – jak się okazuje na końcu – chytrze są splecione, bo z jednej bzdury wypływa inna, a z tamtej jeszcze jedna, która z kolei tłumaczy w jakiś dziwaczny sposób zachowanie tego czy innego bohatera.

Trzeba to wszystko czytać nieśpiesznie, bo Balko szarżuje cały czas i jego wynalazczość bywa męcząca. Kiedy jednak dawkowałem sobie jego niewielką powieść po rozdziale (jest ich 12), to smakowała mi bardzo. Za gęstwiną tych wszystkich fajerwerków znalazłem zaś opowieść o dziecięcej przyjaźni, o dwóch chłopakach wspólnie brnących przez najeżone rafami wczesne dorastanie, oglądających filmy z Bruce'em Lee i Van Damme'em, włóczących się po okolicy z dala od opiekuńczego oka rodziców, przekonujących się nawzajem, że doskonale wiedzą, o co chodzi z dziewczynami, wielkim światem i w ogóle życiem. Ma ta przyjaźń swoje tajemnice i swą dynamikę, która jest osią całej książki, więcej nie zdradzę, odkryjecie sami. „Wtedy w Loszoncu" (miasteczko nieopodal granicy słowacko-węgierskiej) przynosi także wycieczki w przeszłość, takie jak znakomity rozdział o okupacji (w tym przypadku – węgierskiej). W odjechanej zawikłanej historyjce kryje się więcej, niż na początku widać. Tym przyjemniej było ją rozplątywać. ©℗

★★★★★★

PETER BALKO „WTEDY W LOSZONCU" BIBLIOTEKA SŁÓW 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Postać autora „Schizofrenii", „Melancholii" i „Lęku" wciąż fascynuje kolejne pokolenia czytelników. Oto druga w ciągu 12 miesięcy próba jego biografii. Poprzednią była „Gra z czasem" (WAM) Krystyny Rożnowskiej.

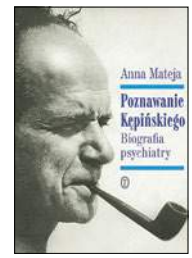

ANNA MATEJA „POZNAWANIE KĘPIŃSKIEGO" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jesteś tym, kogo udajesz, więc bardzo uważaj, kogo udajesz – przekonuje się bohater jednej z najlepszych powieści Vonneguta. Historii głęboko zakonspirowanego alianckiego szpiega w służbie hitlerowskiej propagandy.

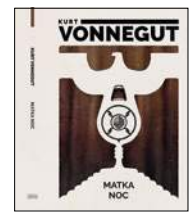

KURT VONNEGUT „MATKA NOC" ZYSK I S-KA

Wywiad rzeka z pierwszym Polakiem, który został bratem w Taize. Opowieść nie tylko o tej wspólnocie, lecz także o posłudze w dalekich stronach świata. Rozmowę przeprowadził Piotr Żyłka, naczelny portalu DEON.pl.

BRAT MAREK Z TAIZE „BÓG. CISZA. PROSTOTA" WAM

Nieistniejące, nieznane, niezwykłe – wylicza Otrębski. Opowieść o świątyniach stolicy zmienia się w niezwykłą podróż przez skomplikowaną polską historię. Obfity materiał ilustracyjny, ciekawe anegdoty – czegóż chcieć więcej? ©℗

poleca Piotr Gociek

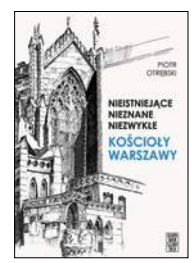

PIOTR OTRĘBSKI „KOŚCIOŁY WARSZAWY" SKARPA WARSZAWSKA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – książka sprzed 12 lat znów na listach hitów – efekt Nobla wzmocniony gorączką przedświąteczną.***
2. ***Remigiusz Mróz „Iluzjonista" (Filia) – drugi tom serii, której bohaterem jest Gerard Edling (pierwszym była powieść „Behawiorysta").***
3. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – nadchodząca (niestety) ekranizacja odświeżyła sprzedaż polskiego bestsellera erotyczno-kryminalnego.***
4. ***Andrzej Sapkowski „Ostatnie życzenie" (SuperNowa) – po premierze serialu Netflixa „Wiedźmin" pierwszy zbiór opowiadań o Geralcie znów na liście.***
5. ***Katarzyna Bonda „Miłość leczy rany" (Muza) – początek nowej serii kryminalnej popularnej autorki. Tym razem zaczyna się w Kazachstanie.***

(Najchętniej kupowane tytuły w sieci Empik od 16.12.2019 do 6.01.2020 r., z wyłączeniem non-fiction i książek dla dzieci).

eprasa.pl 1425b3815a

Panieneczki i ich opowieści

FOT. HUBERT GRYGIELEWICZ/MATERIAŁY PRASOWE

Panieneczki to zespół neofolkowy, nowoczesny w brzmieniu. Anita Sobiechowska gra na kontrabasie, gitarze basowej i syntezatorach; Irena Filuś śpiewa i gra na skrzypcach; Joanna Glubiak na perkusji, a Kate Nürnberg na instrumentach klawiszowych. W obszarze zainteresowań zespołu są Kujawy. „Opowieści zasłyszane na wiosce" – tak zatytułował zespół Panieneczki z Bydgoszczy swoją pierwszą, wydaną w 2018 r. epkę. Kolejna – pod tym samym tytułem, jako część druga – ukazała się jesienią ubiegłego roku. O czym te zasłyszane opowieści? „Szeroko pojęte sprawy damsko-męskie oraz zamążpójście, będące głównym tematem zainteresowań niegdysiejszych Kujawianek, stały się motywem przewodnim debiutanckiej epki. To także historie o dojrzewaniu i kobiecości..." – wyjaśnia zespół.

Panieneczki zostały wierne tematowi również w części drugiej „Opowieści...". Chociaż muzycznie jest nieco inaczej. – Nowe piosenki stylistycznie różnią się od wcześniejszych kompozycji. Są bardziej z pazurem. Idziemy tam, gdzie bezczelność i punkowy zadzior, ale nawet w zespole nie jesteśmy w stanie dojść do porozumienia, jaki jest ten nasz nowy styl – mówiły niedawno na antenie Polskiego Radia Anita i Irena z zespołu. I dodawały, że nie boją się eksperymentów. Piosenka „Heniuchna" promująca najnowszą epkę miała brzmieć zupełnie inaczej. – W pierwotnej wersji ten numer miał być rapowany, teraz za to nieźle buja. „Heniuchna" przeszedł wiele stylistycznych przeobrażeń, ale ciągle mówi o tym samym, czyli że my, dziewczyny, potrafimy mówić „nie". Chciałyśmy to zrobić jako pojedynek w stylu amerykańskich raperów na kujawskiej wsi, ale ostatecznie nie wyszło to za dobrze – mówiły. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Islandzki chłód filmowy

Trzydziestosiedmioletnia Islandka jako pierwsza kobieta otrzymała Złoty Glob za muzykę filmową. Nagrodzono ją za ścieżkę do „Jokera". Wcześniej otrzymała nagrodę Emmy za muzykę do serialu telewizyjnego „Czarnobyl".

Klasycznie wykształcona wiolonczelistka współpracowała z rodakiem Jóhannem Jóhannssonem, zmarłym przed rokiem słynnym kompozytorem filmowym, oraz aktywnie udzielała się na scenie alternatywnej: Animal Collective, Throbbing Gristle, Múm i Sunn 0))). Jej mroczna, elektroakustyczna muzyka filmowa doskonale oddaje nastroje zagrożenia. Nie przypadkiem pierwszą ścieżkę skomponowała do horroru „The Bleeding House". Światową karierę rozpoczęła od nagrania partii wiolonczeli do filmów Denisa Villeneuve'a „Sicario" i „Arrival".

Nagrodzone albumy Guðnadóttir zawierają esencję jej twórczości – ponure, elektroniczne drony przeplatają się z akustycznym symfonicznym instrumentarium i męskimi chórami. Muzyka jest spowolniona, dzięki czemu nawet bez obrazu wywołuje w słuchaczu stany zagrożenia. Większość kompozycji na płytach trwa między minutą a dwiema. W dłuższych, ale nie przekraczających pięciu minut utworach Islandka koncentruje się na tworzeniu zaskakujących form, wplatając w nie „niemuzyczne" odgłosy. Najlepszym tego przykładem jest finałowy „Call Me Joker". ©℗

★★★★★☆

HILDUR GUÐNADÓTTIR „JOKER" / „CHERNOBYL" WATER TOWER / DEUTSCHE GRAMMOPHON

★★★★☆☆

MAX RICHTER, LORNE BALFE & NILS FRAHM „AD ASTRA – MOTION PICTURE SOUNDTRACK" DEUTSCHE GRAMMOPHON

Wśród kosmiczno-filmowych pejzaży Maxa Richtera jest piękna suita „Tuesday (Voiceless)". Drugą płytę wypełniają elegijne symfoniczne kompozycje Balfe'a, a w finale rozbrzmiewa elektroniczna mgławica „Says" Nilsa Frahma.

★★★★☆☆

FRANK ZAPPA „THE HOT RATS SESSIONS" ZAPPA RECORDS

Na jubileusz 50-lecia wydania arcydzieła ekscentrycznego gitarzysty otrzymaliśmy pełen zapis (6 CD) sesji nagraniowych. Wydawnictwo świetnie pokazuje proces twórczy, który doprowadził do stworzenia nowatorskiej płyty, łączącej świat rocka i jazzu. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

Ruszaj w drogę z Rentis

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 GDAŃSK +48 519 535 311 GORZÓW WLKP. +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 KIELCE +48 519 535 304 KRAKÓW +48 519 535 305 LUBLIN +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 OLSZTYN +48 519 535 314 OPOLE +48 519 535 307 PŁOCK +48 519 535 334 POZNAŃ +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 SZCZECIN +48 519 535 310 WARSZAWA +48 519 535 302 WROCŁAW +48 519 535 307

eprasa.pl 1425b3815a

Z prof. Jackiem Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Maciej Pieczyński

Rosji brakuje wiarygodności

FOT. AREK MARKOWICZ/FORUM

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy słowne ataki Putina na Polskę były dla pana zaskoczeniem?

JACEK CZAPUTOWICZ: Tak. Nie spodziewałem się tak agresywnych, nieprawdziwych wypowiedzi na temat Polski i Polaków. Zaskoczyła mnie tak ostentacyjna próba reinterpretacji przyczyn wybuchu drugiej wojny światowej. Wydawałoby się, że przywódcy tak dużego państwa jak Rosja nie przystoi mijać się z prawdą, jeśli chodzi o fakty historyczne…

Ale czy nie można było tych ataków przewidzieć? W rosyjskich mediach Polacy od wielu lat przedstawiani są jako antysemici, pomocnicy Hitlera, faszyści… Sam pisałem o tym wielokrotnie – również o izraelsko-rosyjskim sojuszu na polu pamięci historycznej.

Oczywiście, śledzimy politykę i narrację rosyjską. Rosja wymaga od nas, byśmy hołubili Armię Czerwoną za to, że wyzwoliła Polskę i Europę od faszyzmu. Domaga się pielęgnowania pomników wdzięczności, które my, na mocy decyzji władz lokalnych, demontujemy. Moskwa nie chce przyjąć do wiadomości, że dla nas „wyzwolenie" oznaczało zastąpienie jednej okupacji drugą. Z kolei dla Izraela głównym sojusznikiem są Stany Zjednoczone, co było widoczne choćby w reakcji na nowelizację ustawy o IPN. Zarazem w interesie Rosji leży rozbijanie jedności Zachodu i skłócanie Polski z sojusznikami.

Może należałoby więc jakoś uprzedzić atak rosyjskiej propagandy? Albo przynajmniej lepiej się przygotować?

Próby ataków na Polskę są cały czas podejmowane, dlatego byliśmy przygotowani. Oświadczenie MSZ, wezwanie ambasadora Rosji, wreszcie oświadczenie premiera Mateusza Morawieckiego były skuteczną odpowiedzią. Światowa opinia publiczna jest dziś po naszej stronie.

eprasa.pl 1425b3815a

Dla nas Armia Czerwona była nowym okupantem, ale w Rosji, nawet oddolnie, niezależnie od narracji Kremla, bardzo silny jest wielki mit „zwycięstwa nad faszyzmem". Może więc gdyby Polska bardziej zaakcentowała rolę Rosjan w pokonaniu Hitlera, Rosjanie ustąpiliby w innych sprawach? Czy w sferze polityki historycznej jest pole do jakiegokolwiek kompromisu na linii Warszawa–Moskwa?

Rzeczywiście w Rosji silny jest mit wielkiej wojny ojczyźnianej. Jednak, jak już powiedziałem, w Polsce nie ma przyzwolenia na utrzymywanie pomników poświęconych Armii Czerwonej, czego domaga się Rosja. Nie godzimy się też na to, by w społeczeństwie polskim była propagowana fałszywa wersja historii. Nikt nie kwestionuje, że Rosjanie pokonali Hitlera, ale nie możemy zaakceptować rosyjskiej wersji historii…

Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej" sugeruje, że Putin nie zaatakowałby Polski, gdyby dostał wcześniej zaproszenie na Westerplatte 1 września oraz na obchody wyzwolenia Auschwitz…

Rzeczywiście Putin nie był zaproszony na obchody 80. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, jednak wydaje się, że przyczyną była uchwała Parlamentu Europejskiego z września ubiegłego roku, sprzeciwiająca się fałszowaniu historii. Zdaniem Rosji inspirowana przez polskich europarlamentarzystów. Na obchody rocznicy wyzwolenia Auschwitz zaś Rosja została zaproszona w takim samym trybie jak inne państwa i potwierdziła obecność swojego przedstawiciela, którym będzie ambasador Andriejew.

Tylko czy nikt nie zabronił Rosji reprezentowania ją przez prezydenta w tych obchodach?

To państwo określa, w jakiej randze będzie reprezentowane. Rzecznik Kremla pod koniec listopada zapowiedział, że prezydent Putin nie przyjedzie.

Czym była podyktowana ta seria propagandowych ataków na Polskę? Politycy PiS jednym głosem powtarzali, że przyczyną była „silna pozycja Polski". Ale przecież w polityce zagranicznej atakuje się raczej słabych, którzy nie potrafią się obronić…

Atakuje się tych, którzy przeszkadzają w realizacji własnej polityki. Wiele państw jest słabszych od Polski, jednak Rosja ich nie atakuje. Rosja postrzega Polskę jako państwo silne, które skutecznie szkodzi jej interesom, przeciwstawia się Nord Stream, dąży do umocnienia NATO, sprowadza wojska amerykańskie do granic Rosji, inspiruje rezolucje Parlamentu Europejskiego, przeciwstawia się zniesieniu sankcji i działaniom Rosji wobec Ukrainy…

Pod koniec poprzedniego roku Putin zaliczył parę niepowodzeń geopolitycznych – m.in. nie udało mu się złamać Ukrainy i Białorusi, co jest szczególnie bolesne z punktu widzenia rosyjskiego imperializmu… Może więc upatrzył sobie Polskę jako łatwy cel, aby osiągnąć wreszcie jakiś sukces wizerunkowy?

Nie sądzę, by odniósł sukces wizerunkowy. Większość światowej opinii publicznej ze zdumieniem przyjęła jego narrację. Bardzo trafną i mocną odpowiedzią na oskarżenia Putina było oświadczenie premiera Mateusza Morawieckiego, którego przesłanie, dzięki działaniom polskich placówek za granicą, zostało szeroko rozpowszechnione. Media amerykańskie, europejskie czy izraelskie są po naszej stronie.

Ale zapewne udział w Światowym Forum Holokaustu, pod nieobecność polskiego prezydenta, okaże się takim sukcesem.

Rezygnacja z udziału w forum przez prezydenta Andrzeja Dudę spotkała się z powszechnym zrozumieniem, także środowisk żydowskich…

Ale czy sam fakt, że to właśnie Putin będzie głównym gościem, „gwiazdą" izraelskiej uroczystości poświęconej ofiarom Holokaustu, nie jest jego wielkim sukcesem?

Być może, podobnie jak wizyta na zaproszenie prezydenta Macrona we Francji przed szczytem G7 była wizerunkowym sukcesem. Państwa mają swoje kalkulacje, zapraszając Putina...

Forum jest w pewnym sensie konkurencją dla uroczystości w Oświęcimiu. Może je przyćmić.

Światowe Forum Holokaustu odbywa się już po raz piąty. Wezmą w nim udział goście z wielu państw, ale zgodnie z koncepcją organizatorów głos zabiorą przywódcy tych państw, które formalnie tworzyły koalicję antyhitlerowską, plus Niemcy. Stąd też miejsce dla Władimira Putina.

Ale nie będzie miejsca dla Andrzeja Dudy. Dla prezydenta kraju, który jako jedyny z Niemcami walczył od pierwszego do ostatniego dnia wojny, który jako jedyny nie współpracował z Hitlerem. Nie będzie miejsca dla prezydenta Polski, choć to na terenie okupowanej Polski funkcjonował obóz Auschwitz-Birkenau, a pośród Polaków jest najwięcej Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Prezydent Andrzej Duda otrzymał zaproszenie, jednak nie weźmie udziału w uroczystościach, właśnie z tych powodów, które pan wylicza.

Polska też walczyła z Niemcami. Jak przyznaje ambasador Marek Magierowski, zarówno Yad Vashem, jak i izraelskie władze co najmniej od czterech miesięcy wiedziały o warunkach udziału prezydenta Dudy w uroczystościach 23 stycznia.

To prawda…

Ale skoro Polska przedstawiła Izraelowi swoją wizję, to, jak rozumiem, przez te cztery miesiące trwały negocjacje, które zakończyły się fiaskiem. Dlaczego nie udało się przekonać organizatorów?

Polska nie prowadziła negocjacji, tylko przedstawiła Izraelowi oczekiwanie, by prezydent Duda mógł zabrać głos. Strona izraelska uznała jednak, że pierwotna koncepcja mówców według klucza formalnych członków koalicji plus Niemcy nie powinna być zmieniana.

Dlaczego się nie udało?

Gospodarze określają formułę spotkania, a Izraelczycy uznali, że ich koncepcja jest właściwa.

W kwestii polityki historycznej wspólnota interesów Izraela i Rosji jest oczywista. Armia Czerwona to dla nas okupanci, ale dla Żydów, więzionych w obozach koncentracyjnych – wyzwoliciele. Wiadomo to od dawna. Dlaczego nie potrafimy wbić klina pomiędzy Moskwę a Tel Awiw?

Punktem odniesienia dla Izraela nie jest Rosja, tylko USA. Izraelska opinia publiczna, także środowiska żydowskie w Polsce, dobrze przyjęły oświadczenie premiera Morawieckiego, który wykazał bezzasadność, nieprawdziwość, ahistoryczność twierdzeń Putina. Rosja jest jednak ważna w kontekście bezpieczeństwa Izraela – poprzez obecność wojskową w Syrii i w ogóle pozycję na Bliskim Wschodzie. Beniamin Netanjahu i Władimir Putin spotykają się bardzo często.

Skoro od dawna wiadomo, że Rosja próbuje nas oskarżać o antysemityzm oraz sojusz z Hitlerem i próbuje do tego wykorzystać środowiska żydowskie i sam Izrael, to może warto było przygotować wcześniej jakąś kontrnarrację w sferze polityki historycznej? Na przykład pokazać światu karty z historii rosyjskiego antysemityzmu – od czarnej sotni przez sojusz z Hitlerem po „spisek lekarzy"…

eprasa.pl 1425b3815a

Izrael ma dla Rosji znaczenie autonomiczne, niezależnie od relacji z Polską. Nie sądzę też, by mógł być instrumentem realizacji interesów Rosji wobec Polski. Rosji brakuje wiarygodności, dlatego oskarżanie przez nią Polski o antysemityzm czy współpracę z Niemcami w czasie wojny nie jest dla nas groźne. Gorzej, gdy takie głosy pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, Izraela czy środowisk żydowskich. Prowadzimy też swoją narrację, jej elementami były oświadczenie ministrów spraw zagranicznych państw regionu w sprawie paktu Ribbentrop-Mołotow, obchody 80. rocznicy rozpoczęcia drugiej wojny światowej i ostatnie oświadczenie premiera, a także takie działania jak przybliżanie postaci Pileckiego czy działalności grupy Ładosia. Nie sądzę, by stosowanie takich metod, jakich używa Rosja, było skuteczne.

Można było jednak np. opublikować serię dokumentów pokazujących prawdę o „wyzwolicielach".

Zgadzam się, że najważniejsze jest mówienie prawdy na podstawie dokumentów historycznych. I to czynimy…

Jest obawa, że 9 maja 2020 r. oczy świata będą zwrócone na Moskwę, a Putin znowu wybieli Sowietów i oczerni Polskę. Jak możemy popsuć to święto?

Wcześniej sugerował pan uznanie roli Rosjan w pokonaniu Hitlera i poszukiwanie kompromisu, a teraz psucie święta, które tę właśnie rolę podkreśla. Nie możemy popadać z jednej skrajności w drugą, musimy spokojnie robić swoje, bo prawda jest po naszej stronie. I świat to widzi…

Przenieśmy się na Bliski Wschód. Po zlikwidowaniu gen. Sulejmaniego parlament iracki zażądał wycofania się wojsk NATO z Iraku. Sojusz, na czele z prezydentem USA, nie zamierza jednak się wycofywać. Po co mamy tak się narażać?

Jesteśmy członkami sił NATO-wskich i sił globalnej koalicji. Podejmujemy wspólne decyzje. NATO zdecydowało o pozostaniu w Iraku, uznając, że wnosi pozytywny wkład w stabilizację regionu.

Tylko czy Irakijczycy również uznają ten pozytywny wkład? Czy nie zostaniemy potraktowani jako okupanci?

Sekretarz generalny NATO poinformował nas, że jest to także opinia Iraku.

Ale była decyzja parlamentu. Jak to rozumieć? Jesteśmy bezpieczni?

Parlament nie jest organem uprawnionym do podejmowania decyzji o wycofaniu wojsk NATO. Władze wykonawcze nie podzieliły opinii parlamentu w tej kwestii.

A z tych informacji, którymi dysponuje MSZ, wynika, że ryzyko wojny amerykańsko-irańskiej zostało już zażegnane?

Zarówno USA, jak i Iran podjęły konkretne działania, które prowadzą do deeskalacji. Ufamy więc, że konflikt został ostatecznie zażegnany.

Doktor Jacek Bartosiak, specjalista od geopolityki, uważa, że zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie jest dla Polski niekorzystne. Jego zdaniem w interesie Warszawy jest wycofanie się Amerykanów z tego regionu. Bartosiak argumentuje, że USA mają zbyt wiele otwartych frontów i nie są w stanie wygrać na wszystkich. Dlatego lepiej, aby skupiły się na flance wschodniej NATO.

> **Niektóre działania marszałka Tomasza Grodzkiego wykraczają poza kompetencje przynależne Senatowi**

Podzielam opinię, że dla nas byłoby lepiej, by Amerykanie skupili się na flance wschodniej NATO. Tylko że Amerykanie rozumieją swoje interesy inaczej… Postawienie pytania o sens naszego zaangażowania na Bliskim Wschodzie mogłoby postawić pytanie o sens zaangażowania Stanów Zjednoczonych nad Wisłą. To nie jest tak, że my możemy od sojusznika oczekiwać realizacji naszych interesów bezpieczeństwa, a pomijać interesy sojusznika.

Ale możemy przekonywać sojusznika, że ma większe interesy w Europie Wschodniej niż na Bliskim Wschodzie.

Amerykanie sami wiedzą, gdzie i jakie mają interesy, i nie sądzę, by oczekiwali od nas rad w tym zakresie.

Za to Bruksela potrzebuje od nas… zmian w prawie. Będzie pan spotykać się z komisarz Věrą Jourovą. Nie wygląda jednak na to, by udało się ją do czegokolwiek przekonać. Komisja Europejska, jak się zdaje, coraz bardziej ingeruje w polskie ustawodawstwo. A nawet w nieuchwalone jeszcze ustawy.

Minister spraw zagranicznych powinien spotykać się i rozmawiać z komisarzami. Jednak ze względu na materię sporu najważniejsze są relacje z ministrem sprawiedliwości, który potwierdził spotkanie z komisarz Jourovą i będzie przedstawiał nasze argumenty.

Być może pani komisarz chętniej spotkałaby się z marszałkiem Senatu Tomaszem Grodzkim niż z panem. Nie czuje pan konkurencji ze strony marszałka? Coraz częściej wchodzi on w buty szefa polskiej dyplomacji.

Rzeczywiście, niektóre działania marszałka Grodzkiego wykraczają poza kompetencje przynależne Senatowi. Mam tu na myśli np. zaproszenie Komisji Weneckiej do Polski.

Marszałek Grodzki konsultował się z panem w sprawie spotkania z ambasadorem Rosji. Ale w przypadku swoich brukselskich wojaży już nie uznał tego za stosowne.

Gdyby zapytał mnie o zdanie, tobym mu wizytę w Brukseli odradzał. Odradziłbym również zapraszanie Komisji Weneckiej z pominięciem uprawnionych do tego organów państwa. Politykę zagraniczną prowadzą prezydent, rząd, minister spraw zagranicznych, ale bynajmniej nie marszałek Senatu – to wbrew konstytucji.

Za oceanem sytuacja Donalda Trumpa jest niepewna – nie tylko nie wiadomo, czy wygra wybory, lecz także nie jest pewne, czy do nich dotrwa. Procedura impeachmentu trwa. Zdaniem części komentatorów relacje polsko-amerykańskie są zbyt spersonalizowane, oparte na osobistej sympatii Trumpa. Czy jesteśmy przygotowani na wariant, w którym prezydentem zostaje inny polityk, nie tak przychylny konserwatywnej władzy nad Wisłą?

Relacje Polski ze Stanami Zjednoczonymi mają charakter międzypaństwowy, a nie personalny. Niezależnie od tego, jaki będzie wynik wyborów prezydenckich, łączyć nas będą relacje strategiczne. Rozwijamy współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa, w sektorze energetycznym, transferu technologii. Zacieśnieniu kontaktów sprzyja zniesienie wiz dla Polaków. Ściśle współpracujemy na forum polityki międzynarodowej. Jesteśmy też zdecydowanymi zwolennikami utrzymania silnych relacji transatlantyckich, zasypywania podziałów między Unią a USA. To wszystko stanowi dobrą podstawę dla współpracy między naszymi krajami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Przyjemnie już było

Rozmawiałem niedawno z pewną mądrą kobietą. Z grubsza (acz w jej przypadku raczej z cieńsza) w moim wieku. I po krótkiej wymianie zdań owa kobieta wyznała mi, że… z jej życia wyparował element przyjemności. To znaczy rzeczy, które kiedyś sprawiały przyjemność, już jej nie sprawiają.

Odetchnąłem z ulgą, bo okazało się, że są osoby, które odczuwają to samo co ja. A to już coś na kształt dowodu, że nie jestem zupełnym dziwolągiem. Ze mną i przyjemnością jest bowiem podobnie. Coraz trudniej ją osiągnąć. Ba! Trudno sobie nawet wyobrazić coś przyjemnego. Kiedyś, gdy przymykałem oczy i na chwilę uciekałem przed brutalną albo nudną codziennością w marzenia, przyjemne obrazy same wyskakiwały mi na pulpit. Plaża, podróże, laski, z którymi chciałbym się bliżej poznać (tak to ujmijmy), intelektualiści, z którymi chciałbym porozmawiać (powiedzmy), wygrana w totka, którą przeznaczyłbym na… I tu maszerowały przede mną kolejne przyjemności.

Teraz, kiedy chcę się zrelaksować taką błogą projekcją, zamykam oczy i niestety żaden obraz się nie pojawia. Zaczynam się zastanawiać, o czym przyjemnym mógłbym pofantazjować, i kompletnie nic nie przychodzi mi do głowy. A kiedy zmuszam się do jakichś wizji (głównie o tych intelektualistach, oczywiście), wcale nie działają tak jak kiedyś. To nie jest przyjemna ucieczka w marzenia, tylko obojętna ucieczka w marzenia.

Niestety, tak jest nie tylko we śnie, lecz także na jawie. Długa lista czynności i doznań, które kiedyś sprawiały mi przyjemność – może nie wchodźmy w to, co to było konkretnie – zamieniła się w długą listę czynności i doznań, które rozczarowują. Nie to, że są niemiłe, ale zdecydowanie nie są już tak przyjemne jak kiedyś.

Cóż, to zapewne kwestia PESEL-u – jak dowcipnie mówią lekarze do podstarzałych pacjentów. Widać, młodość jest wspaniałym urządzeniem, do którego z jednej strony wpychamy byle co (np. wakacje pod namiotem podczas deszczowego lata nad zimnym morzem), a z drugiej wychodzi frajda. Z wiekiem ta umiejętność organizmu zanika, w związku z czym wakacje na tajskiej wyspie w luksusowym spa nie smakują tak, jak teoretycznie powinny. A 18-letni single malt nie kopie tak jak ciepła żytnia, wypita dawno temu.

Wiem, że brzmi to wszystko dość ponuro, jak opis kryzysu wieku średniego. Ale z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów deficyt życiowych przyjemności nie działa na mnie deprymująco. Nie staram się zawrócić biegu rzeki za pomocą porsche 911 czy cycatych blondynek. Przyjemnie już było i nic się nie da z tym zrobić.

Acz pogawędka z mądrą kobietą przynosi pewną satysfakcję. A przy okazji temat na felieton. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Globalne klimakterium

Nic nie poradzę, ale w sprawie nowej świeckiej religii, której sednem jest wiara w możliwość wpływu człowieka na zmianę klimatu, pozostaję niedowiarkiem. Doceniam zgubną rolę ludzi w zatruwaniu planety, w tępieniu gatunków i niszczeniu lasów – ale co do klimatu…

Mimo że na Zachodzie przekonanie o tym jest powszechne, a i w Polsce się upowszechnia, nie przedstawiono mi żadnych dowodów, wyliczeń itp., a nie mam w sobie histerycznej ufności małej Grety. Zmiany klimatyczne zachodzą nieustannie, ale przecież nasi przodkowie nie mieli żadnego wpływu na kolejne zlodowacenia (mogli co najwyżej zacząć nosić skóry). Nie były dziełem ludzkim ciepłe wieki IX i X, kiedy Grenlandia była zielona, a wikingowie dopływali do Winlandii, ani koszmarnie zimne stulecie XVII, kiedy Bałtyk zamarzał.

Bywa, że cała działalność człowieka ma mniejszy wpływ na klimat niż jeden duży meteor (jak ten, przez który wyginęły dinozaury) albo wybuch wulkanu. Istnieje teoria, że wybuch Krakatau (między Jawą i Sumatrą) w VI w. zafundował kilka lat pyłów, chłodów i nieurodzajów, które ostatecznie dobiły cywilizacje antyku. Fenomen okresowego prądu El Niño w Ameryce Południowej został odnotowany wielokrotnie przez ostatnie 10 tys. lat, a wszelkie akcje z zakazem hodowli krów czy rodzenia dzieci przypominają próbę wyczerpywania morza za pomocą łyżeczki do herbaty i służą jedynie rozmaitym geszefciarzom inwestującym w „alternatywne energie".

Niestety ogłupiony świat ustępuje ekologicznemu lobby – zamiast prób działań pozytywnych (nawadnianie pustyń czy sadzenie na wielką skalę lasów z pewnością by nie zaszkodziło) – szprycuje się ludzi paranauką. Bo jeśli nawet klimat ma się zmienić, to lepiej przygotować się do tych zmian (jak swego czasu nasi przodkowie jaskiniowcy) niż udawać, że się z nimi walczy. Obawiam się, że za mało jest odważnych, by walczyć z tym humbugiem. Niedługo zresztą samo krytykowanie polityki klimatycznej będzie penalizowane, a za taki tekst będzie się trafiało na stos, oczywiście niewydzielający dwutlenku węgla! ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

Błażej Kmieciak

Dziwny to świat, w którym głosiciele idei ochrony praw dzieci jednocześnie zachęcają je, by zachowywały się jak osoby dorosłe

Lewe prawa dziecka

Wyobraźmy sobie pewną scenę. Do apteki wchodzi młoda dziewczyna. Jest nieco zaniepokojona. Farmaceuta widział, że przed wejściem emocjonalnie dyskutowała z jakimś kolegą. Klientka podchodzi do okienka i nerwowo się uśmiecha, po czym pyta, czy może jej sprzedać środek antykoncepcyjny. Aptekarz, nieco zaskoczony, pyta, czy ma receptę, chcąc wiedzieć, o jaki środek chodzi. Dziewczyna mówi, że chodzi o tabletkę „dzień po". Słyszała, że jest bez recepty. Sprzedający podaje jej ten preparat. Gdy dziewczyna wyjmuje z torebki portfel, wypada jej legitymacja szkolna. Ze zdumieniem farmaceuta stwierdza, że dziewczynka ma 15 lat.

Podobna historia nie została zaczerpnięta z zapewne licznych opowiadań, którymi np. brytyjska młodzież dzieli się w szkole. To bowiem „na Wyspach" kolejne rządy promują swobodny zakup, a nawet darmowe wydawanie dzieciom tabletek i środków antykoncepcyjnych bez badania lekarskiego oraz bez wiedzy i zgody rodziców. „Apteczne opowiadanie" odnosi się wprost do sytuacji, która jeszcze nie tak dawno wydarzyła się w naszym kraju. Między rokiem 2015 a 2017 dzieci, które skończyły 15. rok życia, mogły bowiem kupować środek antykoncepcyjny o nazwie ellaOne bez jakiejkolwiek kontroli rodzicielskiej oraz lekarskiej. Decyzję o pojawieniu się podobnego uprawnienia podjął m.in. ówczesny minister zdrowia, a przypomnijmy, że był nim w rządzie PO-PSL Bartosz Arłukowicz, lekarz pediatra. Jego następca – tuż po objęciu urzędu – zmodyfikował te przepisy. Jak to jednak możliwe, że w Polsce, która była inicjatorem ogłoszenia Konwencji o prawach dziecka, wprowadzono przepisy, które wbrew wszelkim standardom prawa rodzinnego umożliwiały dzieciom podejmowanie aktywności zarezerwowanej dla osób dorosłych?

KONSTYTUCJA DLA DZIECI

Wspomniana powyżej Konwencja o prawach dziecka to dokument bardzo trudny do przecenienia. 20 listopada 2019 r. obchodzona była 30. rocznica jego ogłoszenia przez Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ). W Polsce rocznica ta ma szczególne znaczenie. Warto bowiem przypomnieć, że to prof. Tadeusz Smyczyński, prawnik z PAN, już pięć dekad temu uczestniczył w pracach międzynarodowych zespołów, które postawiły sobie za cel opracowanie pierwszej wersji konwencji. Obecnie jest to w pewnym sensie najpopularniejszy międzynarodowy dokument podejmujący w swych zapisach temat praw i wolności człowieka. Został on ratyfikowany (przyjęty do wewnętrznego obowiązywania) przez blisko 200 państw na całym świecie.

Pojawienie się podobnego formalnego opracowania miało szczególne znaczenie. Konwencja stała się istotną podstawą także dla polskiej konstytucji, która w art. 72 ust. 3 w sposób jednoznaczny wskazuje: „W toku ustalania praw dziecka organy władzy publicznej oraz osoby odpowiedzialne za dziecko są obowiązane do wysłuchania i w miarę możliwości uwzględnienia zdania dziecka".

Wspomniany powyżej prof. Smyczyński bardzo mocno w ostatnich miesiącach zaznaczał, że Konwencja o prawach dziecka nie jest uniwersalnym rozwiązaniem i dyrektywą dla „wszystkich ludzi różnych państw, różnych kultur i religii". Jego jednak zdaniem omawiany dokument „przy dobrej woli i umiejętnej wykładni" stanowi bezcenne wsparcie w zakresie ochrony praw osób najmłodszych. Cytowany tutaj znawca prawa rodzinnego stwierdza również: „Niestety, wiele państw wyraźnie forsuje swoją politykę społeczno-rodzinną, a nawet wprost lekceważy jasne przepisy konwencji".

PARADOKSEM W DZIECKO

Obawy prof. Smyczyńskiego wyrażone zostały 26 września ubiegłego roku w liście skierowanym do uczestników międzynarodowej konferencji naukowej dotyczącej praw dziecka, która zorganizowana została na UKSW. Nie są to niestety obawy pozbawione podstaw. Okazuje się bowiem, że wizja praw dziecka uległa w ostatnich latach nie tylko zmianie. Poglądy dotyczące dziecięcych uprawnień przybierają bowiem postać swoistej społeczno-wychowawczej karykatury.

Czytając następujące po sobie artykuły wspomnianego tutaj dokumentu, wyraźnie widać, że dziecko traktowane jest w nim jako ktoś szczególny. To dlatego preambuła konwencji ukazuje nam dwie kluczowe kwestie. Po pierwsze „dziecko, z uwagi na swoją niedojrzałość fizyczną oraz umysłową, wymaga szczególnej opieki i troski, w tym właściwej ochrony prawnej, zarówno przed, jak i po urodzeniu". Wskazany rozwój ma odbywać się jednakże nie w próżni, ale przede wszystkim w rodzi-

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ADOBE STOCK

nie. Konwencja już bowiem w oficjalnym wprowadzeniu wskazuje, że „dziecko dla pełnego i harmonijnego rozwoju swojej osobowości powinno wychowywać się w środowisku rodzinnym, w atmosferze szczęścia, miłości i zrozumienia".

Niestety, cytowane w tym miejscu zasady są bagatelizowane nie tylko przez kolejne państwa, lecz także przez sam ONZ, mający stać na straży dobra dziecka. Jak bowiem zrozumieć milczenie utworzonego przez konwencję Komitetu Praw Dziecka w kwestii kolejnych proaborcyjnych działań na świecie? Jak pojąć, że wskazany w tym miejscu komitet skrytykował cztery lata temu Polskę za prowadzenie okien życia?

Uznano wówczas, że nasz kraj narusza art. 8 konwencji, wręcz gwałcąc prawa dzieci do tożsamości. Jednocześnie jednak gremium to milczy w przypadku np. coraz większej grupy Brytyjczyków poczętych metodą in vitro za pomocą komórek rozrodczych anonimowo przekazanych przez dawców. Jak się okazuje, wskazana gwarancja anonimowości powoduje, że powiększa się populacja osób, które pozbawiono prawa do poznania własnej przeszłości. W ostatnim czasie przedstawiciele organizacji Children's Society zwrócili uwagę: „Szykujemy sobie poważny problem, który trzeba będzie rozwiązać za kilkanaście lat. Oto rodzi nam się generacja ludzi, którzy nie będą wiedzieli, kim są i skąd pochodzą".

Kto zatem prawdziwie łamie prawo dziecka do tożsamości: placówki ratujące dzieci przed porzuceniem czy promotorzy metody reprodukcyjnej, która odcina człowieka od jego własnych, biologicznych korzeni?

Gdy czytamy kolejne międzynarodowe deklaracje dotyczące praw dziecka, dojść możemy do przekonania, że już dawno wyrzucono z nich znane w ww. konwencji standardy, w których to pojęcie „dobra dziecka" winno odnosić się do jego: godności (np. art. 28), dynamiki rozwoju osobowego (np. art. 13), relacji rodzinnych (np. art. 14), a przede wszystkim prawa do życia (art. 6). Zapoznając się np. z treściami kursu: „Child Protection: Children's Rights in Theory and Practice" prowadzonego przez UNICEF oraz Uniwersytet Harvarda, dowiedzieć się możemy, że aborcja jest zła, ale wyłącznie w momencie, w którym podejmowana jest ze względu na płeć dziecka. Eliminacja prenatalna dziecka poczętego z racji prawdopodobieństwa występowania niepełnosprawności nie spotyka się z krytyką międzynarodowych agend odpowiedzialnych za troskę o prawa dziecka.

Powoli postawa ta przestaje dziwić. Okazuje się bowiem, że m.in. wspomniany powyżej UNICEF (agenda ONZ ds. praw dziecka) coraz częściej współpracuje z aborcyjną organizacją Planned Parenthood, w której klinikach rocznie pozbawianych jest życia tysiące dzieci przed swoim narodzeniem. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski zwrócił niedawno uwagę, że na ostatnim, listopadowym, międzynarodowym szczycie ludnościowym w Nairobi dwie ww. organizacje odpowiadały za panel dotyczący edukacji seksualnej dzieci i młodzieży. Doszliśmy zatem do stanu, w którym nastąpiło niepojęte przedefiniowanie, a wręcz zredukowanie praw dziecka. Wzorowymi obrońcami praw dziecka arbitralnie mianują się dzisiaj specjaliści od uśmiercania dzieci.

Niestety podobne sprzeczności widać w innych obszarach. Przypomnijmy, że art. 9 konwencji stanowi, iż dziecko nie może zostać oddzielone od swoich rodziców wbrew ich woli. Jak zatem pojąć coraz częstsze działania niemieckich, norweskich czy ostatnio szwedzkich instytucji państwowych, które agresywnie wkraczają w przestrzeń rodzinną, rzekomo niespełniającą wyznaczonych przez urzędników standardów, jakże dalekich od znanego z konwencji pojęcia „dobra dziecka"?

RODZIC I DZIAŁANIE

Po trzech dekadach obowiązywania Konwencji o prawach dziecka widać, że idea jej przyświecająca znajduje się na swoistym zakręcie.

Po pierwsze w dyskusji społecznej skupiono się wyłącznie na uprawnieniach, całkowicie zapominając o dziecięcych obowiązkach. To m.in. podobne sytuacje doprowadzają do znanych z mediów zdarzeń, w których to dziecko np. wzywa do domu policję w związku z obowiązkiem sprzątania pokoju, który na niego nałożyła mama.

Po drugie widać, że bardzo modne stało się pojęcie autonomii dzieci. Powyżej wskazany przykład z apteki jest tego doskonałym urzeczywistnieniem. Dzieci są „prawnie przebierane" za dorosłych. Dzisiaj nie jest już skandalem współżycie dziecka przed osiągnięciem 18. roku życia. Skandalem jest brak możliwości „antykoncepcyjnego zabezpieczenia" się przez nasze pociechy.

Po trzecie kolejne kraje dochodzą do tragicznej i paradoksalnej sytuacji. Z jednej strony walczą o prawa niepełnosprawnych dzieci, a z drugiej nie pozwalają im się urodzić, liberalizując przepisy aborcyjne. Jest także piąty obszar. Prawa dziecka są unikalnym elementem debaty prawno-człowieczej. Odnoszą się one do władzy, ale mowa tutaj o władzy rodzicielskiej, a więc o osobach rodziców, dla których dziecko jest szczególną, kochaną postacią. Dzisiaj niestety rodzice traktowani są jako niedouczeni antyeksperci. Kolejne gremia chcą powierzyć, w istnie totalitarnym stylu, opiekę, zdrowie oraz wychowanie dzieci pedagogicznym i psychologicznym specjalistom.

Niestety droga ta prowadzi do tragedii, której efektem będzie ukształtowanie się roszczeniowego społeczeństwa znającego prawa bez obowiązków. Jak temu zaradzić? To proste: pełnia mocy leży w rodzicach. Wystarczy, by aktywnie pamiętali o swojej unikalnej roli realizującej się w: trosce, obecności, aktywnym wychowaniu oraz pokazywaniu dziecku, co jest dobre, a co złe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym prawa, socjologiem i pedagogiem specjalnym, wykładowcą akademickim i publicystą.

eprasa.pl 1425b3815a

Papież emeryt Benedykt XVI i papież Franciszek w Watykanie, 8 grudnia 2015 r. FOT. GREGORIO BORGIA/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 1425b3815a

Krystian Kratiuk

Długi cień abdykacji

Zamieszanie po wydaniu nowej książki zawierającej tekst Benedykta XVI potwierdza, że dokonana przed kilku laty radykalna dekonstrukcja urzędu papieskiego przysporzyła kolejnych trudności Kościołowi

W połowie stycznia we Francji miała się ukazać książka kard. Saraha zawierająca tekst Benedykta XVI. Powstało wokół niej olbrzymie zamieszanie, gdyż początkowo, w wyniku nieporozumienia między kardynałem a emerytowanym papieżem, publikację zapowiadano jako „książkę dwóch autorów". Ostatecznie jednak publikacja zatytułowana „Z głębi naszych serc" sygnowana będzie podpisem „kard. Sarah przy wkładzie Benedykta XVI".

Teksty składające się na książkę zostały napisane „w obronie celibatu kapłańskiego". Zapowiedź ta wywołała burzę w wielu katolickich środowiskach – szczególnie tych, które od lat postulują zniesienie prawa o bezżeństwie księży Kościoła rzymskokatolickiego.

Jak się dowiadujemy z materiałów promocyjnych znanej na razie tylko po francusku książki, były papież i obecny prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego Dyscypliny Sakramentów mieli napisać we wstępie: „Celibat jest niezbędny. Nie możemy milczeć. Spotkaliśmy się w ciągu tych minionych miesięcy, gdy świat rozbrzmiewał wrzawą wytworzoną przez dziwny synod medialny, który szedł za synodem rzeczywistym. Wymieniliśmy idee i nasze niepokoje. Modliliśmy się i rozważaliśmy w milczeniu [...]. Celibat kapłański ma wielkie znaczenie, aby nasza droga ku Bogu pozostała fundamentem naszego życia". W kilkadziesiąt godzin po ujawnieniu tego fragmentu Benedykt XVI stwierdził jednak, że chce być podpisany wyłącznie pod swoim tekstem.

W części owej publikacji napisanej już samodzielnie przez Benedykta XVI przypomina on, że Kościół zawsze cenił małżeństwo i uważa je za dar Boży, ale „służba Panu również wymaga całkowitego daru człowieka z siebie, a zatem nie wydaje się możliwe pogodzenie obydwu powołań". Zatem „zdolność do rezygnacji z małżeństwa, aby oddać się całkowicie Bogu do dyspozycji, stała się kryterium posługi kapłańskiej".

CO NA TO FRANCISZEK?

Watykan zareagował na głosy oburzonych świeckich i katolewicowych mediów bardzo szybko. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej wydało komunikat, który jednak mógł zaskakiwać. Otóż potwierdzono, że również i papież Franciszek sądzi, że uświęconego wielowiekową tradycją kapłańskiego celibatu nie należy przeformułowywać na „opcjonalny".

Rzecznik prasowy Watykanu przypomniał wypowiedź Ojca Świętego z rozmowy z dziennikarzami w czasie powrotnego lotu z Panamy w styczniu 2019 r., kiedy to Franciszek mówił: „Przychodzi mi na myśl pewne zdanie św. Pawła VI: Wolę oddać życie, niż zmienić prawo dotyczące celibatu". I dodał: „Osobiście uważam, że celibat jest darem dla Kościoła. Nie zgadzam się, by pozwolić na celibat opcjonalny: mogłaby jedynie pozostać taka możliwość w miejscach najodleglejszych – myślę o wyspach Pacyfiku [...], kiedy istnieje potrzeba duszpasterska, tam pasterz musi myśleć o wiernych".

Przypomnienie tej papieskiej wypowiedzi z pewnością nie spodobało się licznym wspierającym Franciszka zwolennikom nieustannej modernizacji Kościoła. Liczyli oni bowiem, że po zapoznaniu się z postulatami Synodu Amazońskiego papież da wszystkim konferencjom episkopatów krajowych (nie tylko tak odległym od Rzymu jak samotne wyspy Pacyfiku czy czeluści południowoamerykańskiej puszczy) możliwość autonomicznego decydowania o dyscyplinie dotyczącej celibatu. Bardzo optowali za tym niemieccy biskupi, nie tylko skutecznie forsując wpisanie do dokumentu końcowego synodu prośby o rozważenie wyświęcania viri probati (sprawdzonych mężów) w Amazonii, lecz także sugerując „uniwersalne podejście do tego tematu".

Oficjalne stanowisko Franciszka jest jednak sprzeczne z tymi sugestiami. Jak jednak uczy nas już prawie siedmioletnia historia obecnego pontyfikatu – to, że Biuro Prasowe Watykanu potwierdziło jakieś stanowisko papieża, wcale nie oznacza, iż opinia Ojca Świętego na ten temat nie ulegnie zmianie lub przynajmniej nie będzie szeroko otwarta na sprzeczne ze sobą interpretacje. Na rozstrzygnięcie tego dylematu przyjdzie nam jednak poczekać do opublikowania przez Franciszka posynodalnej adhortacji apostolskiej, którą początkowo zapowiadano na koniec ubiegłego roku, by potem termin jej publikacji przełożyć na czas bliżej nieokreślony.

„DWÓCH PAPIEŻY"

Warto jednak pamiętać, że całe zamieszanie zarówno wokół samej książki, jak i wokół celibatu, skutkujące falą obelg pod adresem kard. Saraha (niektórzy wściekli publicyści mediów lewicowych sugerowali nawet, że hierarcha może być homoseksualistą!), ale też natrząsaniem się z papieża emeryta, mówieniem o nim z politowaniem i nawoływaniem do jego „zamilknięcia", nie byłoby możliwe, gdyby bez mała siedem lat temu Benedykt XVI nie abdykował z urzędu piastowanego przez jego poprzedników aż do śmierci.

eprasa.pl 1425b3815a

Joseph Ratzinger dokonał jednak takiego aktu, czym walnie przyczynił się do dekonstrukcji papiestwa. Wydaje się, że chaos, który wkradł się w publikację książki kardynała i byłego papieża, to dobra okazja, by o tym przypomnieć.

Wiemy, że Benedykt XVI daje czytelne znaki, z których wielu katolików wyciąga wniosek, że nadal sprawuje on w jakiś sposób urząd papieża. Podpisuje się wszak papieskim imieniem, jego współpracownicy mówią o nim „Jego Świątobliwość", udziela apostolskiego błogosławieństwa, mieszka w Watykanie i nosi białą sutannę. Kilka lat temu jego osobisty sekretarz sugerował zaś, że posługa papieska podzieliła się na dwie formy – aktywną, którą pełni Franciszek, i kontemplacyjną, którą pełnić ma Benedykt.

To jednak prowadzi nas, katolików, na manowce jeszcze większego zamętu. Wystarczy prześledzić fora internetowe, by dowiedzieć się, że wielu ludzi nie uznaje papieża Franciszka za papieża i to właśnie dlatego, że żyje Benedykt XVI. Nie mniej osób sądzi, że Franciszek jest papieżem, ale również Benedykt XVI nadal jest trochę papieżem, co prowadzi do oczywistych nieporozumień.

O ile w kwestii celibatu stanowisko obu hierarchów (przynajmniej na razie) jest dość spójne, o tyle nietrudno sobie wyobrazić sytuację, w której ich stanowiska będą diametralnie inne. Tak było na przykład, gdy Franciszek zwoływał w lutym ubiegłego roku specjalne spotkanie przewodniczących krajowych konferencji episkopatów, na którym debatowano o przyczynach nadużyć seksualnych w Kościele. Kilka tygodni po tym spotkaniu swoje stanowisko na ten temat, całkowicie odmienne od widzących wyłącznie potrzebę walki z klerykalizmem obecnych władz Watykanu, opublikował Benedykt XVI. Jego opinia była znacznie bliższa skrzętnie ukrywanej prawdzie o istniejących w Kościele „homoseksualnych sieciach". Już wtedy fani Franciszka (należy ich właśnie tak nazwać, gdyż zachowują się w mediach społecznościowych tak, jakby komentowali informacje o swej ulubionej drużynie piłkarskiej, a nie papieżu) wieszali psy na jego poprzedniku, sugerując ni mniej, ni więcej, że ze starości wszystko mu się już pomyliło i nie powinien się kompromitować, publikując takie teksty.

A co jeśli Franciszek abdykowałby za życia Benedykta XVI? Będziemy mieli wtedy trzech papieży?

A MOŻE WIĘCEJ?

Jednak przecież papież emeryt z Niemiec może nie być ostatnim papieżem seniorem. Jeśli bowiem potwierdzą się zapowiedzi papieża Franciszka, to również Ojciec Święty z Argentyny może za jakiś czas abdykować (Franciszek mówił o tym kilka razy, raz twierdząc na przykład, że „nawet jeśli nie spodoba się to teologom, musimy się przyzwyczaić do papieży emerytów"). Tylko co wtedy? Wyobrażają sobie państwo sytuację, w której mamy nowego papieża, dajmy na to Jana Pawła III, a media co chwilę zjeżdżają do Watykanu, by jego pracę recenzował „papież emeryt" Franciszek, który bardzo chętnie rozmawia z dziennikarzami, szczególnie mediów lewicowych. Przecież taka sytuacja, zwłaszcza biorąc pod uwagę temperament Jorge Bergoglio, jest wielce prawdopodobna.

W jakiej sytuacji stawia to Kościół od wieków oparty na Piotrze – na skale, jednej, nienaruszalnej, która teraz może przemawiać wieloma głosami?

A co, zastanówmy się i nad tym, jeśli Franciszek abdykowałby jeszcze za życia Benedykta XVI? Będziemy mieli wtedy trzech papieży? Jeden będzie sprawował oficjalny urząd, a dwóch będzie się modlić, od czasu do czasu udzielając nieautoryzowanych przez tego pierwszego wywiadów? Jaki sygnał da to i tak pogubionym dziś wiernym? Jedni będą słuchać jednego papieża, drudzy papieża emeryta Franciszka, jeszcze inni papieża emeryta Benedykta?

I w jakiej sytuacji stawiać to będzie papieży sprawujących faktyczny urząd Piotrowy?

Wszak to skrajne niebezpieczeństwo, mogące zakończyć się potężną schizmą. W naszych multimedialnych czasach, gdy Kościół jest wewnętrznie tak mocno podzielony, wydaje się to szczególnie namacalne. I z pewnością niebezpieczeństwo to było do przewidzenia siedem lat temu. Przewidywali to też zapewne poprzedni papieże, którzy nawet cierpiąc – mimo wszystko – nie rezygnowali ze swego urzędu, by – jak to ujął Jan Paweł II – nie tworzyć niebezpiecznego precedensu.

Obrońcy ustanowienia instytucji papieża emeryta powołują się na zmianę dokonaną w Kościele w XX w. – mianowicie na utworzenie instytucji biskupa emeryta. Dzisiaj, zgodnie z prawem kanonicznym, biskupi składają wszak rezygnację w wieku 75 lat i odchodzą na emeryturę. Nie pełnią wtedy żadnej oficjalnej funkcji, nazywani są biskupami seniorami, a tylko od czasu do czasu mogą być proszeni o pomoc biskupowi ordynariuszowi w sprawowaniu posługi biskupiej, np. mogą udzielić sakramentu bierzmowania.

Jest jednak zasadnicza różnica między biskupem emerytem a papieżem emerytem. Otóż biskup emeryt, rezygnując z funkcji ordynariusza czy biskupa pomocniczego, pozostaje biskupem. A to dlatego, że ma święcenia biskupie, których żadną mocą nie da się go pozbawić. Kogo raz wyświęcono na biskupa, ten już do końca życia będzie biskupem, nawet gdy przejdzie na emeryturę. Ma prawo głosić osobiste nauczanie jako biskup senior, gdy jest o to proszony przez biskupa miejsca, może udzielać tych sakramentów, których udzielanie przynależne jest wyłącznie biskupom.

A papież? Nie istnieją wszak święcenia papieskie. Papiestwo to urząd – wyjątkowy, najwyższy w Kościele, wiążący się z nieporównywalną z niczym godnością i władzą – ale nie wynika on z żadnych święceń. Tak więc po zdaniu tego urzędu były papież wciąż może być biskupem, ale nie jest już papieżem. Dla wszystkich przez wieki wydawało się to jasne – ale wraz z decyzją Benedykta XVI i sposobem jej realizacji – dla wielu jasne być przestało. A używanie określenia papież senior obraz jeszcze zaciemnia.

Abdykacja Benedykta XVI radykalnie zmieniła kształt papiestwa – choć oczywiście nie sposób zauważyć, że od czasów Soboru Watykańskiego II był on stopniowo korygowany. Nawet jeśli uznalibyśmy, jak chciałoby wielu pobożnych, lecz skonfundowanych katolików, że nie znamy do końca prawdziwego powodu abdykacji papieża z Niemiec (choć przecież on wyraził się w tej sprawie jasno), to z perspektywy siedmiu lat od podjęcia przezeń decyzji należy ocenić, że walnie przyczyniła się ona do zamętu, który od dłuższego czasu trwa w Kościele. Nawet jeśli, tak jak autor niniejszego tekstu, uznajemy, że w sporach między progresistami a konserwatystami to diagnozy Benedykta XVI są znacznie trafniejsze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 1425b3815a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwony dom

Na początku lat 30. XX w. naprzeciwko Kremla, nad rzeką Moskwą, bolszewicy wznieśli Dom Władzy. Kolosalny, ponury gmach był największym budynkiem mieszkalnym w Europie. Składał się z 11 bloków i trzech dziedzińców.

Znalazło się w nim 505 nowoczesnych mieszkań. Ich lokatorzy mieli do dyspozycji: własną przychodnię, pocztę, sklep, pralnię, salę gimnastyczną, kort tenisowy i wiele innych udogodnień. Obok znajdowały się kino i teatr. Cały kompleks był zamknięty, nad spokojem lokatorów czuwały uzbrojone straże.

Oczywiście Dom Władzy nie był dla zwykłych śmiertelników. Robotników i chłopów, którzy byli nominalnymi gospodarzami sowieckiego „raju". Nie, oni musieli gnieździć się w zapluskwionych barakach Magnitogorska i brudnych hotelach robotniczych Czelabińska. W rozpadających się kołchozowych ruderach i łagrach archipelagu GUŁag.

Mieszkania w Domu Władzy były zarezerwowane dla sowieckiej elity. Partyjnych aparatczyków, czekistów i generałów. Propagandystów, artystów i stachanowców. Czerwonej elity. Codziennie rano spod bram Domu Władzy wyruszały kolumny czarnych limuzyn rozwożących czołowych bolszewików po urzędach i komisariatach Moskwy.

Losy tych ludzi stały się osnową wielkiej epickiej opowieści Yuriego Slezkine'a. „Dom Władzy" ukazuje triumf i upadek rewolucji bolszewickiej z perspektywy jego lokatorów. Opowiada o tym, jak walczyli z caratem, jak przechwycili i umocnili władzę sowiecką. Aż wreszcie ta władza ich pożarła. I strawiła.

Najbardziej wstrząsający jest trzeci tom sagi, który dotyczy wielkiego terroru lat 30. Epoki, kiedy pod Dom Władzy zamiast limuzyn podjeżdżały karetki więzienne. Nocami bezkresne korytarze gmachu przemierzali NKWD-ziści. A przerażeni mieszkańcy stali w piżamach pod drzwiami swoich apartamentów i liczyli kroki… Czy tym razem przyjdą po mnie? Czy może jednak po sąsiada?

Slezkine ocenia, że w trakcie czystek represjom poddano 800 mieszkańców Domu Władzy, a 344 zostało zastrzelonych. Reszta trafiła do więzień i łagrów. Bolszewicy prześladowali również ich bliskich. Część z nich, umierając, wyrzekała się swojej wiary i przeklinała bolszewizm. Część jednak ginęła z imieniem Stalina na ustach. Pozostali wierni do końca. Własnego. ©℗

★★★★★★
YURI SLEZKINE
„DOM WŁADZY, T. 1–3"
PIW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powstanie czy ruchawka

W czerwcu 1651 r. zamek w Czorsztynie opanowała grupa zbuntowanych chłopów, na których czele stał niejaki Aleksander Kostka-Napierski. W czasach minionego ustroju chłopską ruchawkę o niewielkim zasięgu nazywano szumnie „powstaniem", co nie miało wiele wspólnego z rzeczywistością. Kostka-Napierski wykorzystał bowiem to, że ówczesny starosta wraz z podległą mu załogą wyruszył do walki z powstaniem Chmielnickiego i warownia została bez dozoru. Po zdobyciu zamku z jej murów zaczął rozsyłać manifesty do polskich włościan, nawołując ich do buntu przeciwko właścicielom ziemskim. Powoływał się przy tym na wolę króla Jana Kazimierza, który rzekomo miał być zwolennikiem uwolnienia chłopów z poddaństwa. Nie wiadomo, czy szczerze wierzył w siłę słowa pisanego (chłopi byli przecież analfabetami), buntu jednak nie mogli tolerować przedstawiciele władzy.

Niebawem pod murami zamku pojawiły się wojska starosty dobczyckiego i biskupa krakowskiego. Łącznie przeciwko rebeliantom wysłano ponad tysiąc ludzi uzbrojonych w kilka armat. Wprawdzie Kostka-Napierski miał obiecaną pomoc ze strony magnatów węgierskich, ale odsiecz się nie pojawiła, a jego chłopi nie zamierzali umierać razem z nim. Został wraz z dwoma współpracownikami wydany oblegającym i trzech buntowników przewieziono do Krakowa. W czasie tortur Kostka-Napierski wyznał, że był nieprawym synem poprzedniego władcy Polski, Władysława IV, co nie ocaliło go jednak przed śmiercią. Został stracony przez wbicie na pal, a jego podwładnych ścięto. Następnie ciała całej trójki powieszono na szubienicy.

Do dzisiaj nie wiadomo, kim Kostka był naprawdę, ustalono tylko, że przez pewien czas wypełniał misje na rzecz polskich władców. Prawdopodobnie z upływem czasu przeszedł na służbę wrogów Rzeczypospolitej i dlatego próbował wzniecić powstanie chłopskie. Po latach jego losy stały się kanwą kilku powieści historycznych, a w czasach Polski Ludowej zrobiono z niego bohatera walczącego z uciskiem społecznym. 25 stycznia 1956 r. odbyła się premiera filmu „Podhale w ogniu", w którym buntownik został przedstawiony jako obrońca chłopów przed samowolą szlachty, a przy okazji wierny sojusznik Chmielnickiego, co ukazano jako słuszne postępowanie! Film został zapomniany, ale pomimo wszelkich zmian ustrojowych Napierski do dzisiaj pozostaje patronem ulic w kilku miastach. Czyżby tamtejsi urzędnicy nie uważali na lekcjach historii i dlatego tolerują upamiętnienie ewidentnego zdrajcy Polski? A może są tak zajęci bieżącymi rozgrywkami, że nie zwracają uwagi na dawniejsze dzieje? ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

Polska była wyjątkiem

Z dr. Jackiem Młynarczykiem, współautorem książki „Waffen-SS”
rozmawia Piotr Włoczyk

Marsz ochotników Waffen-SS w Antwerpii, 1943 r. FOT. NAC

PIOTR WŁOCZYK: Ilu cudzoziemców służyło w czasie wojny w elitarnej armii Heinricha Himmlera – Waffen-SS?

DR JACEK MŁYNARCZYK: Waffen-SS rozrastała się dynamicznie i z początkowych 35 tys., które wkroczyły do Polski w 1939 r., w roku 1945 urosła do prawie 1 mln. W tej liczbie jedną czwartą stanowili ochotnicy cudzoziemscy praktycznie z całej Europy oraz dodatkowo ok. 40 proc. tzw. volksdeutschów, czyli obywateli okupowanych krajów, którzy mieli pochodzenie niemieckie.

Ilu spośród nich było Polakami?

Polaków do Waffen-SS nie rekrutowano. Mogli tam co prawda trafić pojedynczy Polacy, np. ze Śląska, ale to tylko przypuszczenia – nie ma bowiem danych, które pozwalałyby to zweryfikować. Generalnie Polacy nie są ujmowani w statystykach dotyczących poszczególnych nacji, których przedstawiciele walczyli w Waffen-SS. Również liczba volksdeutschów, którzy z terenów okupowanych ziem polskich zasilili oddziały Waffen-SS, jest z braku odpowiednich źródeł nieznana. Po odbyciu odpowiedniej weryfikacji nie byli oni jednak traktowani jako ludność polska, lecz niemiecka.

Jak to wyglądało u naszych sąsiadów?

Polska oraz Grecja były na tle reszty krajów okupowanych przez III Rzeszę wyjątkami – Niemcy rekrutowali żołnierzy do Waffen-SS spośród wszystkich innych nacji, które znalazły się pod ich panowaniem. W przypadku Polski było to nie do pomyślenia.

Dlaczego tak się stało, skoro Himmler nie miał większego problemu z werbowaniem wśród jeńców sowieckich, którzy w nazistowskiej hierarchii znaleźli się jeszcze niżej niż Polacy?

Niemcy z przyczyn ideologicznych wykluczyli możliwość angażowania polskich żołnierzy do walki. Z drugiej strony narastający niemiecki terror i zbrodnie popełniane w Polsce na bezprecedensową skalę siłą rzeczy odstręczały ewentualnych polskich ochotników od służby na rzecz III Rzeszy.

Hitler nie wyobrażał sobie, by można było zaufać Polakom, nawet tym wyselekcjonowanym. Führer nie mógł zapomnieć Polakom wielkiego zawodu, który spotkał go na przełomie 1938 i 1939 r. Bardzo liczył na to, że uda się Polskę przyciągnąć do paktu antykominternowskiego. Zresztą praktycznie w całej Europie uważano, że tak się właśnie stanie. Nieprzejednana postawa Polski spowodowała bardzo gwałtowną reakcję Hitlera. Postanowił się on odegrać na Polsce i rozwiązać raz na zawsze „problem polski".

Jego odpowiedzią była eksterminacja elit oraz ograniczenie przyrostu całej reszty populacji i zatrzymanie rozwoju cywilizacyjnego narodu. Polska, zwłaszcza w początkowym okresie, miała się stać rezerwuarem taniej i niewykształconej siły roboczej, pozbawionej jakiejkolwiek warstwy przywódczej. To zupełnie inna polityka niż ta prowadzona wobec naszych sąsiadów. W opracowanym w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy Generalnym Planie Wschodnim przewidywano, że tylko do 20 proc. Polaków miało pozostać na miejscu, jako robotnicy niewykwalifikowani, a reszta miała zostać deportowana na wschód lub zamordowana. W takich warunkach nie mogło być mowy o rekrutacji do Waffen-SS.

Jak patrzył na Polaków szef Waffen-SS?

Himmler czytał dużo na temat polskich powstań z XIX w. Uważał, że jeżeli tylko da się Polakom do ręki broń, to przy pierwszej nadarzającej się okazji zwrócą ją przeciw Niemcom. W jego odczuciu Niemcy nie mogły sobie pozwolić na takie ryzyko.

Nawiasem mówiąc, tak się właśnie stało m.in. z ukraińskimi jednostkami policyjnymi. Wiosną 1943 r. 5 tys. wyszkolonych i uzbrojonych przez Niemców Ukraińców zdezerterowało z szeregów „policji ochronnej" i przeszło do UPA. Ci ludzie mordowali następnie Polaków i resztki ludności żydowskiej.

Co sprawiało, że tak wielu przedstawicieli podbitej przez Niemców ludności zdecydowało się zasilić szeregi Waffen-SS?

Motywacja tych ludzi była bardzo różna. W przypadku największej grupy – jeńców sowieckich – chodziło najczęściej o przeżycie. Warunki w obozach były potworne. Planując operację Barbarossa, niemieckie dowództwo przewidywało wzięcie do niewoli olbrzymiej liczby jeńców, ale nie przewidywano dla tych ludzi zaopatrzenia...

W przypadku państw bałtyckich, Ukrainy i w mniejszym stopniu Białorusi chodziło głównie o wyzwolenie spod sowieckiego jarzma i chęć budowy własnej państwowości. Na tych terenach, zwłaszcza w pierwszych dniach po wkroczeniu jednostek Wehrmachtu, witano Niemców jako wyzwolicieli. Ich mieszkańcy mieli nadzieję, że Niemcy, w zamian za udział w krucjacie antybolszewickiej, darują im przynajmniej jakąś autonomię. To jednak nie pasowało do konceptu Niemców.

Z kolei na zachodzie i północy Europy nie brakowało faszystowskich ruchów, których członkowie odczuwali zbieżność ideową z nazizmem, głęboką niechęć do komunizmu, a wielu młodych ludzi z tamtych terenów chciało też po prostu przeżyć na wschodzie… przygodę życia.

JOCHEN BÖHLER, ROBERT GERWARTH, JACEK MŁYNARCZYK „WAFFEN-SS" ZNAK 2019

Czym tłumaczono zaciąganie Słowian do Waffen-SS? Przecież wydawałoby się, że z punktu widzenia nazistowskiej teorii rasowej np. Ukraińcy powinni być w tym kontekście zupełnie skreśleni.

To był dla Niemców spory problem i czołowi decydenci Rzeszy długo nie chcieli tego zaakceptować. Gdy jednak sytuacja na froncie pogarszała się, to nie mieli większego wyboru. Tłumaczyli to sobie w ciekawy sposób. Wedle narodowosocjalistycznej teorii rasowej ludzie, którzy byli „czystej krwi", mogli w „złym" środowisku stracić swoją wartość. Ale to miało też działać w drugą stronę: ludzie uważani za mniej wartościowych rasowo mogli w odpowiednich warunkach, obracając się w odpowiednio zniemczonym środowisku, nabrać „odpowiednich" cech w procesie swoistej „germanizacji", odbywającej się w okopach frontowych. Ogromny wpływ na proces „poprawiania jakości krwi" miało odgrywać ryzykowanie własnego życia w trakcie działań wojennych, zwłaszcza tych motywowanych ideologicznie, jak np. „krucjata antybolszewicka". Również długotrwałe oddziaływanie kultury germańskiej na ludność słowiańską mogło pozytywnie wpłynąć na jej stopień „zgermanizowania". To spowodowało, że z perspektywy niemieckiej 14. Dywizja Waffen-SS „Galizien" oficjalnie nie była uznawana za ukraińską, tylko za galicyjską.

W jakim sensie?

Ta jednostka była werbowana w Galicji, czyli na terenach, które w czasie zaborów pozostawały pod władzą austro-węgierską. W czasie drugiej wojny światowej

eprasa.pl 1425b3815a

Niemcy stwierdzili, że długotrwałe austriackie wpływy „przerobiły" tych ludzi z Ukraińców na „Galicyjczyków", o tak zaawansowanym stopniu „zgermanizowania", że umożliwiał on powoływanie najlepszych z nich pod kątem rasowym do specjalnie z myślą o nich formowanej jednostki Waffen-SS „Galizien". Jednak im bliżej było końca wojny, tym mniej się Niemcy trzymali sztywnych teorii rasowych. Potrzebni im byli żołnierze i każdy sposób na ich pozyskanie był dobry. Inna rzecz, że – jak już wspominałem – Himmler twierdził, iż hartowanie się na polu walki może do pewnego stopnia „aryzować" ludy niearyjskie.

Ile tak naprawdę cudzoziemcy z Waffen-SS dali III Rzeszy pod względem bojowym?

Bardzo dużo. Na froncie wschodnim pomagali spowalniać marsz Armii Czerwonej, znacznie odciążając Niemców. Czołowi decydenci III Rzeszy podchodzili do tego bardzo utylitarnie. Himmler powiedział wiosną 1943 r., że sytuacją optymalną jest, kiedy obcy żołnierz ginie zamiast niemieckiego. I tak się działo w wielu miejscach frontu.

Chociaż bywało też tak, że jednostki Waffen-SS miały problem z karnością, szczególnie gdy były mocno pomieszane pod względem etnicznym czy religijnym. Stało się tak w przypadku dywizji „Handschar", w której służyli bośniaccy muzułmanie. Kiedy dołączono do szeregów tej jednostki ok. 20 proc. chorwackich chrześcijan, dywizja straciła z powodu waśni wartość bojową i w zasadzie stała się niesterowalna.

W książce sporo miejsca poświęcił pan Policji Polskiej (PP), która nie miała wprawdzie nic wspólnego z Waffen-SS, ale nazywana jest jedyną polską formacją kolaboracyjną. Kolaboracja to jednak bardzo pojemny termin. Jak oceniać pod tym względem PP?

Ta formacja miała różne okresy. Jej początki to przymus zastosowany wobec przedwojennych policjantów polskich. W rozkazie formującym PP mowa była o represjach, które miały spotkać nie tylko policjanta, który odmówiłby służby w tej formacji, lecz także miałyby objąć jego rodzinę. Groziła za to deportacja do obozu. W wyniku zastraszenia ok. jednej trzeciej policjantów stawiło się na wezwanie Niemców.

W sensie szerokim kolaboracją jest każda forma współpracy z okupantem. Taka definicja zwiedzie nas jednak na manowce, ponieważ w takim razie praca w Radzie Głównej Opiekuńczej też była kolaboracją. Dlatego najważniejsze jest pytanie, czy współpraca szkodziła, czy pomagała rodakom.

Jest na to prosta odpowiedź w przypadku PP?

Obawiam się, że nie. To wszystko zależało od poszczególnych policjantów i każda próba generalizacji będzie krzywdząca. Ściganie przestępców kryminalnych przez funkcjonariuszy PP było niewątpliwie potrzebne, ale już zwalczanie czarnego rynku żywności było w warunkach okupacji niemieckiej wyjątkowo szkodliwe. Niektórzy policjanci przykładali się do wykonywania niemieckich rozkazów, a inni starali się nie szkodzić. Od 1941 r. Niemcy zaczęli sporadycznie wykorzystywać Policję Polską do asystowania przy egzekucjach albo wręcz do przeprowadzania egzekucji i rozkazywali im rozstrzeliwać na miejscu Żydów, którzy uciekali w czasie likwidacji gett. Policjanci podchodzili bardzo różnie do tych potwornych zadań. To zależało od człowieka.

Brakuje nam kompleksowych danych na ten temat, ale badania mikrohistoryczne pokazują, że takie mordy miały miejsce. Znamy jednak też przypadek z Warszawy, gdy pluton egzekucyjny złożony z polskich policjantów odmówił przeprowadzenia egzekucji więźniów i dwóch zbuntowanych funkcjonariuszy zostało przez Niemców dołączonych do więźniów i wraz z nimi rozstrzelanych za odmowę wykonania rozkazu. Ciężko tu wydać prosty werdykt. Nawet jeżeli policjant miał dobre intencje, to czasami dostawał od Niemców zadania, które wiązały się ze szkodzeniem rodakom, i niejednokrotnie musiał je wykonać.

Im dłużej trwała wojna, tym gorzej wyglądał bilans działalności PP?

Wynikało to z prostej przyczyny – w późniejszym okresie Niemcy zaczęli prowadzić do PP nabór ochotników, zaniżając wymagania. Do formacji tej weszło sporo podejrzanego elementu, który nie miał dobrych intencji. Nie brakowało kandydatów na policjantów, którzy chcieli się w czasie służby dorobić na nieszczęściu innych ludzi.

Inni policjanci współpracowali jednak z polskim podziemiem, m.in. dostarczając mu bezcennych informacji wywiadowczych.

Struktury podziemne były w obrębie Policji Polskiej bardzo silne. Przyjmuje się, że co drugi oficer i co szósty funkcjonariusz należał do podziemia. To olbrzymi odsetek. W zdecydowanej większości byli to jednak przedwojenni zawodowi policjanci.

W Niemczech mało kto otwarcie oddaje hołd weteranom Waffen-SS, ale już np. w państwach bałtyckich czy na Ukrainie stosunek części mieszkańców tych krajów do byłych żołnierzy tej formacji może być dla przeciętnego Polaka szokujący...

Wprawdzie niemiecki mainstream polityczny nie chce mieć z Waffen-SS nic wspólnego, ale w najbardziej skrajnym skrzydle AfD odzywają się jednak głosy, że Waffen-SS było podobne do Wehrmachtu i nie powinno się demonizować tej formacji... W latach 50. powstała w Niemczech Zachodnich Społeczność Wzajemnej Pomocy Byłych Żołnierzy Waffen-SS, która istniała do lat 90. Organizacja ta została utworzona, by wspomagać weteranów armii Himmlera, ale po drodze stała się czymś w rodzaju ogólnoeuropejskiej centrali żołnierzy Waffen-SS. W ramach działalności stowarzyszenie „przemalowywało" historię drugiej wojny światowej, robiąc z Waffen-SS niemal rycerską armię, broniącą Europy przed bolszewickim zagrożeniem. Inna rzecz, że niewielu niemieckim żołnierzom tej formacji spadł włos z głowy.

W Hiszpanii czy Finlandii nigdy nie wyciągnięto konsekwencji wobec ochotników do Waffen-SS. W ZSRS masowo ich wyłapywano i wsadzano do łagrów, ale po odzyskaniu wolności przez kraje bałtyckie i Ukrainę weterani Waffen-SS stali się ikonami walki z komunizmem. Dla nas może to być nie do przyjęcia, ale jednak część społeczeństw tych krajów nie chce słyszeć o zbrodniach Waffen-SS, zamiast tego chce pamiętać jedynie o walce ze Związkiem Sowieckim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Jacek Młynarczyk jest adiunktem w Katedrze Historii Nowożytnej i Krajów Niemieckich na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz starszym specjalistą w Dziale Naukowo-Badawczym Muzeum Getta Warszawskiego; specjalizuje się w historii drugiej wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem Holokaustu.

eprasa.pl 1425b3815a

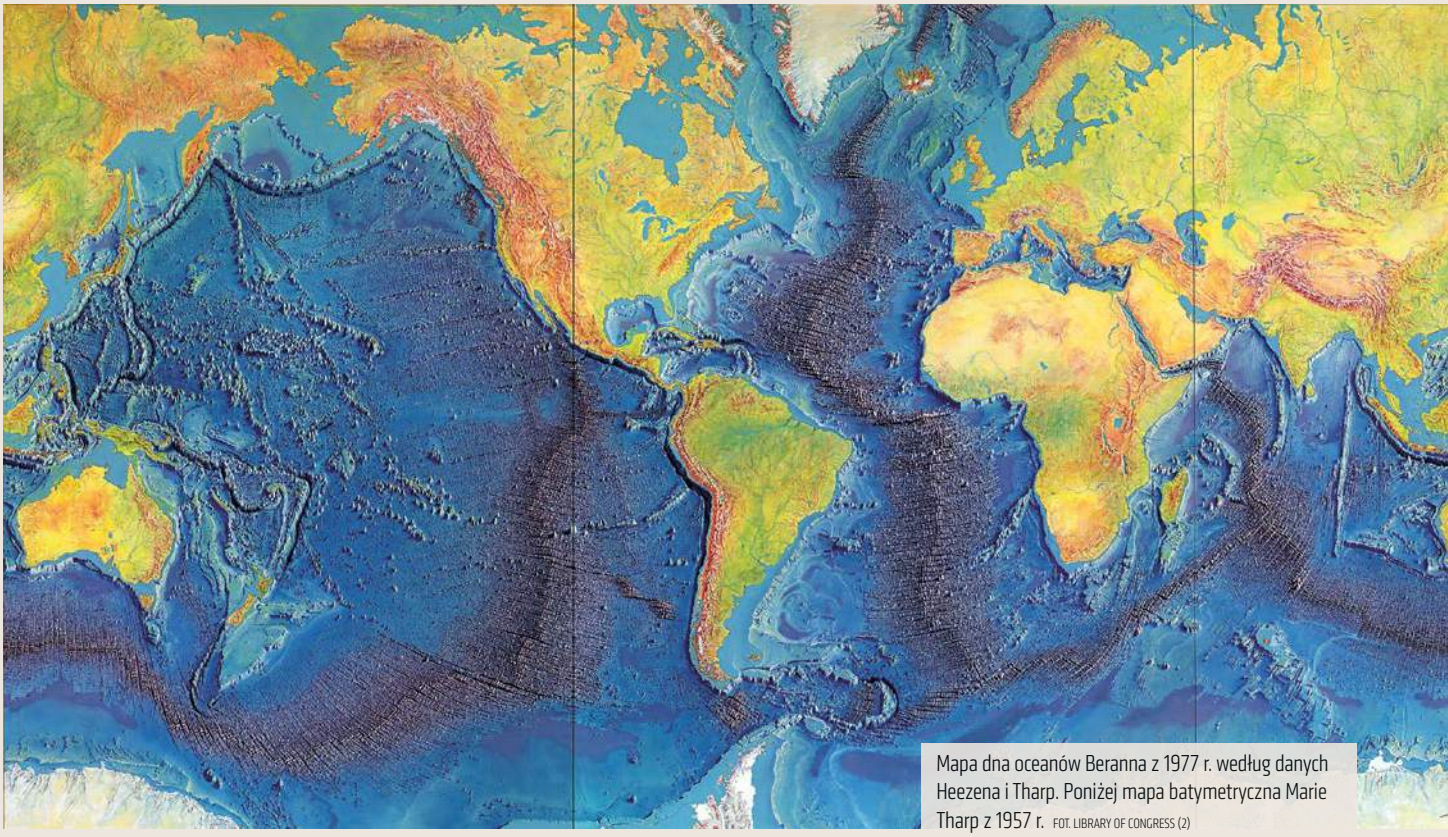

Mapa dna oceanów Beranna z 1977 r. według danych Heezena i Tharp. Poniżej mapa batymetryczna Marie Tharp z 1957 r. FOT. LIBRARY OF CONGRESS (2)

Mapa, która objaśniła świat

Adam Zubek

Pionierska praca Marie Tharp i Bruce'a Heezena otworzyła naukowcom wielu dziedzin drogę do poznania procesów rządzących powstaniem i rozwojem życia na Ziemi

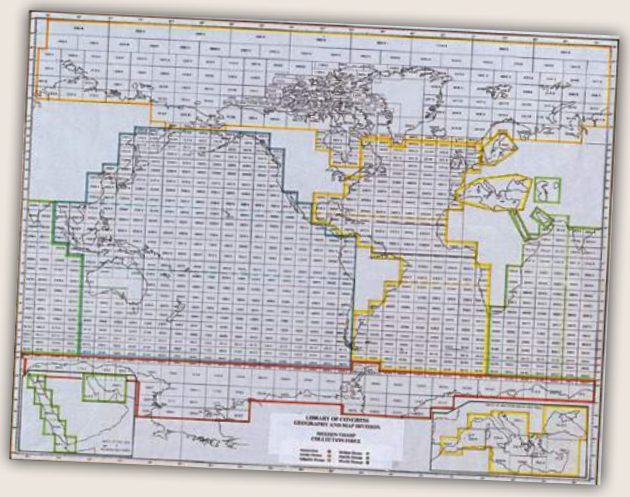

Było to 60 lat temu. Marie Tharp i Bruce Heezen „wypompowali" całą wodę z ziemskich oceanów i pokazali światu obraz planety bez wodnego płaszcza. Obraz zdumiewający, ale budzący grozę. Niezwykła mapa ukazała ukryte pod wodami, na dnie oceanów, szwy skorupy ziemskiej, które w sposób widoczny „puszczają", rozchodzą się. Czytelnicy „New York Timesa", który już dwa lata wcześniej ujawnił, czym się zajmują badacze z nowojorskiego Lamont Geological Observatory, wpadli prawie w panikę – Ziemia pęka, rozpada się na kawałki! Koniec świata? Teraz, w 1959 r., na Kongresie Oceanograficznym naukowcy pukali się w czoło i głośno podśmiewali z wniosków prezentowanych przez autorów niezwykłej mapy – Ziemi bez wody.

Mapa ukazująca Ziemię bez wody, a więc prezentująca ukształtowanie dna morskiego, zrewolucjonizowała nauki o Ziemi. I nie tylko. Okazuje się, że wynikające z niej wnioski rzucają nowe światło na problem narodzin życia, a także zaistnienia gatunku *homo sapiens*. Mało tego, okazało się, że mapa ma znaczenie nie tylko w skali ziemskiej, lecz także w skali kosmicznej. Dzisiaj astronomowie poszukujący w odległych galaktykach „drugiej Ziemi", natychmiast po odkryciu kandydatki do tego miana, zadają sobie pytanie, czy funkcjonuje na niej tektonika płyt, czy obecne są zjawiska przypominające ziemską „wędrówkę kontynentów". Albowiem to, o czym jeszcze sto lat temu nie mieliśmy pojęcia, a co pół wieku temu wzbudzało uśmiech politowania, okazało się kluczową cechą naszej planety – bez niej życie nie miałoby szans przetrwania, nie mówiąc już

eprasa.pl 1425b3815a

o ewolucji i powstaniu cywilizacji *homo sapiens*.

POŻYTKI ZE SPYCHOLOGII

Morza i oceany przez wieki uważano za bezkresne. Magellan, który podczas swojej podróży dookoła świata (1521) próbował badać głębokość Oceanu Spokojnego, doszedł do wniosku, że głębin morskich nie da się zmierzyć. Podróżnicy XIX-wieczni byli już oczywiście innego zdania. Brytyjski HMS „Challenger" wykonał 492 pomiary w ciągu kilkuletniego rejsu i odkrył m.in. największą głębię na Ziemi i góry na dnie Oceanu Atlantyckiego. Odkrycie podmorskich gór dostarczyło niektórym uczonym argumentów za istnieniem w przeszłości lądów, które łączyły istniejące kontynenty. Wkrótce wynaleziono nowe techniki pomiaru głębokości (sonary) i następca „Challengera" był już w stanie wykonać 900 pomiarów w ciągu jednego tygodnia, a w latach 20. ubiegłego wieku niemiecki „Meteor" przy użyciu sonaru zmierzył głębokość aż 67 388 miejsc na Atlantyku. Wiele pomiarów wykonano na potrzeby amerykańskiej marynarki w latach drugiej wojny światowej. A gdy po wojnie pewien amerykański naukowiec z nowojorskiego Lamont Geological Observatory, Bruce Heezen, podjął się na zlecenie Bell Labs znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego dochodzi do uszkodzeń podmorskich kabli telekomunikacyjnych łączących Amerykę Północną z Europą, wyniki pomiarów zaczęły się mnożyć w zastraszającym tempie. Naukowcy z instytutu Lamonta nie bardzo wiedzieli, jak się z nimi uporać. Znaną także za oceanem metodą spychologii przerzucili czarną robotę na biurko młodej koleżanki, Marie Tharp.

Marie pracowicie prostowała zwitki z zapisami z rejestratorów i skrupulatnie nanosiła wyniki pomiarów na mapę Atlantyku. Potwierdziło się, że pośrodku oceanu rozciągają się góry. Zaskoczeniem było to, że nie był to pojedynczy masyw górski, ale grzbiet, który ciągnie się mniej więcej środkiem Atlantyku na całej długości oceanu niezbyt szerokim pasmem od Arktyki do południowych krańców Afryki. Nie wiadomo, jak długo nasza wiedza ograniczałaby się tylko do tego stwierdzenia, gdyby nie dwa zbiegi okoliczności. Marie Tharp była utalentowaną rysowniczką. Niezależnie od konstruowania na podstawie pomiarów mapy batymetrycznej Atlantyku zaczęła szkicować ukształtowanie dna metodą graficzną. Pojawił się obraz jakby trójwymiarowy. I wtedy objawiła się niezwykła cecha tego podmorskiego górotworu. Środkiem grzbietu, na całej jego długości, ciągnie się głęboka rozpadlina, coś na kształt rozdartego szwu. Marie obraz ten skojarzył się z dawną, sprzed pół wieku, ośmieszoną i powszechnie odrzuconą hipotezą Alfreda Wegenera, mówiącą, jakoby kontynenty mogły się rozpadać i przemieszczać. Kolosalne pęknięcie w dnie oceanu wyraźnie wskazywało na istnienie takich sił.

Marie Tharp i Bruce Heezen

FOT. LAMONT -DOHERTY EARTH OBSERVATORY

Zdarzyło się też, podobno przypadkowo, że ktoś na tę mapę, leżącą na stole podświetleniowym, stosowanym na co dzień w kartografii, położył świeżo sporządzaną mapę rozmieszczenia podmorskich ognisk trzęsień ziemi. Zbieżność była porażająca – strefa podmorskich trzęsień była dokładnym odwzorowaniem kształtu grzbietu śródatlantyckiego. Stało się jasne, że grzbiety ze swoją centralną rozpadliną, nazwaną ryftem, nie są takim sobie rysem krajobrazowym dna morskiego, lecz mają ścisły związek z procesami dynamicznymi zachodzącymi w głębi Ziemi.

Pierwsze naukowe doniesienie, jakie ośmielili się w 1957 r. sformułować Heezen i Tharp wspólnie z szefem instytutu, Maurice'em Ewingiem, było bardzo ostrożne. A jednak temat podchwycili publicyści „New York Timesa", ogłaszając, że Ziemia pęka, że może się rozpaść na kawałki. Redakcja została zasypana listami przerażonych czytelników. Geolodzy uspokajali, mówiąc, że to kwestia milionów lat. A jednak myśl o wędrówce kontynentów ciągle była nie do przyjęcia. Wymyślono koncepcję (jej orędownikiem był Bruce Heezen, partner Marie Tharp) rozszerzającej się (ekspandującej) Ziemi. W zasadzie można było na jej podstawie wyjaśnić istnienie grzbietów śródoceanicznych, owych rozchodzących się szwów, a także to frapujące dopasowanie kształtów kontynentów po obu stronach Atlantyku. Tylko nie sposób było znaleźć na nią dowodów. Dostarczyła ich era pomiarów satelitarnych, dzięki którym zaprzeczono takiej możliwości. W każdym razie oficjalna prezentacja mapy i sugerowanych wniosków na forum naukowym, którym był I Kongres Oceanograficzny w 1959 r., wywołała niedowierzanie i sprzeciw większości zebranych. Podawano w wątpliwość istnienie owej centralnej głębokiej rozpadliny. A tymczasem zjawił się na kongresie słynny Jacques-Yves Cousteau, francuski badacz mórz, znany z podmorskich fotografii. Wybrał się na kongres z Europy do USA swoją słynną łodzią podwodną „Calypso", filmując po drodze dno morskie. Zaprezentowany na kongresie film unaocznił wszystkim obecność nie tylko grzbietu górskiego, lecz także doliny ryftowej.

Wkrótce okazało się, że grzbiety te są czymś w rodzaju linearnego wulkanu – z centralnej rozpadliny wydobywają się nieustannie lawy bazaltowe i nieustannie rozsuwają się na boki, robiąc miejsce nowym wylewom. I że biegną przez wszystkie oceany, opasując całą kulę ziemską. Odkryto miejsce, gdzie rodzi się skorupa ziemska.

ELEGANCKA SYNTEZA

Pierwszy z hipotezą tłumaczącą sens tych odkryć wystartował w 1960 r. Bruce Heezen z Obserwatorium Geologicznego

eprasa.pl 1425b3815a

Lamonta. Był to raczej falstart. Heezen uznał, że doliny ryftowe, te gigantyczne pęknięcia w skorupie ziemskiej, świadczą o tym, że Ziemia „pęka w szwach", a przyczyną jest stały, powolny wzrost średnicy Ziemi. W tym ujęciu wędrówka kontynentów, rzeczywiście oddalających się od siebie, odbywałaby się raczej w pionie.

Dwa lata później dwaj uczeni, Robert Dietz i Harry H. Hess, niemal jednocześnie wystąpili z hipotezą ekspansji dna oceanicznego. Zgodnie z nią nie trzeba było się odwoływać do „puchnięcia" całej planety. Owszem, nowe skały skorupy ziemskiej nieustannie rodzą się w strefach ryftowych, ale jest też miejsce, gdzie „umierają", wciągane są z powrotem w głąb płaszcza ziemskiego. Tym miejscem są rowy oceaniczne. Dno oceaniczne stale się odmładza (potwierdza to wiek pobieranych próbek) i jednocześnie pełni funkcję przenośnika taśmowego, przenoszącego kontynenty. Nowa koncepcja rzeczywiście elegancko łączyła w jedną całość takie kwestie jak: obecność prądów konwekcyjnych we wnętrzu planety, powstanie i wędrówka kontynentów, rozmieszczenie stref wulkanicznych i sejsmicznych, powstawanie gór, występowanie pewnych charakterystycznych skał i minerałów. Wkrótce nowych dowodów dostarczyły badania nad magnetyzmem ziemskim. Ostatecznie, w drugiej połowie lat 60. nowa tektonika globalna przyjęła swoją dojrzałą postać. Kanadyjski geolog John Tuzo Wilson wprowadził pojęcie płyt litosfery, a społeczność geologów nazwała nową koncepcję teorią tektoniki płyt i w tej postaci trafiła ona do podręczników szkolnych.

Zyskaliśmy głównie wiedzę podręcznikową – nauka znalazła liczne odpowiedzi na swoje ulubione pytania „jak" i „dlaczego", ale jak na razie pożytków praktycznych z tego nie ma wiele. Owszem, sejsmolodzy dzięki nowej teorii potrafią precyzyjniej określić strefy zagrożone trzęsieniami ziemi, także dokładniej ocenić ich spodziewaną siłę, ale nie przybliżyła nas ta teoria do wymarzonego celu, jakim jest dokładna prognoza wystąpienia wstrząsów. Podobnie jest z wulkanami. Zjawiska te rządzą się swoimi prawami i precyzyjne przewidywanie zagrożeń jest ciągle poza zasięgiem naszych możliwości.

Większe możliwości otwiera teoria tektoniki płyt przed geologią poszukiwawczą. Granice płyt litosfery, zarówno te, w których rodzi się skorupa ziemska, jak i te, gdzie umiera, to miejsca tworzenia się złóż surowców kluczowych dla rozwoju cywilizacji – żelaza, miedzi, srebra, złota i innych metali. Występują one obficie w młodych górach, na przykład na wschodzie Ameryki Południowej. A znajomość dawnej konfiguracji kontynentów i przebiegu zamarłych ryftów pozwala odkrywać nowe złoża, tak jak to się działo w Europie, gdzie złoża miedzi i rud żelaza stały się, obok węgla, fundamentem rewolucji przemysłowej. Ruchy tektoniczne, wulkanizm, procesy górotwórcze i związane z tymi procesami okresowe zlodowacenia nieustannie odmładzają skorupę ziemską, wzbogacając ją także w składniki odżywcze i mikroelementy. To właśnie osady polodowcowe (gliny zwałowe, lessy), zwietrzelina młodych gór, namuliska rzeczne i – w szczególności – gleby wulkaniczne są dziś rolniczymi spichlerzami naszej planety. Nie jest to najlepsza wiadomość dla wszystkich entuzjastów CETI i SETI – poszukiwaczy cywilizacji pozaziemskich. Zbieg okoliczności, który wyposażył Ziemię w fenomen tektoniki płyt, może być bardzo rzadki albo wręcz wyjątkowy we Wszechświecie.

Wyobraźmy sobie skalistą planetę „ziemiopodobną", nawet znajdującą się w „strefie nadającej się do zamieszkania", nawet z obfitością wody, nawet z atmosferą, nawet z życiem, ale pozbawioną tektoniki płyt, a więc z jednolitą, sztywną pokrywą skalną – nie mogłaby ona stać się siedliskiem życia inteligentnego, miejscem rozwoju cywilizacji. Dostępne środki odżywcze, wszelkiego rodzaju surowce uległyby szybkiemu wyczerpaniu i planeta zamieniłaby się w martwą pustynię. Życie mogłoby wegetować bez szans na ewolucję.

DWIE KOLEBKI

Są jeszcze gorsze wiadomości, nie tylko dla poszukiwaczy obcych cywilizacji, lecz także dla egzobiologów – poszukiwaczy życia pozaziemskiego. Wiele wskazuje na to, że tektonika płyt, a zwłaszcza strefy ryftowe mogły stać się kolebką ziemskiego życia. Mało tego, również pojawienie się *homo sapiens* ma jakiś tajemniczy związek z ryftem – pewnym konkretnym ryftem w jego wersji lądowej.

W latach 80. ubiegłego wieku badacze głębin morskich z kalifornijskiego Instytutu Oceanograficznego Scrippsów odkryli na dnie Pacyfiku czarne, sterczące pionowo na wysokość do 40 m struktury, które zyskały miano kominów, bo wydobywała się z nich chmura czarnej substancji. Potraktowano to jako geologiczną ciekawostkę. Coś w rodzaju podmorskich gejzerów. Rzeczywiście tryskają z nich gorące (nawet do ponad 400 st. C) roztwory siarki i związków metali. Wkrótce odkryto ich zdumiewającą cechę – kominy wręcz kipią życiem. W tych ekstremalnie trudnych warunkach, bez dostępu światła słonecznego doskonale radzą sobie niezliczone gatunki bakterii. Produkowane przez nie związki organiczne przyciągają liczne inne organizmy (małże, ślimaki, rurkoczułkowce itp.), a te kolejne. W kominach odkryto ponad 400 nowych gatunków. Uwzględniając fakt obfitej obecności metanu i amoniaku w rejonie kominów, naukowcy sformułowali hipotezę zdobywającą sobie coraz więcej zwolenników, że życie mogło się narodzić właśnie w kominach hydrotermalnych.

Jest jeszcze jeden fenomen związany z tektoniką płyt. Tym fenomenem jest ryft, który w przeciwieństwie do reszty globalnego systemu ryftów przebiega na lądzie. To Wielkie Rowy Afrykańskie, miejsce, gdzie mniej więcej od 8 mln lat następuje rozrywanie kontynentu Afryki. Strefa ta ciągnie się dość szerokim pasem od Malawi na południu przez Kenię, Tanzanię aż do trójkąta Afaru w Etiopii. Z tym miejscem współczesna nauka wiąże narodziny wszystkich ludzkich gatunków, jakie kiedykolwiek stąpały po Ziemi. Stąd pochodzą wszystkie znaleziska hominidów – naszych przodków, starsze niż 2 mln lat. Tak opisuje to brytyjski genetyk, Stephen Oppenheimer: „Rozległe i izolowane naturalne laboratorium uformowało ludzi w nieskończonych następujących po sobie cyklach pustynnienia i rozwoju roślinności. Warunki takie stwarzał unikatowy patchwork sawanny i lasów subsaharyjskiej Afryki, skutecznie odseparowanej od reszty świata dwoma układami środowiskowych bram i korytarzy. Gdy jeden zestaw bram się otwierał, inny zwykle pozostawał zamknięty. Jedna brama prowadziła na północ przez Saharę do Lewantu i Europy, druga zaś na wschód przez wejście na Morze Czerwone do Jemenu, Omanu i Indii. Otwieranie tych bram zależało od cyklów lodowcowych".

A polski geolog, dr Marcin Ryszkiewicz z Muzeum Ziemi, pisze w swojej książce o meandrach ewolucji człowieka: „Powstanie życia i powstanie człowieka to dwa kluczowe momenty, które całkowicie odmieniły historię naszej planety i sprawiły, że jest ona wyjątkowa na pewno w naszym Układzie Słonecznym, a może i w całym Wszechświecie. I oba te wydarzenia związały się z ryftami. Przypadek?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

Mord, który obudził kraj

Jacek Przybylski

Niemal dwa lata po zabiciu Jána Kuciaka i jego narzeczonej były żołnierz Miroslav Marczek przyznał się do zbrodni. Przed sądem stanął zarówno cyngiel, jak i podejrzany o zlecenie morderstwa, które wywróciło do góry nogami słowacką scenę polityczną i nie tylko

Veľká Mača. Niewielka wieś na Słowacji, 57 km od Bratysławy, znów jest na ustach całego świata. To tam wraz z narzeczoną mieszkał bowiem 27-letni dziennikarz śledczy Ján Kuciak. Nieśmiały, skrupulatny reporter pisał o powiązanych z rządem biznesmenach wyłudzających zwrot podatku VAT, praniu brudnych pieniędzy, o głośnej aferze Panama Papers i bogaczach ukrywających majątki w rajach podatkowych, a także o przyjaźniach znanych polityków z przedsiębiorcami prowadzącymi szemrane interesy. Był szanowany, ale powszechnie nieznany. Nie był też gwiazdą telewizji.

Na przełomie 2017 i 2018 r. prowadził kolejne dziennikarskie śledztwo. Tym razem na jego celowniku znalazł się sam premier Robert Fico i jego powiązania z włoską mafią. Zdążył zgromadzić wiele informacji dotyczących powiązań nowej, seksownej asystentki premiera Fico Marii Troskovej – byłej uczestniczki konkursu Miss Universe i modelki topless – z mieszkającym na Słowacji 42-letnim Włochem Antonino Vadalą, który był przedstawicielem 'Ndranghety, jednej z najpotężniejszych i najgroźniejszych organizacji przestępczych na świecie, wyspecjalizowanej w handlu narkotykami, przemycie ludzi czy nielegalnej sprzedaży broni. Rodzina Włocha związanego z asystentką premiera Słowacji znana była włoskim prokuratorom m.in. z powiązań z kolumbijskimi kartelami i z likwidacji co najmniej 25 osób. Z Antonino Vadalą powiązany miał być również Viliam Jasań, którego Fico uczynił dyrektorem kancelarii premiera i przyznał tym samym dostęp do tajnych dokumentów.

Jak ustalił Kuciak, mafia we współpracy z socjaldemokratycznymi słowackimi politykami miała wyłudzać ogromne dopłaty z Unii Europejskiej. Aby skorumpowanym urzędnikom oraz mafiosom nikt nie przeszkadzał wyłudzać milionów euro z unijnej kasy, nad całym procederem miał być rozciągnięty parasol słowackiej prokuratury.

Tego tekstu Ján Kuciak nigdy jednak nie dokończył. 21 lutego 2018 r. do domu młodego, odważnego reportera i jego 27-letniej narzeczonej Martiny Kušnírovej – archeolożki – wtargnął płatny morderca. Z pistoletu kalibru 9 mm, wyposażonego w tłumik własnej roboty, dwukrotnie strzelił dziennikarzowi w klatkę piersiową. Jego ukochaną zlikwidował jednym strzałem w głowę. Policjanci ciało Kuciaka znaleźli w kotłowni, jego narzeczonej w kuchni. W maju mieli wziąć ślub. Do

eprasa.pl 1425b3815a

Morderstwo Kuciaka i jego narzeczonej wywołało na Słowacji falę protestów

FOT. DAVID W CERNY/REUTERS/FORUM

grobu złożono ich więc w strojach ślubnych. Na biurku w redakcji obok kubka z niedopitą kawą dziennikarz zostawił książkę o mafii kalabryjskiej oraz mapę powiązań mafiosów z konkretnymi ludźmi z otoczenia premiera Fico.

ISKRA GNIEWU

Od początku było jasne, że zbrodni dokonał zawodowiec. Nikt nie widział podejrzanych typów. Nikt nie słyszał strzałów. Niczego podejrzanego nie zarejestrowały kamery gminnego monitoringu. A jednak mord stał się iskrą, która rozpaliła serca Słowaków i wywołała kilka wielkich fal protestów, jakich Słowacja nie widziała od 1989 r. W kraju, w którym media co kilka tygodni ujawniały większą lub mniejszą aferę korupcyjną, większość mieszkańców od dawna była na tyle przekonana, że żyje w skorumpowanym kraju, iż kolejne newsy na ten temat nie robiły już na nich większego wrażenia. W lutym 2018 r. w badaniu opinii zleconym przez Komisję Europejską aż 85 proc. Słowaków stwierdziło, że korupcja w ich kraju jest powszechna. Łapówkarstwo dotyczyło wówczas niemal każdej sfery życia: od edukacji poprzez ochronę zdrowia, policję, wojsko, opiekę społeczną po ochronę środowiska. Zabójstwo dziennikarza otworzyło jednak oczy Słowakom i pokazało im, jak katastrofalna stała się sytuacja w ich kraju. To sprowokowało tysiące ludzi do wyjścia na ulice.

Zdjęcia dziennikarza i jego młodej narzeczonej wisiały w witrynach sklepów i w oknach prywatnych domów. W Bratysławie, ale i w mniejszych miastach ludzie przypinali sobie do ubrań znaczki z napisem „#ALL FOR JAN" („Wszyscy za Jana"). Po zamordowaniu dziennikarza o niewielkim, nieco ponadpięciomilionowym kraju usłyszała jednak nie tylko cała Europa, lecz także reszta świata. Kuciak był bowiem jednym z trojga dziennikarzy zabitych na terenie Unii Europejskiej od października 2017 r. do października 2018 (wraz z Daphne Caruaną Galizią na Malcie i Wiktorią Marinową w Bułgarii).

Wielotysięczne antyrządowe protesty – wybuchające nie tylko w Bratysławie, lecz także w wielu mniejszych miastach – wywróciły do góry nogami całą scenę polityczną. Prowadzący wcześniej zajadłą wojnę z dziennikarzami i wyzywający reporterów od brudnych prostytutek premier Robert Fico, szybko po ujawnieniu zbrodni, wystąpił na konferencji prasowej, pokazując do kamer milion euro w gotówce – nagrodę, którą jego rząd ustanowił za informacje prowadzące do schwytania morderców Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej. To nie był udany pomysł na ratowanie wizerunku. Jako że przekazywanie takiej gotówki komukolwiek za cokolwiek jest na Słowacji nielegalne, szef rządu potwierdził tylko w oczach obywateli reputację człowieka, któremu bliżej do mafiosa niż polityka, któremu można by zaufać.

Gniewu ulicy nie uciszyły też pierwsze aresztowania. Do dymisji podał się więc potężny niegdyś szef słowackiego MSW Robert Kaliňák – jeden z bohaterów materiałów śledczych Kuciaka. Słowacy wciąż nie dawali się uciszyć. Mieli dość tego, że ich kraj po upadku komunizmu tak naprawdę bardzo się nie zmienił. Mentalność pozostała ta sama: potomkowie komunistów po cichu zawierali nielegalne umowy między rządzącymi politykami a współczesnymi oligarchami. W wyniku protestów wzywających do niezależnego śledztwa oraz ukrócenia wszechobecnej korupcji poza szefem MSW odszedł też minister sprawiedliwości, a nawet minister kultury, który nie mógł znieść tego, że dziennikarza zamordowano akurat w czasach, gdy to on piastował stanowisko szefa tego resortu. 15 marca 2018 r., zaledwie trzy tygodnie po zabójstwie, do dymisji podał się też sam Fico.

Demonstranci obawiali się wówczas, że to tylko symboliczna zmiana, a były premier i tak z tylnego siedzenia będzie rządził krajem. Znów wyszli więc na ulice, domagając się nowych wyborów i skutecznego śledztwa w sprawie zabójstwa dziennikarza. Słowacy protestowali też poza granicami: od Wiednia po Vancouver.

Jednocześnie w dokończenie misji zamordowanego kolegi zaangażowało się też wielu słowackich reporterów. Przez media przetoczyła się wręcz lawina materiałów ukazujących korupcję rządzących i opatrywanych hashtagiem #ALLFORJAN. Gniew ulicy spowodował trzęsienie ziemi nie tylko na słowackiej scenie politycznej, lecz także wymusił poważne zmiany w policji (m.in. rezygnację szefa tej formacji Tibora Gašpara) i organach prokuratorskich. Lokalne media co i rusz ujawniały bowiem ciemne powiązania prokuratorów i policjantów z szemranymi biznesmenami. A toczący się obecnie proces w sprawie zabójstwa dziennikarza relacjonuje ponad 100 przedstawicieli mediów.

Rządząca koalicja zdołała wprawdzie utrzymać się przy władzy, ale w marcu 2019 r. na nowego prezydenta Słowacy wybrali niedoświadczoną w polityce 45-letnią prawniczkę Zuzanę Čaputovą, która większość wyborców ujęła swym zdecydowanym programem antykorupcyjnym.

Przed pierwszymi od zabójstwa Kuciaka wyborami parlamentarnymi – które odbędą się w marcu – wszystkie główne partie opozycyjne zapowiadają więc, że stanowcza walka z korupcją będzie ich priorytetem.

Sam Robert Fico sporo stracił, ale jako wyjątkowo twardy zawodnik i populista nadal jest uznawany za wpływowego polityka. I to mimo że media ujawniły, że były premier mieszkał w luksusowym apartamencie w budynku, którego właścicielem jest Ladislav Bašternák (skazany w 2019 r. na przepadek majątku i pięć lat więzienia za oszustwa podatkowe), a do września 2017 r. jego sąsiadem był wpływowy biznesmen Marian Koczner. W grudniu 2019 r. organy ścigania postawiły Fico zarzut wychwalania czynów

eprasa.pl 1425b3815a

Miroslav Marczek przyznał się do dokonania egzekucji dziennikarza i jego narzeczonej FOT. GABRIEL KUCHTA/GETTY IMAGES

karalnych, za co może mu grozić pięć lat więzienia.

Dzięki intensywnym działaniom śledczych istotnie poprawiło się zaufanie obywateli do policji i do polityków. Wiosną 2018 r. organom ścigania ufało jedynie 38 proc. Słowaków, a rządzącym 21 proc. Jesienią 2019 r. – po aresztowaniach kluczowych postaci w śledztwie w sprawie Kuciaka – policji ufało już 45 proc. pytanych, a rządowi 32 proc.

Kraj nadal należy do grona państw mocno przeżartych korupcją, która podkopuje zasady państwa prawa. W dorocznym rankingu Transparency International w 2018 r. znalazł się dopiero na 57. miejscu na 180 badanych państw (dla porównania Polska zajmuje 36. pozycję, a Czechy 38.).

SĄD NAD MAFIJNYM PAŃSTWEM

Tak radykalne zmiany, które wywołała niespodziewana reakcja Słowaków na polityczny mord, zapewne zaskoczyły samego zleceniodawcę zabójstwa. Według prokuratury pieniądze na egzekucję niewygodnego dziennikarza dał przedsiębiorca Marian Koczner, bohater wielu śledztw dziennikarskich Kuciaka. Według zeznań matki zamordowanej narzeczonej dziennikarza Kuciak mówił jej o pogróżkach ze strony Kocznera wobec niego samego oraz jego rodziny. Groźby zgłaszał nawet na policję, ale bez efektu.

Koczner to jeden z czworga podejrzanych, którzy w zeszłym tygodniu w sądzie w Pezinoku pod Bratysławą zasiedli na ławie oskarżonych. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", do winy przyznał się pierwszy z oskarżonych: 37-letni były żołnierz Miroslav Marczek, który wykonał wyrok na dziennikarzu.

Zabójstwo miało być zemstą za artykuły dotyczące śmierdzących interesów Kocznera. Biznesmen, który miał mieć haki na dużą część politycznej elity, w tym prezydenta Ivana Gašparovicia, prokuratora generalnego oraz wielu członków rządu, utrzymuje jednak, że jest niewinny. Na Kocznera już w 2018 r. wskazywał jednak syn zamordowanej maltańskiej dziennikarki Daphne Caruany Galizii.

Według śledczych pieniądze na zabójstwo miała wręczyć kryminalistom Alena Zsuzsová – kochanka oskarżonego przedsiębiorcy, a także bliska znajoma wielu wysokich rangą polityków i urzędników, której intymne kontakty z ludźmi ze świecznika miały Kocznerowi służyć do szantażowania nieroztropnych „mężów" stanu.

To ona informację o zleceniu na dziennikarza miała przekazać Zoltanowi Andrusko. Sam Andrusko, który wcześniej zdecydował się na współpracę z policją oraz prokuraturą i od grudnia 2019 r. odsiaduje prawomocny wyrok 15 lat więzienia, 14 stycznia zeznawał jako świadek. Powtórzył, że był pośrednikiem między Zsuzsovą a wynajętym do wykonania egzekucji byłym policjantem Tomaszem Szabo. Zlecenie miał otrzymać na przełomie 2017 i 2018 r. Kochanka szemranego biznesmena miała podkreślić w rozmowie z Andrusko, że „ma to być zrobione tak, aby Kuciak zniknął i aby go nie znaleźli".

Według prokuratorów Szabo zaangażował do pomocy w realizacji zlecenia byłego wojskowego Miroslava Marczka. Razem pojechali pod dom dziennikarza. Razem zaplanowali zbrodnię i razem jej dokonali, a po zabójstwie pojechali na spotkanie z Andruską. – Załatwione – tak powiedzieli zleceniodawcy, który za pośrednictwem Zsuzsovej miał dostać od Kocznera 50 tys. euro.

Zarówno Zsuzsova, jak i Szabo twierdzą, że są niewinni. Koczner nie przyznaje się do zlecenia zabójstwa, przyznał się za to do posiadania nielegalnej amunicji znalezionej w jego domu przez policję. Podczas zeznań Andruski starał się podważyć jego wiarygodność, dopytując m.in., skąd czerpie informacje na jego temat. Andrusko odpowiedział, że o Kocznerze i o jego powiązaniach ze światem wielkiej słowackiej polityki mówiła mu sama Zsuzsova. – Wszyscy na Słowacji wiedzą, kim jest Koczner – podkreślił przed sądem, dodając, że sama kochanka biznesmena miała mu również zdradzić, że w 2010 r. zleciła zabójstwo byłego burmistrza miasteczka Hurbanovo László Basternaka (jego morderca Štefan K. został skazany na 25 lat więzienia).

W środę zeznawał z kolei Peter Toth, były dziennikarz i były szef słowackiego wywiadu, którego Marian Koczner miał wynajmować do śledzenia niewygodnych reporterów i zbierania na nich haków, w tym do inwigilacji Kuciaka.

Głośny proces nie zakończy się szybko, ale Słowakom już sam fakt, że na ławie oskarżonych zasiadł nie tylko morderca, lecz także prawdopodobny zleceniodawca mordu, daje wiele nadziei. – Sędzia mnie powstrzymała, a ja chciałam jeszcze powiedzieć, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Nie musi przyjść już następnego dnia z pałką. Poczeka – podkreśliła matka zamordowanej narzeczonej dziennikarza Zlatica Kušnírová.

Zmiany, do których już doszło po zabójstwie młodego reportera, pokazały ludziom, jaką siłę mają społeczne protesty. Zjednoczyły środowisko dziennikarskie, a także dały Słowakom nadzieję na chociaż odrobinę sprawiedliwości. Ponieważ jednak budowa „mafijnego państwa" – jak własny kraj określa wielu protestujących – trwała kilkanaście lat, to na jego odbudowę i przywrócenie rządów prawa będzie potrzeba zarówno czasu, jak i konsekwencji ze strony lokalnych dziennikarzy oraz setek tysięcy Słowaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. TWITTER

NIEMCY UCIESZENI HITLEREM

W Niemczech nie wolno używać nazistowskich symboli, zbrodniarza oficjalnie się potępia, no... chyba że jest to festyn w Saksonii. Gdy na festiwalu motocyklowym w Augustusburgu jeden z motocyklistów obwoził kolegę przebranego za Hitlera, nie wzbudzało to oburzenia, tylko powszechną wesołość – co można zobaczyć na wielu filmikach wrzuconych do sieci. Niemcy do tego stopnia uznawali to za „fajne", że nawet policjant w radiowozie z uśmiechem fotografował przebierańca, zamiast go zatrzymać.

PODWODNE F-16

W Izraelu padało. Pech chciał, że akurat nad wojskową bazą lotniczą Chacor. W krótkim czasie spadło tam 50 mln litrów wody z nieba. A wojskowi uznali, że nie wszystkie trzymane w podziemnych hangarach F-16 trzeba wyprowadzić. No i osiem maszyn – a mówimy o sprzęcie kosztującym setki milionów dolarów – zostało uszkodzonych. Trzy myśliwce zostały poważnie zniszczone, pozostałych pięć jest uszkodzonych lekko. Izraelskie wojsko przyznaje, że „to był błąd", i „zbada ten incydent" oraz „wyciągnie wnioski".

ROZWÓD NA MIECZE

Mężczyzna w stanie Kansas w USA złożył nietypowy wniosek do sądu we własnej sprawie rozwodowej. Czterdziestolatek od długiego czasu toczy prawny spór z 38-letnią byłą żoną. Chodzi o pieniądze oraz prawo do opieki nad dziećmi. Mężczyzna twierdzi, że jest już zmęczony i sfrustrowany „niszczeniem go w sądzie". Poprosił więc sędziego o pozwolenie na rozstrzygnięcie sporu z żoną przez pojedynek na miecze samurajskie. We wniosku dowodzi, że Sąd Najwyższy w Nowym Jorku w 2016 r. w innej sprawie przyznał, iż w USA pojedynki nie zostały zniesione. Sfrustrowany mąż poprosił jedynie o 12 tygodni na zorganizowanie walki – głównie chodzi o sprowadzenie oryginalnych mieczy samurajskich.

MIESZKANIE MUSI BYĆ CHIŃSKIE

Chińczycy, których postępem zachwyca się cały świat (no, może ostatnio USA już się tak nie zachwycają) i cały świat marzy o sprzedawaniu towarów na ich rynek, od lat prowadzą „reedukację" muzułmańskiej mniejszości Ujgurów. Obecnie zmuszają ich do zmiany wystrojów mieszkań. W Chinach można sobie być Ujgurem, pod warunkiem że np. w domu nie ma żadnych tradycyjnych ozdób – chodzi m.in. o dywany i poduszki. Mają za to stać biurka i inne meble.

KOSMICZNY ODLOT

Niejaki Yūsaku Maezawa, założyciel krawieckiego portalu Zozotown, ma majątek szacowany na 3,6 mld dol. Czuje się jednak samotny. Dlatego wykupił już w firmie Elona Muska pasażerski lot wokół Księżyca i oprócz wybranych artystów zarezerwował też miejsce dla przyszłej kobiety swojego życia. Artystów jeszcze nie wybrał, a kobiety nawet nie znalazł. Dlatego ogłosił na Twitterze, że mogą się do niego zgłaszać chętne do małżeństwa panie. Zgłoszenia można było wysyłać do 17 stycznia. Wymagania były skromne: wiek do 20 lat, „pozytywna" osobowość i zainteresowanie podróżami kosmicznymi. Decyzję o wyborze partnerki miliarder obiecuje podjąć do końca marca.

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

ŁUKASZ WARZECHA

Gajowy pilnie potrzebny

Serial z Tomaszem Grodzkim w roli głównej pokazuje, do jakiego stopnia dysfunkcjonalna stała się polska polityka.

CBA publicznie zachęca do podzielenia się swoimi korupcyjnymi doświadczeniami z udziałem marszałka Senatu, choć nie robi tego za każdym razem, gdy pojawia się ktoś podejrzany o korupcję. A przecież chyba wszystkich traktujemy tak samo – prawda, panie ministrze Kamiński? Opozycja z kolei z punktu dyskredytuje każdego, kto ma do opowiedzenia jakąkolwiek tego typu historię, bo – wiadomo – „nagonka jest".

Ze zwykłego incydentu w postaci uderzenia obiektywem kamery współpracownicy marszałka robi się afera, którą musi się zająć niemal Rada Bezpieczeństwa ONZ. Politycy opozycji wieszczą rychłą powtórkę z Pawła Adamowicza, a szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Jarosław Olechowski zamiast zwyczajnie przeprosić, usprawiedliwia operatora, mówiąc, że uniemożliwiano zadanie pytania Grodzkiemu. Na które ten – wszyscy to wiedzą – i tak by nie odpowiedział.

Prezydent z kolei z marszałkiem Senatu spotykać się ewentualnie może, ale raczej nie chce.

Chciałoby się, żeby te zabawy skończyły się jak w starym dowcipie o ganiających się po lesie Niemcach i partyzantach: powinien przyjść gajowy i wszystkich wyrzucić z lasu. I jeszcze dać po kopniaku w tyłek. Tylko gajowego nie widać. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

Żyłem dość długo

Łukasz Warzecha

Sir Roger Scruton dla środowisk konserwatywnych był postacią bardzo ważną – co najmniej od momentu przełomu w 1989 r.

Miło pana poznać. Czy zna pan w Lublinie jakichś antykomunistów? – to były pierwsze słowa, które 36 lat temu usłyszał od Rogera Scrutona (wtedy jeszcze nie sir, uszlachcenie nastąpiło dopiero w 2016 r.) Marek Matraszek, zapewne jego najbliższy polski przyjaciel. Matraszek wykładał wtedy na KUL, dokąd Scruton przyjechał na gościnny wykład. Młody człowiek jeszcze tego samego dnia zabrał Anglika do swoich znajomych, podzielających poglądy gościa. Wtedy zawiązała się ich długoletnia przyjaźń. Dziś Matraszek opowiada o sir Rogerze z wyraźnym wzruszeniem.

Jak pisać o kimś takim jak sir Roger Scruton, który odszedł od nas 12 stycznia po krótkiej walce z bardzo późno wykrytym, zaawansowanym już nowotworem? On sam, człowiek skromny, miły, słuchający, uprzejmy w obcowaniu – a miałem wielkie szczęście poznać go na początku czerwca podczas jego wizyty w Polsce – z pewnością obruszyłby się na nadmierne hołdy. Faktem jest jednak, że opuścił nas jeden z niewielu współczesnych gigantów konserwatywnej myśli. W pewnym sensie – sam się tak chyba czuł, co można wyczytać w jego felietonach publikowanych w brytyjskim „The Spectator" – był epigonem starego porządku, coraz gorzej odnajdującym się w nowej, postępackiej rzeczywistości nie tylko Zjednoczonego Królestwa, lecz także Europy Zachodniej. Im bardziej był nią rozczarowany, tym cieplej mówił o naszej części kontynentu, widząc w niej ostoję zdrowego rozsądku, ciesząc się z ciepłego przyjęcia, gdy odwiedzał Polskę, Rumunię, Węgry, a zwłaszcza ukochane Czechy, i nawet wspominając, że mógłby tu mieszkać na stałe.

W czerwcu prezydent Andrzej Duda dekorował sir Rogera Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi RP – w czasie, gdy w Wielkiej Brytanii trwała absurdalna nagonka na filozofa, wywołana przez skandaliczną manipulację jego wypowiedzi w wywiadzie dla młodego dziennikarza „New Statesman". W opublikowanym w „Spectatorze" na koniec ubiegłego roku felietonie „Mój rok 2019" (który przywołam tu jeszcze nieraz) Scruton pisał gorzko: „Nie muszę wspominać, że brytyjski ambasador jest nieobecny podczas tych kłopotliwych wydarzeń [dekoracji dokonywanej przez prezydenta RP – przyp. red.], zatem jadę do Anglii z sercem przepełnionym wdzięcznością dla innego kraju, gdzie przyjęto by mnie ciepło jako uchodźcę". Jak dowiedziałem się wtedy w pałacu prezydenckim, ambasador Zjednoczonego Królestwa Robin Barnett był zaproszony na uroczystość. Nie pojawił się. W tym samym czasie był niezwykle zajęty promowaniem udziału brytyjskiej ambasady w warszawskiej Paradzie Równości.

Scruton był człowiekiem renesansu w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jego wiedza o historii, literaturze, filozofii, muzyce imponowała, mogła onieśmielać. Jego bibliografia to kilkadziesiąt pozycji, w tym tak znane jak „Pożytki z pesymizmu i niebezpieczeństwa fałszywej nadziei" – błyskotliwa rozprawa z głupawym idealizmem, obecnym we wszystkich nurtach politycznych; „Oblicze Boga", napisane w ubiegłej dekadzie, będące obroną Bożej obecności w ludzkim życiu czy wreszcie bodaj najbardziej nie tylko w Polsce znana praca, jeszcze z początku lat 80.: „Co znaczy konserwatyzm".

Jednak Scruton, jako człowiek renesansu, nie zajmował się tylko filozofią sensu stricto. Brytyjski rząd uczynił go w 2018 r. szefem komisji do spraw ładu architektonicznego – z którego to stanowiska wyrzucono go z hukiem w następstwie dętej afery z wywiadem dla „New Statesman". W podsumowaniu roku Scruton wspominał to tak:

„Zostałem zwolniony z komisji przez partię [konserwatywną – przyp. red.], która, jak się zdaje, zapomniała kompletnie o wielu tysiącach dobrze przemyślanych słów, jakimi ją wspierałem, zaś architekci ustawili się w kolejce, by rytualnie mnie potępić. […] Jakie wyciągam z tego epizodu nauki, poza tą oczywistą, że konserwatywni intelektualiści są wykluczani z debaty publicznej w naszym kraju? Nagłówek w »Timesie«, informujący czytelnika, że straciłem rządową posadę z powodu »poglądów białego rasisty«, atak w parlamencie, gdzie domagano się, bym został pozbawiony szlachectwa w świetle moich »islamofobicznych, antysemickich i homofobicznych stwierdzeń« – i tym podobnie, i tak dalej. Takie sytuacje naturalnie podgryzają moją lojalność dla

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. ANDY HALL/GETTY IMAGES

kraju i partii, którym poświęciłem tyle energii w ciągu ponad 50 lat. Czy moje miejsce jest tutaj? – pytam. Odkrycie, że nawet ważni członkowie Partii Konserwatywnej są skłonni odpowiedzieć »nie«, naprawdę mocno boli".

Dla Scrutona ogromnie ważna była muzyka. Tom jego esejów pod wspólnym tytułem „Music Matters" jest w przygotowaniu do polskiego wydania – zajmuje się tym krakowska Fundacja InCanto. Już pośmiertnie, w ciągu kilku miesięcy, ukaże się w Wielkiej Brytanii ostatnia książka filozofa, poświęcona operze Ryszarda Wagnera, „Parsifal". Scruton pracował nad nią jeszcze w drugiej połowie ubiegłego roku.

WAŻNY DLA KONSERWATYSTÓW

Choć nazwisko zmarłego brytyjskiego intelektualisty większości Polaków nic nie mówi, to dla środowisk konserwatywnych był postacią bardzo ważną co najmniej od momentu przełomu w 1989 r. Wkrótce potem poznał go m.in. Robert Kostro, dzisiaj dyrektor Muzeum Historii Polski. Kostro wspomina, że gdy w roku 1990 kończył studia, wybrał się do Londynu, uzbrojony w różne rekomendacje. Jedna z nich polecała mu kontakt z mieszkającym już wówczas w Wielkiej Brytanii Matraszkiem, dzięki niemu zaś trafił do Scrutona i zrobił z nim wywiad dla wcześniej podziemnej, w tamtym czasie już oficjalnie się ukazującej „Polityki Polskiej". „Scruton zwracał w nim uwagę na nieoczywisty w Polsce nurt nieliberalnego konserwatyzmu" – wspomina Kostro.

To Scruton był współinicjatorem powstania nad Wisłą Grupy Windsor – lokalnego oddziału konserwatywnego środowiska, przez które przewinęło się wiele osób, obecnych w życiu publicznym do dziś. Pierwszym dyrektorem biura Grupy (złożonego raptem z dwóch osób) był Robert Kostro, po nim miejsce przejął Artur Wołek, potem Paweł Kowal. Na spotkaniach i konferencjach Grupy pojawiali się regularnie: Aleksander Hall, Ryszard Czarnecki, Jan Maria Rokita, Kazimierz Michał Ujazdowski.

OBROŃCA ROZSĄDKU

Rozczarowanie Scrutona Zachodem i jego własną ojczyzną stawało się coraz wyraźniejsze, w szczególności od momentu, gdy w 2011 r. David Cameron symbolicznie zerwał z konserwatywną kotwicą światopoglądową torysów, deklarując na zjeździe swojej partii, że jest zwolennikiem „małżeństw" jednopłciowych właśnie dlatego, że jest konserwatystą. Scruton konsekwentnie przeciwstawiał się temu gwałtowi na logice i być może dlatego w 2019 r. tak wielu członków Partii Konserwatywnej – którzy konserwatystami byli już tylko z nazwy – uznało, że nie będą go bronić przed oszczerstwami „New Statesman". Nadziei upatrywał w naszej części Europy, ale też w niespodziewanych miejscach. Jeszcze w lipcu pojechał do Brazylii, gdzie wygłaszał wykłady dla młodych ludzi. Podsumowując rok, pisał: „Być może oni lepiej ode mnie dostrzegają, że alternatywą nie jest inna, lepsza cywilizacja, ale brak cywilizacji w ogóle".

Scruton był w czasach rosnącego szaleństwa wybitnym obrońcą zdrowego rozsądku. W przedmowie do „Pożytków z pesymizmu" pisał:

„Temat zbiorowego bezrozumu ludzkości nie jest nowy i można sobie zadać pytanie, czy da się coś dodać do opublikowanego w 1852 roku znakomitego przeglądu tego zagadnienia autorstwa szkockiego poety Charlesa Mackaya, zatytułowanego »Extraordinary Popular Delusions and the Madness of Crowds« (»Niezwykle popularne złudzenia i szaleństwa tłumów«). To studium proroctw, zabobonów, polowań na czarownice i krucjat uświadamia nam smutny fakt, że wszystkie zjadliwie opisywane przez Mackaya zjawiska po publikacji jego książki występują dalej z taką samą częstością i gorszymi skutkami. Mackay sądził, że ludzkość weszła w epokę wiedzy naukowej i że w tej epoce masy pójdą drogą prawdy za ekspertami, których wcześniej woleli palić na stosie. Nie mógł się bardziej pomylić. […] Nobilitacja eksperta naukowego spowodowała jedynie, że dwudziestowieczne ludobójstwa i polowania na czarownice zyskały miano racjonalnych decyzji, które nauka uznała za konieczne. […]

W nowszym studium tematu, »Scared to Death«, Christopher Booker i Richard North analizują wypadki paniki, która ogarniała cywilizowany świat w dwóch ostatnich dziesięcioleciach. […] We wszystkich tych sytuacjach – od histerycznego przekonania, że dwa miliony Brytyjczyków umrą na ludzki wariant choroby wściekłych krów, po apokaliptyczne wizje globalnego ocieplenia […] – straszne prognozy przedstawiano jako »naukowe«, a dane i argumenty przemawiające przeciwko nim pomijano na rzecz założonego z góry wniosku przyjętego dlatego, że nadaje kierunek i siłę masowemu ruchowi sprawiedliwych, którzy zebrali się w celu wypędzenia spośród nas diabła".

Te słowa pisał Scruton w 2009 r., na 10 lat przed rozpętaniem w pełnym wymiarze histerii klimatystycznej i objawieniem się świętej Greci. Brak jego zdrowego sceptycyzmu będzie teraz szczególnie odczuwalny.

Smutek na wieść o śmierci brytyjskiego filozofa może częściowo ukoić to, że – jak mówi Marek Matraszek, który spotkał się ze Scrutonem w porze Bożego Narodzenia – autor „Co znaczy konserwatyzm" uważał się za spełnionego. Miał poczucie, że powiedział i napisał już właściwie wszystko, co miał do powiedzenia i napisania.

W swoim felietonie, podsumowującym rok 2019, o grudniu napisał tak:

„W mijającym roku wiele mi odebrano: moją reputację, pozycję jako intelektualisty w życiu publicznym, miejsce w ruchu konserwatywnym, spokój umysłu, zdrowie. Ale dostałem znacznie więcej […]. Upadając na dno w moim własnym kraju, gdzie indziej zostałem wyniesiony na szczyt i patrząc dziś wstecz na te wydarzenia, mogę być jedynie szczęśliwy, że żyłem dość długo, by to ujrzeć. Zbliżając się do śmierci, zaczyna się rozumieć, co znaczy życie, a życie – znaczy wdzięczność".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

Trzęsienie ziemi w pałacu Buckingham

Teresa Stylińska

Przez najbliższe miesiące trwać będzie praca nad ustaleniem, co mogą, a czego nie mogą robić Harry i Meghan. To również – a może przede wszystkim – mnóstwo kwestii finansowych

Nie „książę i księżna Sussex", lecz „moja rodzina", nie odsunięcie, lecz okres przejściowy, a przy tym „całkowite zrozumienie dla planów młodej rodziny, która chce zbudować sobie nowe życie". Łagodny ton oświadczenia, które wydał pałac Buckingham po rodzinnym szczycie, poświęconym przyszłości księcia Harry'ego i jego żony Meghan, wszystkich zaskoczył.

Czy rzeczywiście wszystko poszło tak gładko, trudno ocenić. Dwory królewskie nie praktykują wypowiedzi w ostrym stylu, który jest udziałem coraz bardziej brutalizującego się świata politycznego. Tu nie zarzuca się nikomu kłamstwa ani złej woli, ale też nie ujawnia się tego, kto co mówił i jakie zajął stanowisko. Obowiązuje daleko posunięta dyskrecja. Dziennikarze wyspecjalizowani w tematyce dworskiej z pewnością dowiedzą się, jak przebiegało spotkanie w wiejskiej rezydencji Sandringham, w którym poza królową brali udział książę Karol, następca tronu, i obaj jego synowie – William i Harry. Trzeba jednak na to poczekać.

Wspomniani dziennikarze, a jest ich w Londynie cała armia, mają na dworze swoje źródła, dzięki którym mogą zajrzeć za szczelnie zaciągnięte zasłony. W ten sposób opinia publiczna dowiedziała się, jak głęboko zraniły królową plany Harry'ego i Meghan. Bolesna była zarówno treść, jak i forma. Ponieważ o planach swego wnuka i jego żony Elżbieta II dowiedziała się wtedy, gdy poznali je także jej poddani: 8 stycznia, gdy książęca para zamieściła oświadczenie na swoim Instagramie.

BEZ SZACUNKU

Od tej chwili temat nie znika z mediów. W Wielkiej Brytanii przez cały tydzień nie schodził z pierwszych stron gazet, co jest zrozumiałe i wręcz oczywiste, ale w innych krajach też jest przenicowywany na wszystkie możliwe strony. Pytań jest bowiem tu mnóstwo, a odpowiedzi niewiele. Podstawowe pytania są dwa. Pierwsze: Jakie funkcje będą pełnić w przyszłości Harry i Meghan? I bardziej fundamentalne: Czy cała ta sprawa może w jakiejś mierze podkopać funkcjonowanie monarchii? Plus mnóstwo pomniejszych, ale ciekawych dla opinii publicznej, na którą dwór królewski działa jak magnes.

Przypomnijmy więc tylko dla porządku: Harry i Meghan poinformowali, że „po długim namyśle" postanowili zrezygnować z wypełnienia obowiązków, które wiążą się z przynależnością do najściślejszego kręgu

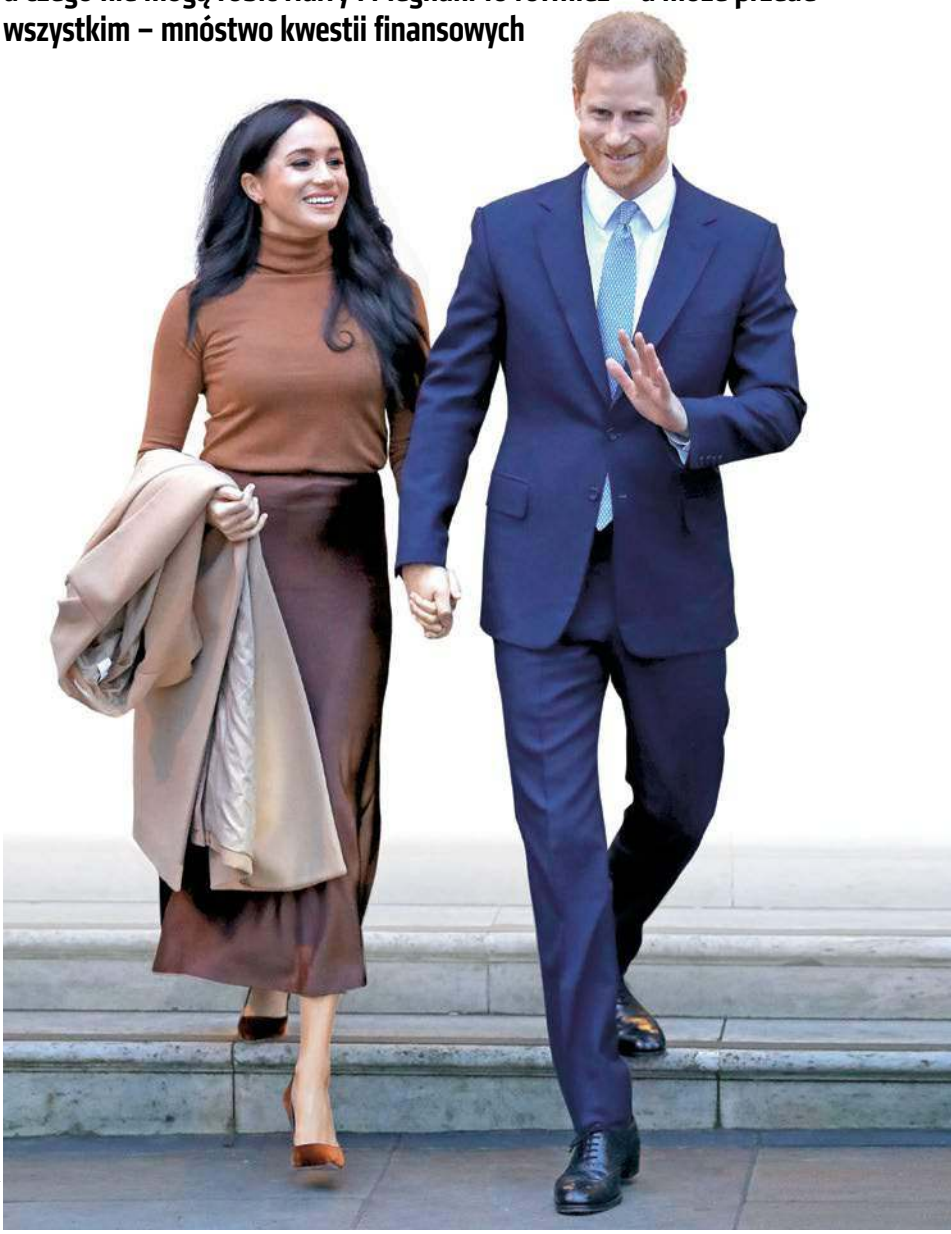

FOT. CHRIS JACKSON/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1425b3815a

członków rodziny królewskiej („senior royals"). Pragną uzyskać niezależność finansową i zarabiać na swoje utrzymanie. Chcą także dzielić swój czas między Wielką Brytanię i Amerykę Północną, tak by syna wychowywać w duchu tradycji obojga rodziców. Wszystko to pragną robić z pełnym szacunkiem dla królowej i dla innych członków rodziny.

Ta ostatnia deklaracja ściągnęła na książęcą parę ostrą krytykę. Komentatorzy trafnie wyczuli niekonsekwencję. Skoro, pytali, para książęca tak bardzo szanuje królową, to dlaczego, przez szacunek właśnie, nie zdobyła się na przedstawienie jej zawczasu swych zamiarów? Dlaczego królowa dowiedziała się, gdy niczego nie można już było powstrzymać? Można, podkreślano, robić wiele rzeczy, ale królowej w żadnym razie nie wolno uchybić. „Najtrudniejszy aspekt całej tej historii to kwestia szacunku – pisał Benedict Spence w »Daily Telegraph«. – Królowa ma ponad 90 lat, starszego męża, którego zdrowie szwankuje, i skompromitowanego syna, którego czeka wygnanie na zawsze ze sfery publicznej [księcia Andrzeja – przyp. red.]. Ogłoszenie planów bez skonsultowania ich wcześniej z pałacem było obraźliwe".

Cała sprawa w dodatku doskonale ilustruje ulotność nastrojów społecznych. To Harry, na większym luzie niż poważny William, zawsze był ulubieńcem Brytyjczyków. Meghan na tym polu doskonale dotrzymywała mu kroku. Nie zaszkodziło jej nic z tego, co teoretycznie mogło bardzo jej zaszkodzić: ani skromne pochodzenie społeczne, ani względy etniczne, bo – jak to sama określa – „jest rasy mieszanej", ani fakt, że jest starsza od Harry'ego, ani profesja aktorska. Po ślubie Meghan wyraźnie przyćmiła Kate Middleton, lubianą i szanowaną żonę Williama. Meghan nadawała choćby ton w modzie; stroje takie jak jej sprzedawały się znakomicie. W ubiegłym roku była w Wielkiej Brytanii najczęściej „googlowaną" osobą, a jej wspólne z księciem Harrym konto na Instagramie obserwuje 10,5 mln ludzi.

Sympatia zaczęła przygasać, gdy do wiadomości publicznej zaczęły przenikać opowieści o tym, że Meghan jest kapryśna, źle traktuje pracowników, a w dodatku, zapewne nie bez jej wpływu, stosunki między Williamem i Harrym są coraz gorsze. Opinii publicznej nie podobało się podkreślanie niezależności, wręcz na granicy lekceważenia. Na przykład wtedy, gdy Harry i Meghan nie chcieli spędzić wakacji w zamku Balmoral, szkockiej rezydencji rodziny królewskiej, tłumacząc, że dla ich małego synka jest to zbyt daleko, ale bez żenady polecieli z nim na południe Francji. Albo to, że ostatnie Boże Narodzenie spędzili w Kanadzie, a nie, zgodnie z tradycją, z całą rodziną w Sandringham, choć nakazywałby to przynajmniej wzgląd na stan zdrowia 98-letniego księcia Filipa.

Po naradzie w Sandringham wiadomo jedno: Harry i Meghan nie zamierzają rezygnować z tytułu księcia i księżnej Sussex ani całkowicie zrywać z rolą „working royals", czyli pracujących członków rodziny królewskiej. To określenie bywa mylące, nie oznacza bowiem, jak można by sądzić, tych przedstawicieli rodu, którzy mają własną pracę zawodową. Przeciwnie – chodzi o tych, którzy otwierają imprezy, patronują organizacjom, fundacjom i stowarzyszeniom, reprezentują kraj za granicą i uświetniają swą obecnością rozmaite uroczystości. Robią to więc w imieniu królowej i poniekąd całego narodu. Harry i Meghan chcą ograniczyć swój udział, ale nie wycofać się całkowicie. Gdyby do tego doszło, nie byłby to najlepszy sygnał dla opinii publicznej, która bardziej ceni jedność niż rozbieżności.

Ma to zresztą znaczenie również z innego powodu. Grono „working royals" zaczyna się kurczyć. Zniknął z niego ostatnio Andrzej, książę Yorku, średni syn królowej, skompromitowany zażyłością z amerykańskim miliarderem Jeffreyem Epsteinem, który m.in. zapewniał towarzystwo nieletnich dziewcząt swym prominentnym znajomym. Książę Filip już dwa lata temu wycofał się z obowiązków z uwagi na wiek. Z tego samego powodu ograniczają swój udział kuzyni królowej, książęta Kentu i Gloucester, a także ona sama. Za trzy miesiące kończy przecież 94 lata. Udział młodszych członków rodziny jest zatem wręcz konieczny.

Sprawa Harry'ego i Meghan nie mieści się w kategorii skandali, jakie nie raz i nie dwa wstrząsały dynastią Windsorów. Niemniej łatwo tu o skojarzenia z prawdziwym skandalem z lat 30. ubiegłego wieku, jakim było małżeństwo króla Edwarda VIII z Wallis Simpson. Edward był królem, a Harry w kolejce do tronu zajmuje dopiero szóste miejsce i trzeba by było nie wiadomo jak tragicznego zbiegu okoliczności, by kiedyś na nim zasiadł. Obie wybranki to rozwódki. Kiedyś stanowiło to przeszkodę nie do pokonania, dziś już nie, skoro troje z czworga dzieci królowej ma za sobą rozwód, a ich życie dostarczyło tabloidom aż nadto materiału.

Zresztą nie to jest najważniejsze. Jak ocenia znany publicysta Simon Heffer, chodzi o to, że pragnienie pójścia własną drogą w obu przypadkach wiąże się z brakiem wyczucia. Jeśli chodzi o Edwarda i Wallis, to przejawem tego była choćby wizyta u Hitlera w 1937 r., w alpejskiej rezydencji Berchtesgaden. W przypadku Harry'ego i Meghan – wspomniane odrzucanie zaproszeń od królowej. Skala problemu jest więc inna i inne też są czasy, ale trudno nie dostrzec, że rodzina królewska wyraźnie nie ma szczęścia do związków z Amerykankami.

DWA OKRESY PRZEJŚCIOWE

Gdy przed dwoma laty Harry i Meghan brali ślub, nieustannie zadawano pytanie, czy obecność kobiety z innej sfery, innej rasy i innej narodowości, do tego wyznawczyni tzw. postępowych poglądów – na sprawy kobiet, klimatu itp. – zmieni brytyjską monarchię. Zmieni, czyli unowocześni. Wyznawcy idei postępu wiązali z tym duże nadzieje. Bardzo na wyrost, jak się okazało. Takie zadanie było poza możliwościami księżnej Sussex, tym bardziej że sama skutecznie zmarnowała życzliwość, jaką okazała jej rodzina królewska; widomym jej przejawem było to, że do ołtarza prowadził ją, w zastępstwie ojca, sam książę Karol.

Wielką Brytanię czeka teraz niejako podwójny okres przejściowy – brexitowy, na czas przyjęcia umów i regulacji w stosunkach z Unią Europejską, oraz królewski. Przez najbliższe miesiące trwać będzie praca nad ustaleniem, co mogą, a czego nie mogą robić Harry i Meghan. To mnóstwo kwestii, również, a może przede wszystkim, finansowych. Na przykład: jakie dochody będą mogli czerpać z zarejestrowanej parę miesięcy temu marki Sussex Royal; czy książę Karol zechce wspierać ich finansowo częścią dochodów, które otrzymuje z Księstwa Kornwalii (do tej pory pokrywał 95 proc. kosztów ich utrzymania); na jakich zasadach będzie funkcjonować planowana fundacja charytatywna Sussexów; czy Meghan może wrócić do filmu. A to tylko skromna próbka.

Książęcej parze bieda na pewno nie zajrzy w oczy. Ich wspólny majątek, z ogromną przewagą majątku księcia, szacuje się na ok. 38 mln funtów. Jednak choć mają prawo do niezależności materialnej, nie powinni zarabiać na swoim nazwisku i pochodzeniu. Jak nie dopuścić do takiej kompromitacji? To być może najważniejsze z pytań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

FOT. HINDUSTAN TIMES/GETTY IMAGES

Granice Modiego

Maria Kądzielska

Antyrządowe protesty wybuchają w kolejnych indyjskich miastach. Podobnie jak w sierpniu w Kaszmirze pojawiają się ofiary śmiertelne. Czy jesteśmy właśnie świadkami upadku indyjskiej demokracji?

Od czasu igrzysk olimpijskich w Pekinie w 2008 r. Hindusi całkowicie zakochali się w Państwie Środka. Liczne delegacje z Indii podziwiały magiczną transformację chińskich miast: szerokie pasy autostrad wybudowane w sześć miesięcy; budynki hotelowe, które rok wcześniej jeszcze nie istniały; nowe linie metra, których budowa zajęła kilka tygodni. Przykłady słynnej chińskiej wydajności wywoływały zdziwienie wśród turystów, ale jednocześnie nieuchronnie zmuszały ich do porównań.

Od tego czasu indyjskie elity zaczęły nie tylko zdawać sobie sprawę z niewydajności własnego systemu zarządzania, lecz także z ograniczeń demokracji, z którymi Chiny nie muszą się zmagać. Dziesięciolecia biurokratycznego lenistwa, słabych struktur i braku egzekwowania prawa przekonały wielu, że indyjski liberalizm ponosi winę za stworzenie słabego państwa, które z kolei odpowiada za niską wydajność.

W większości pasożytnicza i coraz bardziej skorumpowana klasa polityczna tylko zwiększała sceptycyzm wobec systemu demokratycznego. Indie – najbardziej stabilną, wielopartyjną demokrację w Azji – cechuje znacznie niższy poziom zaufania publicznego wobec polityków niż jednopartyjne Chiny i praktycznie jednopartyjny Singapur. Innymi słowy, politycy w Indiach, którzy muszą konkurować ze swoimi rywalami z innych partii, aby zdobyć powszechne zaufanie w celu objęcia urzędu publicznego, w rzeczywistości cieszą się mniejszym

eprasa.pl 1425b3815a

zaufaniem społecznym niż politycy w tych krajach, w których nie muszą poddawać się demokratycznej próbie.

MODI JAKO INDYJSKI XI

W latach 2010–2013 Indie zajęły 27. pozycję w rankingach zaufania publicznego do polityków w ramach Globalnego Indeksu Konkurencyjności Światowego Forum Ekonomicznego. To właśnie w czasie tego gwałtownego spadku wiary w demokrację na scenie politycznej Indii pojawił się Narendra Modi. Wcześniej cały kraj obiegła sława jego żelaznych rządów w stanie Gujarat. Sukcesy na poziomie lokalnym umożliwiły mu objęcie stanowiska premiera w 2014 r. Jak twierdzili jego zwolennicy, posiadał on wolę i środki niezbędne do przezwyciężenia słabości powolnych procesów demokratycznych, które jak choroba toczyły kraj od wewnątrz. Miał być to zatem człowiek, który mógłby zmienić Indie w Chiny.

Modi szybko scentralizował władzę. Po kilku latach rządów kontroluje wszystkich polityków swojego gabinetu i całej Indyjskiej Partii Ludowej. Każde stanowisko kierownicze aż do poziomu samorządowego zostaje obsadzone przez ludzi, którzy mają błogosławieństwo jego lub jego protegowanego i powiernika Amita Szaha, ministra spraw wewnętrznych.

Chiński prezydent Xi Jinping może nadal mieć rywali w swojej partii – Modi nie ma już żadnego. Jako pierwszy premier w historii Indii, po takich gigantach jak Jawaharlal Nehru i Indira Gandhi, ma całkowitą większość w parlamencie. Jego absolutna władza wykracza poza partię i rząd. Rozciąga się nawet na zwyczajowo niezależne instytucje, takie jak bank centralny, wojsko, media, a nawet sądownictwo.

UPADEK AUTONOMII INSTYTUCJONALNEJ

Nagła decyzja Modiego w 2016 r. o wycofaniu banknotów o wysokich nominałach z obiegu pokazała zasięg jego władzy. Zlikwidowanie z dnia na dzień 86 proc. gotówki z państwowego obiegu w gospodarce w przeważającej części opartej na gotówce wywołało szok, z którego Indie się jeszcze nie ocknęły. Z punktu widzenia ekonomicznego była to próba ograniczenia korupcji, ale politycznie stała się deklaracją umocnienia władzy w jednym ręku. Stało się jasne, że Modi może narzucić swoją wolę bez względu na konsekwencje, bez należytego procesu konsultacyjnego lub kontroli instytucjonalnej. Bank Rezerw Indii stał się pierwszą z czczonych indyjskich instytucji, które politycznie skapitulowały.

Przywódca Indyjskiej Partii Ludowej sukcesywnie prze dalej. W pełni kontroluje już armię, media, ogranicza dostęp do Internetu oraz wprowadza restrykcyjną politykę imigracyjną (w szczególności wobec muzułmanów). Pod przywództwem Modiego rząd dokonał manipulacji danymi, zwłaszcza dotyczącymi konsumpcji i zatrudnienia, które są najniższe od czterech dekad. Rok po objęciu władzy po raz pierwszy rząd zmienił rok bazowy i metodykę obliczania PKB. To natychmiast zwiększyło tempo wzrostu o prawie 2 punkty procentowe, przewyższając Chiny, dając tym samym premierowi Modiemu wątpliwe prawo do dumy.

Siłą indyjskiej demokracji i przeciwwagą dla szerzącej się korupcji była służba cywilna, która wcielała w swoje struktury najbardziej wykształcone osoby, mając na celu tworzenie apolitycznej biurokracji. Obecnie jesteśmy świadkami bezprecedensowej transformacji tej instytucji. Nabór do instytucji publicznych przestał być oparty na cenzusie wykształcenia, a stał się zależny od przynależności politycznej. W dodatku coraz częściej można spotkać starszych biurokratów, którzy wypowiadają się publicznie na temat kontrowersyjnych kwestii politycznych i wyrażają ideologiczne stanowiska, które odzwierciedlają linię partii rządzącej. Wcześniej podobne polityczne zaangażowanie wśród urzędników państwowych było nie do pomyślenia.

Wojsko, jako jedna z najbardziej niezależnych instytucji w Indiach, zaczęło być ściśle utożsamiane z rządem, zwłaszcza od czasu rozpoczęcia tajnych ataków transgranicznych na ziemię pakistańską. W zeszłym roku tuż przed wyborami powszechnymi po kolejnej tzw. chirurgicznej interwencji przeciwko terrorystom z Pakistanu przywódcy partii zaczęli nazywać wojsko „żołnierzami Modiego".

INDIE TO NIE CHINY

Ku zaskoczeniu premiera indyjskie społeczeństwo wyznaczyło granicę wprowadzanych zmian. Jeszcze sierpniowe protesty, po decyzji o cofnięciu autonomii regionowi Kaszmiru, można było zrzucić na karb wiecznego konfliktu o miasto między Hindusami a Pakistańczykami. W końcu od 30 lat po indyjskiej stronie Kaszmiru dochodzi do ataków rebeliantów, a władze w Nowym Delhi oskarżają Pakistan o ich wspieranie. Można było uznać, że Modi walczy z muzułmańskim terroryzmem, co nie mijało się z prawdą. Chociaż już metody indyjskich władz, takie jak odcięcie regionu od telefonów i Internetu czy skierowanie na ulice miast kilku tysięcy żołnierzy, budziły kontrowersje. Pamiętamy także sytuację, kiedy z dnia na dzień aresztowano 2 tys. protestujących. Były również ofiary śmiertelne.

Jednak protesty, których obecnie jesteśmy świadkami, odbywają się już w całych Indiach. Od czasu przyjęcia 11 grudnia ustawy o obywatelstwie, którą społeczność muzułmańska uznaje za dyskryminującą, zginęło 25 osób. Regularnie po piątkowych modlitwach muzułmańskich policja ściera się z protestującymi. Pomimo oficjalnego zakazu tysiące osób gromadzą się na protestach w Delhi, Bombaju, Kalkucie, Ahmedabadzie, Bangalore i Chennai. Nowa ustawa ułatwia uzyskanie obywatelstwa Indii uchodźcom z Afganistanu, Bangladeszu i Pakistanu pod warunkiem, że nie są oni muzułmanami. Przyznaje ona obywatelstwo indyjskie buddystom, chrześcijanom, hinduistom, wyznawcom dżinizmu, parsom i sikhom, którzy uciekli z tych krajów przed 2015 r. Opozycja i organizacje obrony praw człowieka uważają, że nowe prawo stanowi część nacjonalistycznego programu Modiego, zmierzającego do zmarginalizowania 200 mln muzułmanów w Indiach.

Protestujący, którzy używają konstytucji i wizerunków Ambedkara (jednego ze współtwórców indyjskiej ustawy zasadniczej) jako symboli swojego oporu, przypominają Modiemu, że może myśleć, iż jest Xi Jinpingiem, ale Indie to jednak nie Chiny. Istnieje skończony zakres swobody wykonawczej, na który pozwolą wybranemu liderowi, a premier Modi dotarł właśnie do tej granicy. Tworzenie państwa indyjskiego na wzór Chin to jedno, ale wprowadzenie mentalnych zmian w społeczeństwie to odmienna kwestia. Nasilające się protesty, w których biorą udział nie tylko muzułmańscy obywatele Indii, ukazują duże przywiązanie społeczeństwa do swobód demokratycznych i obawę przed ich utratą. W kolejnych tygodniach przekonamy się, kto okaże się silniejszy. Możliwe również, że to już ostatnie podrygi największej demokracji na świecie, która z uwagi na swoją nieefektywność osunie się w jakąś formę autorytaryzmu, jeśli jeszcze tego nie zrobiła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

Z prof. Władysławem Mielczarskim, ekspertem od rynku energetycznego
rozmawia Błażej Torański

Maskarada

BŁAŻEJ TORAŃSKI: Przed rokiem na szczycie klimatycznym w Katowicach prezydent Andrzej Duda mówił wprost, że nie ma planu rezygnacji z węgla w Polsce. Węgiel jest naszym strategicznym surowcem i mamy jego zapasy na 200 lat. Dlaczego stawiamy na węgiel, skoro cały świat wzywa do dekarbonizacji?

PROF. WŁADYSŁAW MIELCZARSKI: Wszystko wskazuje na to, że w Polsce jest to najlepszy wybór. Węgiel gwarantuje nam bezpieczeństwo energetyczne, czyli ciągłość dostaw paliw i energii elektrycznej po akceptowalnych cenach. Co znaczy ciągłość? Jest stare powiedzenie elektryków: energia musi płynąć 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Cena musi być taka, żeby gospodarka była konkurencyjna, a ludzie nie musieli rezygnować z podstawowych potrzeb.

W przeciwnym razie padnie gospodarka?

Polecam wydany w Niemczech thriller Marca Elsberga „Blackout" o tym, jak ludzie są uzależnieni od elektroniki. Opisany tam został czarny scenariusz wydarzeń, gdyby Europa nagle pogrążyła się w ciemności np. w wyniku zmasowanego elektronicznego ataku terrorystycznego. Jaki zapanowałby chaos, a ludzie zaczęliby zmagać się z brakiem podstawowych środków do życia: wody, jedzenia, ogrzewania. Potrzebujemy ciągłości dostaw energii.

Jak ją zagwarantować?

Energia elektryczna, poza wyładowaniami atmosferycznymi, w postaci naturalnej nie istnieje. Musimy ją sztucznie wyprodukować, a obecna cywilizacja nie jest w stanie istnieć bez energii elektrycznej. Paliwa, z których możemy pozyskiwać ją w sposób ciągły, to: węgiel brunatny i kamienny, gaz ziemny i paliwo jądrowe.

A dlaczego nie elektrownie wiatrowe i słoneczne? Z tego powodu, że wiatr wieje w Polsce średnio tylko przez 2 tys. godzin rocznie, a słońce świeci przez 900 godzin, polska gospodarka potrzebuje zaś ciepła i energii przez cały rok? Przez 8760 godzin?

Nie tylko w Polsce. W każdym miejscu na Ziemi – na równiku czy biegunie – słońce świeci tylko przez pół roku. W Szkocji wykorzystanie zainstalowanych mocy elektrowni wiatrowych to nawet 4 tys. godzin rocznie, ale w Polsce już tylko 2 tys. godzin. Nigdzie na świecie odnawialne źródła energii, takie jak farmy wiatrowe czy panele słoneczne, nie zagwarantują ciągłej dostawy energii elektrycznej do społeczeństwa i gospodarki przez cały rok.

Energia odnawialna może być tylko uzupełnieniem dla węgla, gazu, atomu?

Wyłącznie, i to bardzo kosztownym i niekoniecznie potrzebnym. Energia odnawialna jest dwa razy droższa od tej z węgla brunatnego w Bełchatowie.

Ta z węgla jest również kosztowna. Według Związku Przedsiębiorców i Pracodawców w Polsce mamy „najdroższy prąd w regionie, co przekłada się na koszty funkcjonowania przedsiębiorstw, ich pozycję konkurencyjną w Europie, ceny produktów, a także na koszty utrzymania gospodarstw domowych".

Nieprawdą jest, że ceny energii elektrycznej w Polsce należą do najwyższych. Twierdzenie Związku Przedsiębiorców to prymitywny lobbing. Zachęcam do sprawdzenia tych danych na stronach Komisji Europejskiej.

eprasa.pl 1425b3815a

Elektrownia w Bełchatowie

FOT. ADOBE STOCK

Dlaczego nie postawimy na energię jądrową, na której opiera się np. gospodarka Francji?

To jest ślepa uliczka, w którą w połowie XX w. poszły rządy niektórych państw, przekonane, że każdy postęp jest dobry. Było to związane z bronią jądrową. Francuskie elektrownie powstały w ramach programu jądrowego. Po jakimś czasie pojawił się problem odpadów promieniotwórczych. Co z nimi zrobić? Założono, że wymyślą to przyszłe pokolenia, ale nie wymyśliły. Nigdzie na świecie nie wymyślono sposobu na przechowywanie odpadów, które będą radioaktywne przez miliony lat!

Gdzie więc najwięksi na świecie producenci energii jądrowej – Stany Zjednoczone, Rosja czy Francja – trzymają materiały promieniotwórcze?

Słyszy się, że niektóre imperia przechowują je w afrykańskich kopalniach, ale nikt się tym nie chwali. Jaka to jest skala? Na przykład USA siedzą na bombie 47 tys. ton radioaktywnego paliwa z reaktorów atomowych, 344 mln litrów odpadów z przetwarzania plutonu i 455 tys. ton zubożonego uranu. Rząd federalny budował magazyn w górach Yucca w stanie Nevada, ale nie zrealizował tego projektu, tylko zmienił prawo. Teraz elektrownie muszą przechowywać materiały promieniotwórcze na zawsze.

A jak radzą sobie inne kraje?

Od kilkunastu lat jedyny na świecie magazyn budują Finowie w górach granitowych Onkalo, co po fińsku oznacza jaskinię. Po 2100 r. trafi tam paliwo wypalone w fińskich elektrowniach atomowych.

Nie pomieszczą jednak wszystkich odpadów świata.

Nie. I to jest problem. Jest jeszcze jeden. W przypadku awarii elektrowni jądrowej ludzie tracą nad nimi całkowitą kontrolę. Gdyby awaria zdarzyła się w Elektrowni Bełchatów, wystarczy wyłączyć taśmociągi i blok przestanie działać, a ludzie wrócą do pracy za kilka godzin, kiedy blok ostygnie.

Broń jądrowa zawsze kojarzyła się z mocarstwami.

Kiedy słyszę polskich polityków, którzy mówią: „Zbudujmy sobie przemysł jądrowy", to jakbym słyszał pobrzękiwanie szabelki.

Tymczasem jest prosty rachunek: jeden blok elektrowni jądrowej kosztowałby nas 35 mld zł, a kolejne 5–10 mld musielibyśmy wyłożyć na infrastrukturę.

W Polsce nie ma miejsca na elektrownię jądrową, bo nikt nie ma takich pieniędzy. Jest też bariera międzynarodowa.

Ma pan na myśli Niemców, którzy nie zgodzą się na taką elektrownię?

Nie tylko. Nie zgodzą się też inne kraje, choćby Austria. Wywołają retorsje, nastawią przeciwko Polsce znaczną część Europy.

W kraju też mamy wielu przeciwników energii jądrowej.

W tej chwili społeczeństw o zdanie nikt nie pyta, ale jakbyśmy zaczęli budować elektrownię jądrową, na ulice polskich miast wyjdą wielkie demonstracje. Ekolodzy będą bardziej protestować przeciw atomowi, niż robią to obecnie przeciwko węglowi.

Przeciwko elektrowni w Bełchatowie stale są jakieś protesty.

Nie wynikają one, jak w przypadku atomu, ze strachu. To są klasyczne protesty zorganizowane. Chodzi o to, abyśmy nie produkowali u siebie, tylko kupili za granicą zarówno energię elektryczną, jak i gaz ziemny.

Znowu ma pan na myśli Niemcy, które są największym emitentem dwutlenku węgla w Unii Europejskiej i odpowiadają za jedną czwartą europejskich emisji CO_2?

Niedawno zakończył się szczyt klimatyczny w Hiszpanii. Zacytuję panu – za Polską Agencją Prasową – komentarz czołowego madryckiego dziennikarza Radia Cope. Carlos Herrera wskazał na „panujący na takich wydarzeniach" ostracyzm wobec niektórych państw europejskich za rzekome upieranie się przy korzystaniu z węgla i przymykanie oczu na praktyki krajów takich jak Chiny. „Chińczycy mówią, że wypełnią wszystkie umowy, ale to kłamstwo. Co trzy dni otwierają jakąś elektrownię zasilaną węglem [...]. Niech postanowienia porozumień wypełni Słowenia. Tyle tylko, że praktycznie [klimat] nie będzie mieć z tego żadnego pożytku".

Coraz częściej dziennikarze europejscy dostrzegają, że polityka klimatyczna skierowana jest przeciwko niektórym państwom UE. Ogólnoświatowej polityki klimatycznej już nie ma, ponieważ Chiny, Indie, Brazylia wyraźnie powiedziały, że nie są tym zainteresowane. Stany Zjednoczone z tego wychodzą, Kanada uczyniła to dawno. Polityka klimatyczna stała się rozgrywką wewnętrzną w Unii, aby jedne państwa były w lepszej sytuacji gospodarczej, a drugie, takie jak Polska, w gorszej.

Niemcy nie prowadzą podwójnej gry? Prezentują się w roli lidera walki ze zmianami klimatu, za którym chce iść wiele państw świata, a równocześnie mocno rozwijają energetykę węglową, otwierają nowe złoża węgla brunatnego w sercu Europy, w okolicach Kolonii.

To jest polityka i propaganda, a także unijna hipokryzja.

Niemcy prowadzą więc maskaradę dla światowej opinii publicznej?

Przede wszystkim dla części własnych obywateli, ale też dla świata.

Z danych Eurostatu (za 2018 r.) wynika, że największe spadki emisji dwutlenku węgla w Unii Europejskiej zanotowano w Portugalii (–9,0 proc.), w Bułgarii (–8,1 proc.), Irlandii (–6,8 proc.), Niemczech (–5,4 proc.), Holandii (–4,6 proc.) i w Chorwacji (–4,3 proc.). Wzrosty dotyczą

eprasa.pl 1425b3815a

Łotwy (+8,5 proc.), Malty (+6,7 proc.), Estonii (+4,5 proc.), Luksemburga (+3,7 proc.), Polski (+3,5 proc.), Słowacji (+2,4 proc.), Finlandii (+1,9 proc.) oraz Litwy (+0,6 proc.). Emitentów CO_2 postrzega się jako największych trucicieli.

W celach politycznych używa się hipotezy, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie. Oczywiście klimat się zmienia, ale nikt nigdy nie udowodnił, że z powodu CO_2. Nie ma nawet dowodu (bo o prymitywnej teorii „kija hokejowego" nie ma co dyskutować) na to, że jest jakakolwiek zależność między temperaturą a dwutlenkiem węgla. Na przykład, jeśli zmniejszymy emisje CO_2 o miliard ton, to temperatura na Ziemi spadnie o pół procent. Są dowody geologiczne, że raz było na Ziemi ciepło, raz zimno. W gazach cieplarnianych największy udział – 96 proc. – ma para wodna.

Dwutlenek węgla jest wykorzystywany jako narzędzie do dominacji gospodarczej, a dla wspierających teorię globalnego ocieplenia „użytecznych głupców" jest również pseudoreligią. To się świetnie sprzedaje. Twórcy tej pseudoreligii wzorowali się na chrześcijaństwie. Chrystus zmarł na krzyżu, aby odkupić ludzkość. Oni wmawiają młodym ludziom, że światu grozi zagłada: „Bądź małym Chrystusem i zredukuj CO_2, a też odkupisz grzechy poprzednich pokoleń".

W tej grze chodzi o kolosalne pieniądze?

W XX w. z tragedii Holokaustu uczyniono przedsiębiorstwo. Teraz nowym biznesem jest globalne ocieplenie wspierane pseudoreligią CO_2.

A jednak co roku w Polsce umiera 44 tys. ludzi z powodu smogu.

Smogu tak, ale to nie ma związku z dwutlenkiem węgla. Pił pan kiedykolwiek napój gazowany? I żyje pan, a tam był przecież CO_2. Elektrownie są bardzo czystymi obiektami technologicznymi. Emitują tylko CO_2, co do którego są różne poglądy. Jest to również gaz życiodajny. Służy fotosyntezie. Rzeczywiście szkodliwe są cząstki stałe, ale one nie są emitowane przez elektrownie. Te cząstki stałe osiadają w naszych płucach. Ludzie umierają nie z powodu elektrowni, ale trujących spalin z kominka czy pieca sąsiada, który spala tam wszystko, włącznie ze śmieciami. Jedna willa z kominkiem bardziej skraca życie sąsiadom niż wielka elektrownia węglowa.

Nie wybudujemy elektrowni wiatrowych na Bałtyku?

Pójdziemy w tym kierunku, ale energia elektryczna z morza jest dwa razy droższa aniżeli ta produkowana na lądzie. Nie wystarczy nam pieniędzy na duże projekty.

Zechcemy pokazać światu, że coś w tej mierze robimy?

Każda firma ma budżet na public relations, więc jest to możliwe.

Kolejne ruchy pozorowane?

A pieniądze wydawane przez kobiety na kosmetyki należy uznać za wyrzucone? Niekoniecznie. Polska także chce być przez świat lepiej postrzegana.

Wkrótce rząd Polski ma wydać PGE koncesję na wydobycie węgla w nowej odkrywce w Złoczewie pod Bełchatowem. To będzie największa inwestycja górnicza w Europie, ale tamtejsi rolnicy od dawna protestują przeciwko kopalni.

Wszędzie są protesty, ale uważam, że powinniśmy sięgać po kolejne złoża węgla brunatnego, także pod Legnicą, gdzie są największe złoża węgla brunatnego w Europie. A jak pan myśli, kto finansuje protesty tych, którzy wchodzą na komin?

Kto?

Inni producenci energii elektrycznej czy eksporterzy gazu ziemnego. Filozofia jest prosta: jeśli tym aktywistom uda się zablokować Bełchatów, to Polska nie będzie miała energii elektrycznej. Skąd ją weźmie? Będzie kupować od sąsiadów energię elektryczną i gaz ziemny. To jest gra o lepszą pozycję gospodarczą. Ekologia jest tylko scenografią. Tak naprawdę chodzi o pieniądze.

Tymczasem z najnowszego raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że „polskie elektrownie są wyeksploatowane", a w elektroenergetyce, opartej na węglu, brakuje inwestycji. Czy istnieje ryzyko – jak twierdzi NIK – że gospodarce zabraknie prądu?

NIK myli się w swojej ocenie. Nie istnieje „ryzyko", że zabraknie prądu, ale jest taka pewność! Od 2023 r. zaczną występować w Polsce braki prądu w godzinach szczytowych, a od 2027 r. będą już regularne braki przez całą dobę. Po 2032 r. trzeba będzie wyłączać od dostaw energii wiele obszarów i grup odbiorców.

Groźba czarnego scenariusza z „Blackout" jest więc realna. Nie powinniśmy się więc śpieszyć z budową nowej kopalni w Złoczewie?

Powinniśmy. Odkrywka w Złoczewie jest konieczna, ale do 2040 r. powinniśmy także wybudować ok. 10 tys. MW w elektrowniach konwencjonalnych, stale dyspozycyjnych, pracujących na węglu, gazie, atomie. Polska potrzebuje więc jeszcze 10–12 elektrowni, na miarę Elektrowni Ostrołęka. W przeciwnym razie po 2027 r. światło zacznie przygasać, a po 2035 r. całkowicie zgaśnie.

W Złoczewie od dwóch lat protestują polscy rolnicy, którzy zebrali się w Stowarzyszeniu „Nie dla odkrywki Złoczew". Argumentują, że kopalnia zniszczy życie wszystkim mieszkańcom okolicy, gdyż trzeba będzie przesiedlić 33 wsie, łącznie 3 tys. osób, zniszczyć infrastrukturę drogową, wodną i energetyczną. Tak się stanie?

Niekoniecznie. Rolnicy dostaną odszkodowanie zgodnie z wyceną. Mówimy o losie 3 tys. ludzi, ale w Bełchatowie mieszka blisko 60 tys. Jeżeli nie będzie tej odkrywki, to upadną kopalnia i Elektrownia Bełchatów oraz 60 tys. ludzi będzie musiało wyprowadzić się z Bełchatowa bez żadnego odszkodowania, a ich mieszkań w upadającym mieście nikt nie kupi.

Z raportu Instytutu Ekonomii Energii i Analiz Finansowych (IEEFA) wynika, że PGE powinna porzucić plany nowej kopalni węgla brunatnego i że inwestowanie miliardów euro w wydobycie węgla brunatnego przez kolejne dziesięciolecia nie ma ekonomicznego sensu. To kolejny element gry rynkowej?

Oczywiście. To są – jak mawiają Amerykanie – Mickey Mouse instytuty. Mówimy o rewolucji energetycznej. A co Lenin mówił o rewolucji? Że będzie zwyciężać tylko wtedy, kiedy będą ją popierać płatni agenci. Dzisiaj są to „profesjonalni lobbyści" i „bezinteresowni głupcy". Tamta rewolucja się nie udała. Mam nadzieję, że ta także tak skończy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Władysław Mielczarski
pracuje w Instytucie Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej. Był wykładowcą na australijskich uniwersytetach, realizował projekty z zakresu rynku energii elektrycznej w Singapurze, Kanadzie, Afryce Południowej i USA. Pełnił funkcję doradcy rządu RP. Był koordynatorem rozwoju połączeń energetycznych w Komisji Europejskiej – DG Energy.

eprasa.pl 1425b3815a

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GALAXY FOLD

Świetne wyświetlacze, bardzo dobra wydajność, ogromna bateria i niezwykły design, który sprawia, że ludzie odwracają za nim głowy na ulicy – to największe zalety pierwszego na rynku telefonu z elastycznym ekranem, czyli „tabletem" ukrytym w stosunkowo grubym, ale wciąż poręcznym smartfonie.

Złożony fold wygląda solidnie i elegancko, ale jest stosunkowo ciężki (263 g) i gruby. Mimo to nieźle leży w ręku i swobodnie mieści się zarówno w kieszonkach marynarki, jak i w kieszeniach dżinsów. Ponadstandardowa grubość wynika z faktu, że superflagowiec Samsunga został wyposażony w dwa ekrany. Pierwszy, zewnętrzny, to AMOLED o przekątnej 4,6 cala i rozdzielczości 1680 x 720. Nie jest wprawdzie duży, ale w zupełności wystarcza, aby wykonać telefon, jedną ręką napisać SMS czy przejrzeć najważniejsze newsy. Drugi, rozkładany wewnętrzny ekran Dynamic AMOLED o przekątnej 7,3 cala i rozdzielczości 2152 x 1536, przypomina już typowy tablet. Oba ekrany mają rewelacyjną jakość: kolory są nasycone, czerń czarna, a kontrast wysoki. Są też wystarczająco jasne, aby korzystać z nich nawet w silnym słońcu. Miejsce zgięcia na dużym ekranie jest widoczne (zwłaszcza gdy patrzymy na wyświetlacz z boku), ale szybko można się do niego przyzwyczaić.

Na olbrzymim ekranie fantastycznie przegląda się zdjęcia oraz czyta teksty na internetowych portalach. Nowy gadżet docenią miłośnicy oglądania filmów i seriali Netflixa (rewelacyjnie prezentują się na pełnym ekranie). Radość z kieszonkowego tableta jest jednak nieco mniejsza po włączeniu filmu w formacie kinowym 21:9 – dużą część wyświetlacza zajmują bowiem wówczas czarne pasy. Fold to również idealny model dla fanów wielozadaniowości. Przy rozłożonym ekranie można pracować jednocześnie na trzech aplikacjach. A także czytać książki tak wygodnie jak na kindle'u, a nawet wygodniej, bo z dodatkowym efektem „zamykania książki" po zakończeniu lektury. Świetnie działa też przełączanie aplikacji (np. map Google) z dużego ekranu na mały.

Przyjemnie grają również głośniczki stereo. Sprawnie działa czytnik biometryczny. Miłośnicy cyfrowej fotografii mają zaś do dyspozycji aż sześć obiektywów (w tym teleobiektyw, obiektyw szerokokątny i ultraszerokokątny). Jakość zdjęć jest bardzo dobra.

We wnętrzu Galaxy Fold zamontowano aż 12 GB pamięci RAM i aż 512 GB pamięci wbudowanej. Bateria – a tak naprawdę dwa równomiernie rozłożone akumulatory, które rozładowują się i ładują równolegle – ma łączną pojemność 4380 mAh.

Wady? Elastyczny ekran można uszkodzić o wiele łatwiej niż wyświetlacze w tradycyjnych smartfonach. Z tego powodu przy zakupie trzeba przejść bezpłatne kilkunastominutowe szkolenie z obsługi gadżetu. Brakuje również rysika znanego z serii Note, który pozwalałby lepiej wykorzystać ten model nie tylko do oglądania multimediów, lecz także do mobilnej pracy. Ten brak nie zostanie zapewne uzupełniony w kolejnych edycjach, ponieważ producent tłumaczy, że rysik mógłby zwiększać ryzyko uszkodzenia elastycznego ekranu. Obudowa nie jest odporna ani na kurz, ani na wodę. W foldzie próżno szukać także wejścia słuchawkowego.

Największą wadą jest cena testowanego urządzenia, która wynosi równe 9 tys. zł. W zestawie znajdują się za to świetne bezprzewodowe słuchawki Galaxy Buds oraz specjalne etui wykonane z kevlaru. Do wyboru są jednak tylko dwa kolory: czarny oraz srebrny.

Mimo wysokiej ceny Galaxy Fold cieszy się sporą popularnością na świecie, również w Polsce. Model to najlepszy dowód na to, że „rozkładane" ekrany to duży krok w kierunku smartfonów przyszłości. Tym, których na to stać, testowana zabawka powinna przynieść wiele radości. Pozostałym miłośnikom technologicznych nowinek pozostaje czekanie na drugą lub trzecią generację – wówczas jest szansa nie tylko na niższą cenę, lecz także na lepsze zabezpieczenie rozkładanego ekranu np. przed niefortunnymi upadkami. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TŁUSTY JAK...

Nie ma lepszego sposobu na pozbycie się wałeczków tłuszczu niż trening aerobowy i lepszego motywatora niż wiecznie marudny trener personalny. Aczkolwiek jeśli potrzeba komuś dodatkowej motywacji, to pomóc mogą domowe pomiary tłuszczu w brzuchu. Dla sylwetki i zdrowia. Urządzenie o nazwie Bello pozwala w ciągu 3 s na w miarę dokładne zeskanowanie poziomu tłuszczu trzewnego. Wystarczy gadżet przyłożyć do brzucha na wysokości żołądka i nacisnąć przycisk. Dane trafią do specjalnej smartfonowej aplikacji, która nie tylko zaprezentuje wyniki pomiaru, lecz także oceni, jak bardzo aktualny stopień tkanki tłuszczowej jest niebezpieczny dla zdrowia, pozwoli dobrać wysokobiałkowe produkty i zaproponuje kilka prostych ćwiczeń na mięśnie brzucha do wykonania w domu. Intensywnych ćwiczeń na sali treningowej to nie zastąpi, ale może być całkiem przydatne. Bello kosztuje ok. 700 zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w czerwcu.

SPIJ LEPIEJ

Opasek poprawiających jakość snu, a tym samym funkcjonowanie mózgu na rynku nie brakuje. NeoRhythm jest kolejnym gadżetem w tej kategorii, który – jak twierdzą producenci – ma poprawić sen i dodać energii. Opaska sterowana jest za pomocą gestów i działa przy użyciu nieinwazyjnej metody magnetycznej neuromodulacji w celu ukierunkowania określonych obszarów mózgu. NeoRhythm wykorzystuje pola magnetyczne o średniej intensywności i maksymalnej gęstości strumienia magnetycznego, działa poprzez stymulację nerwu przedsionkowego za pomocą elektrod, które pobudzają obszar mózgu odpowiedzialny za dobry, głęboki sen. Cena – ok. 1 tys. zł, już można zamawiać na Indiegogo. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 1425b3815a

Demonstracja przeciw reformie emerytalnej w Paryżu FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Niereformowalna Francja

Olivier Bault

We Francji istnieją 42 rozmaite systemy emerytalne. Ludzie byliby nawet skłonni to zmienić, ale nie zgadzają się z polityką prezydenta Macrona

To, że Francuzi strajkują i protestują na ulicach, nie jest nowością. W samej Francji popularny jest pogląd, że nad Sekwaną od wielu lat panuje strajkokracja, a nie demokracja. Jednakże trwające od 5 grudnia strajki są najdłużej trwającymi protestami od wielkich strajków z 1968 r. Tym razem głównym – ale nie jedynym – punktem sporu jest zapowiedź wyznaczenia wieku 64 lat jako dającego prawo do emerytury w pełnej wysokości (z możliwością dalszej pracy, żeby wypracować sobie jeszcze lepszą emeryturę). Reforma, którą chce przeprowadzić Emmanuel Macron, nie dotyczy jednak tylko wieku emerytalnego, który wynosi obecnie 62 lata, gdyż prezydentowi Francji chodziło przede wszystkim o ujednolicenie bardzo licznych we Francji systemów emerytalnych. Wiadomo już jednak, że niektóre nadal będą funkcjonować (dotyczy to wojskowych, policjantów, strażaków, strażników więziennych, ale także tancerzy Opery Paryskiej, kontrolerów lotniczych, personelu pokładowego samolotów, rybaków, kierowców tirów...), a ponad miesiąc po rozpoczęciu strajków nie ma pewności, czy i do jakiej reformy dojdzie.

Przy poprzedniej próbie gruntowej reformy emerytalnej we Francji, której podjął się w 1995 r. centroprawicowy rząd Alaina Juppé na początku prezydentury Jacques'a Chiraca, władza ugięła się pod presją strajków, które przez trzy tygodnie paraliżowały większą część systemu transportu publicznego. Wtedy w szczytowym momencie na ulicach francuskich miast protestowało jednocześnie ok. 2 mln ludzi.

Francja od początku lat 70. nie odnotowała ani jednego roku bez deficytu budżetowego, a w 2019 r. po raz pierwszy zadłużenie sektora publicznego przekroczyło symboliczną barierę 100 proc. PKB. Warto przypomnieć, że zadłużenie sektora publicznego Grecji tuż przed światowym kryzysem finansowym z 2008 r. było na niewiele wyższym poziomie – 103 proc. PKB, podobnie zresztą jak ówczesne zadłużenie Włoch, o których mówi się dzisiaj, że mogą przyczynić się do kolejnego po greckim wielkiego kryzysu waluty euro.

Nikt nie ma więc wątpliwości, że kraj potrzebuje reform. I te Emmanuel Macron zapowiedział podczas kampanii prezydenckiej w 2017 r. Na razie jednak reformy prezydenta – m.in. pewne uelastycznienie rynku pracy – nie doprowadziły do istotnego spadku stopy bezrobocia (wynoszącej obecnie 8,5 proc.) ani do zmniejszenia zadłużenia kraju. Dlatego reforma systemu emerytalnego jest dla Francji kluczowa.

EMERYTALNA ZAPAŚĆ

Problem francuskiego systemu emerytalnego jest taki sam jak w pozostałych krajach europejskich: ludzie żyją coraz dłużej i rodzi się za mało dzieci, choć Francja i tak ma wciąż jeden z najwyższych wskaźników dzietności w Unii Europejskiej (średnio 1,87 dziecka na kobietę w 2018 r.). – Cztery osoby aktywne zawodowo finansowały jednego emeryta w 1950 r. Dzisiaj na jednego emeryta przypada tylko 1,7 osoby aktywnej zawodowo – tłumaczył premier Philippe, gdy 11 grudnia 2019 r. przedstawiał główne założenia reformy.

Według najnowszych szacunków rządowej rady ds. emerytur COR deficyt

eprasa.pl 1425b3815a

francuskiego systemu emerytalnego może wynieść między 7,9 a 17,2 mld euro w 2025 r., co będzie stanowiło od 0,3 proc. do 0,7 proc. PKB. Dla porównania – w 2019 r. cały deficyt finansów publicznych Francji wynosił 3,1 proc. PKB.

Podobnie jak w Polsce obowiązkowy system emerytalny we Francji jest bowiem systemem repartycyjnym, co oznacza, że bieżące emerytury są finansowane z bieżących składek. Prezydent Macron nie zamierza tego zmienić. Natomiast reforma przedstawiona przez jego rząd zakłada zmianę sposobu liczenia praw do emerytury na system punktowy. Oznacza to, że do wyliczenia przyszłej składki emerytalnej będzie się liczyła każda przepracowana godzina. Do tej pory brane pod uwagę były liczba przepracowanych kwartałów oraz średnia pensja z 25 najkorzystniejszych lat kariery zawodowej w przypadku pracowników sektora prywatnego lub 6 ostatnich miesięcy kariery zawodowej w przypadku pracowników administracji państwowej i wojskowych.

Francuzi od razu się zorientowali, że zmiana na system punktowy doprowadzi do automatycznego obniżenia wysokości wypłacanych emerytur tym osobom, których to dotyczy, czyli tym, które urodziły się po 1 stycznia 1975 r. A podniesienie wieku uprawniającego do pełnej emerytury do 64 lat miało dotyczyć wszystkich.

MASOWE PROTESTY

Głównym założeniem reformy było to, że nowy system będzie obowiązywał wszystkich Francuzów. Jednak już pod koniec grudnia okazało się, że będzie inaczej. W tej chwili istnieją we Francji aż 42 odrębne systemy emerytalne, a niektóre zawody i branże sektora publicznego cieszą się takimi przywilejami, które trudno uzasadnić (np. korzystne reguły dla pracowników sektora energetyki).

Reagując na pierwszy ogólnokrajowy strajk ogłoszony na 5 grudnia, prezydent Francji stwierdził właśnie, iż jest to „protest przeciw zniesieniu reżimów specjalnych". Dzięki owym przywilejom motorniczy pociągów państwowych kolei SNCF mogą przejść na emeryturę już w wieku 50–52 lat, a personel pokładowy metra paryskiego może uczynić to samo w wieku 55–57 lat. Emerytalne przywileje ma dziś ok. 15 proc. aktywnych zawodowo Francuzów. I to oni przede wszystkim protestują. Przy czym należy podkreślić, że strajki te są dużo bardziej odczuwalne w aglomeracji paryskiej niż na prowincji.

Różnorakie systemy pochłaniają co roku ogromne środki. W 2019 r. państwo francuskie miało dopłacić 7,5 mld euro, aby pokryć strukturalny deficyt poszczególnych specjalnych reżimów emerytalnych. Do tych pieniędzy należy jeszcze doliczyć dotację budżetową na rzecz emerytur urzędników administracji państwowej i wojskowych – czyli ponad 25 mld euro w 2019 r. (wobec 14 mld spodziewanych składek). Zapowiedziane zniesienie przywilejów ma objąć m.in. także posłów i senatorów, a wśród innych „poszkodowanych" znajdują się m.in. pracownicy branży elektrycznej i gazowej, a także adwokaci, którzy też w tej sprawie strajkują i protestują. W przypadku adwokatów ich oddzielny system nie wymaga dopłaty, gdyż wypracowuje nadwyżkę. Natomiast o ile składka emerytalna adwokatów wynosi obecnie 14 proc. ich dochodów (do pewnego pułapu dochodowego), o tyle po reformie ma wynieść ponad 28 proc., podobnie jak w przypadku wszystkich innych osób pracujących.

Kolejna fala wielkich protestów zalała Francję 9 stycznia. W tym dniu na ulicach Francji protestowało między 0,5 mln ludzi (według szacunków francuskiego rządu) a 1,3 mln (według związków zawodowych). Strajkowano nie tylko w transporcie publicznym, lecz także w portach, w sektorze naftowym, w którym komunistyczny związek zawodowy CGT ogłosił czterodniową blokadę rafinerii (protest objął siedem francuskich rafinerii z ośmiu). Strajkowali i protestowali na ulicach urzędnicy administracji państwowej, strażacy, personel medyczny szpitali, nauczyciele, adwokaci, sędziowie, personel linii lotniczych Air France itp. W protestach brali także udział stojący zwykle po drugiej stronie barykady policjanci (tacy, którzy mieli dzień wolny, gdyż nie mają prawa do strajku), nie mówiąc już o tzw. żółtych kamizelkach.

Według sondażu opublikowanego w drugim tygodniu stycznia przez dziennik „Le Figaro" 61 proc. Francuzów uważa, że protesty i strajki są w obecnej sytuacji uzasadnione. Było to tylko 5 punktów procentowych mniej niż według tego samego sondażu z 19 grudnia ubiegłego roku, mimo że strajki w transporcie publicznym trwały przez cały okres świąt, co było dla wielu podróżujących w tym okresie bardzo uciążliwe. Podobny odsetek Francuzów (61 proc.) uważa, że rząd powinien zrezygnować z postulatu podniesienia wieku uprawniającego do pełnej emerytury. Natomiast według innego sondażu dla „Journal du Dimanche" opublikowanego w grudniu 65 proc. Francuzów zgadza się z ideą wprowadzenia uniwersalnego systemu punktowego, choć 60 proc. uważa, że należy pozostawić oddzielne systemy dla niektórych zawodów.

Problem nie polega zatem na tym, że Francuzi nie są w stanie zaakceptować żadnej reformy. Raczej jest to problem braku popularności prezydenta Macrona oraz licznych błędów popełnionych przez ekipę premiera Philippe'a. Ponadto rząd zraził do siebie największy związek zawodowy, CFDT, który w przeciwieństwie do CGT popierał wprowadzenie jednolitego systemu punktowego, ale pod warunkiem, że nie będzie mu towarzyszyło podniesienie wieku emerytalnego. Ponieważ wcześniejsze zapowiedzi prezydenta i rządu wykluczały podniesienie wieku emerytalnego, prezentacja założeń reformy na początku grudnia zaskoczyła związek CFDT i spowodowała, że przyłączył się on do trwającego od 5 grudnia protestu. W dniu zwołania kolejnych protestów przez największe centrale związkowe, 9 stycznia, rząd przekazał wstępny projekt ustawy związkowcom, który to projekt wciąż zawierał zapis o wieku 64 lat jako tym, który będzie uprawniał do pełnej emerytury. Jednakże już dwa dni później, po spotkaniu ze związkami zawodowymi, premier Philippe zapowiedział tymczasowe wycofanie się z zapisu o podniesieniu wieku emerytalnego, aby dać związkom czas na wypracowanie wraz z główną organizacją pracodawców MEDEF propozycji zastępczych, które będą jednak musiały zapewniać przyszłą równowagę finansową systemu przy utrzymaniu wysokości świadczeń emerytalnych i bez podnoszenia składek.

Choć w kolejny poniedziałek (13 stycznia) strajki wciąż trwały, już widoczna była mniejsza mobilizacja protestujących. Z pewną przesadą skomentował to przewodniczący senatu Gérard Larcher, należący do centroprawicowej opozycji: „Dzisiaj nie ma już powodu do strajku, gdyż nie ma już reformy".

Tak naprawdę reforma nie została zaniechana, ale nie wiadomo, co z niej pozostanie na początku lata, kiedy to francuski parlament ma głosować nad jej ostatecznym kształtem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Staję w obronie ośmiorniczek

Jak wiadomo, gdy ktoś podatki na coś jakimś cudem obniża, zazwyczaj na coś innego podnosi. Tym razem padło na owoce morza i ich przetwory. I to nie tylko na niemające w Polsce najlepszej prasy – szczególnie od czasu pamiętnej platformerskiej „afery taśmowej" – ośmiorniczki; nie tylko na wyszukane, „wielkopańskie" homary, langusty, ostrygi i kawior, lecz także na zwykłe, rzec by się chciało – „pospolite" kalmary, małże, kraby, a nawet na – tak, tak! – krewetki.

Podatek VAT na te wszystkie wspaniałości, gwarantujące rozkosz podniebieniu (wiem – nie według wszystkich, a o gustach nie ma co dyskutować) podskoczy już 1 kwietnia 2020 r. I to niemal o jedną piątą, bo o całe 18 punktów procentowych – z 5 do 23 proc. A wraz z tym ruszą w górę ceny owych smakołyków, co jeszcze bardziej wyda nas na pastwę innych znakomitych smaków – kotletów schabowych, golonek, pieczeni itp., itd. – albo – jeśli ktoś lubi – wegetariańskich czy wręcz wegańskich wynalazków.

Trzeba jednak zaznaczyć, że w ramach owego „porządkowania matrycy VAT" – jak nazywają to specjaliści – dokonano też obniżek stawek VAT na wiele rodzajów produktów. Ucieszą się więc rodzice, którzy będą mogli taniej kupować produkty potrzebne dzieciom – nie tylko żywnościowe, lecz także np. smoczki, pieluszki, foteliki samochodowe (VAT z 8 do 5 proc.). Powody do radości będą mieli także czytelnicy e-booków (VAT z 23 do 5 proc.), miłośnicy cytrusów, owoców tropikalnych i niektórych orzechów (VAT z 8 do 5 proc.) oraz pieczywa i wyrobów ciastkarskich (VAT do jednolitego dla wszystkich rodzajów produktów poziomu 5 proc.). I tak dalej, bo to nie koniec listy obniżek.

Wszelako w niczym nie zmienia to przecież faktu, że podniesiono – i to do maksimum – stawkę VAT na owoce morza, które oprócz swoich wyjątkowych walorów smakowych (wiem – z mojego punktu widzenia), są też źródłem ważnych dla utrzymania zdrowia kwasów omega-3, choć – to prawda – w nieco mniejszym stopniu niż ryby. I które w dodatku wciąż nie goszczą na polskich stołach tak często, jak gościć mogłyby i powinny. No i które pewnie teraz już na nich częściej nie zagoszczą. Najedzmy się ich więc – ci, którzy je lubią tak jak ja – do końca marca na zapas.

I przy okazji dajmy sobie wreszcie raz na zawsze spokój z marzeniami o radykalnym uproszczeniu podatku VAT, polegającym na ustanowieniu jednej dla wszystkich towarów i usług stawki VAT – na dużo niższym poziomie niż maksymalna – 23 proc. i na możliwie jak najmniej wyższym niż najniższa – 5 proc.

A zatem: ośmiorniczki – raz! ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Patologie algokracji

Gwałtowny i niekontrolowany rozwój sztucznej inteligencji (SI) doprowadził do wielu patologii, a mimo to te zjawiska bardzo rzadko są obecne w dyskursie publicznym. Uważam, że jednym z zadań naukowców zaangażowanych w rozwój SI jest udział w debacie nad zagrożeniami, jakie może przynieść stworzenie algokracji – systemu, w którym ludźmi rządzą algorytmy komputerowe. Opiszę jedno z tych zagrożeń.

Obserwujemy narastającą dyskryminację. Wyszukanie przez zdjęcia Google hasła „loving grandmother" (kochająca babcia) pokazuje stronę, na której są tylko białe kobiety w starszym wieku. Tak jakby w Afryce lub Azji nie istniały kochające babcie. Z kolei jeśli wpiszemy hasło „gang members" (członkowie gangu), to wyszukiwarka wyświetli tylko kolorowych przestępców, jakby biali nie istnieli. Jeżeli kobieta googluje w poszukiwaniu nowej pracy, to algorytm wyświetla jej oferty, w których proponowane wynagrodzenie jest znacznie niższe, niż gdy googluje mężczyzna.

Algorytmy wspierające wyroki sądowe w USA serwują bardziej surowe wyroki kolorowym oskarżonym niż białym za te same przestępstwa. A podczas rekrutacji algorytmy dokonują selekcji często w sposób dyskryminujący dane grupy osób. O ile dyskryminacja ze względu na przekonania lub grupę etniczną jest prawnie zakazana, o tyle te samouczące się algorytmy korzystają z danych, które pośrednio reprezentują dane grupy, takich jak miejsce zamieszkania albo profile znajomych danej osoby na Facebooku.

W przyszłości prawdopodobnie ta dyskryminacja jeszcze się nasili i przyjmie formę znaną z filmu „Raport mniejszości", gdy człowiek, który nic złego nie zrobił, będzie dyskryminowany tylko dlatego, że w jego śladzie cyfrowym można będzie znaleźć podobieństwa do cech, które występowały w grupie osób o podwyższonym ryzyku. Te podobieństwa mogą dotyczyć rodzaju preferowanej muzyki, danych lokalizacyjnych czy kupowanych towarów i usług.

Co więcej, ta dyskryminacja może bazować nie tylko na cechach, które można zrozumieć, lecz także na skomplikowanych powiązaniach między tymi cechami, które przyjmują formę czarnego pudełka. Czyli nie dowiesz się, dlaczego jesteś persona non grata w świecie rządzonym przez algorytmy.

Już niedługo smart TV lub inteligentna lodówka będą zasilały bazy danych, których analizą zajmą się algorytmy – czy tego chcemy, czy nie. Już dzisiaj dzieje się tak za sprawą smartfonów, które mamy przy sobie przez większość dnia i nocy. Wczoraj najważniejsze numery identyfikacyjne, czyli NIP i PESEL, mówiły niewiele o danej osobie, poza datą urodzenia czy płcią. Jutro unikalny ślad cyfrowy będzie kodował całą naszą aktywność, a naszym życiem będą sterowały algorytmy. ©℗

Autor pełni funkcje Chief Ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 1425b3815a

DLA SZYBKICH I... BOGATYCH

Niskie, twarde i sztywne zawieszenie, niezwykłe osiągi oraz dobiegające spod maski zadziorne brzmienie silnika – to główne cechy modeli BMW oznaczonych literką „M", przeznaczonych dla tych, którzy potrafią sporo dopłacić, aby mieć prawdziwą radość z jazdy. I chociaż pierwsze SUV-y do gamy modeli z prestiżowej serii zostały włączone już ponad dziesięć lat temu, to dopiero niedawno do dużych X5 i X6 M dołączył mniejszy X4 M. Opcją jeszcze bardziej drapieżną jest zaś BMW X4 M Competition: ma o 30 koni mechanicznych więcej niż X4 M (w sumie kierowca ma do dyspozycji aż 510 koni mechanicznych oraz potężny moment obrotowy wynoszący 600 Nm).

Pod maską jednego z najszybszych SUV-ów na rynku pracuje 6-cylindrowy silnik benzynowy M TwinPower Turbo o pojemności 3 l, który współpracuje z ośmiostopniową skrzynią M Steptronic oraz napędem xDrive. Dzięki takiemu zestawowi ważące niemal dwie tony BMW X4 M Competition od zera do pierwszej setki rozpędza się oficjalnie w 4,1 s (Mercedes GLC 63 4MATIC+ potrzebuje na osiągnięcie pierwszej setki równe 4 s, ale za to X4 M Competition jest lepsze od GLC w wyścigu od zera do 160 km/godz.). Rozpędzenie BMW X4 M Competition od zera do 200 km/godz. zajmuje zaś 16,1 s. Prędkość maksymalna została elektronicznie ograniczona do 250 km/godz. (za opłatą limit ten można podnieść do 280 km/godz.).

Żeby auto mogło sprawnie poruszać się nie tylko po autostradach, lecz także po torach wyścigowych, niemieccy projektanci zastosowali m.in. dwie turbosprężarki, zoptymalizowany wlot powietrza, chłodzenie powietrza doładowującego oraz lekki zespół korbowy. Kierowca może też liczyć na precyzyjny układ kierowniczy. Dobre, wentylowane hamulce pozwalają zaś szybko – i w kontrolowany sposób – zatrzymać auto. Ceną za sportowe emocje jest bardzo sztywne zawieszenie, które może mocno „utwardzać" codzienne dojazdy do pracy. Usportowionym SUV-em o wyglądzie coupé lepiej więc unikać dziur w jezdni czy „leżących policjantów".

Ekskluzywną odmianę M Competition od zwykłego X4 odróżnia sporo charakterystycznych elementów zarówno na zewnątrz (frezowane 21-calowe obręcze kół ze stopów lekkich w czarnym kolorze, czarna atrapa chłodnicy i lusterka zewnętrzne oraz chromowane na czarno końcówki rur wydechowych), jak i w kabinie (sportowe fotele ze skóry Merino ozdobione podświetlanym logo M oraz emblemat na konsoli środkowej).

Niestety wrażenie robi również cena auta. Za BMW X4 M Competition trzeba zapłacić co najmniej 525 tys. zł. ©℗

OSŁONA PRZECIWSŁONECZNA NOWEJ GENERACJI

Virtual Visor. Tak nazywa się wynalazek firmy Bosch, który ma zastąpić przestarzałe osłony przeciwsłoneczne. W przeciwieństwie do tradycyjnego rozwiązania Virtual Visor to elektroniczny panel LCD, podzielony na niewielkie sześciokąty. Kamery skierowane na twarz wykrywają położenie oczu i nosa, a następnie przyciemniają jedynie te fragmenty, które są potrzebne, aby kierowcy nie oślepiało słońce. Dzięki temu e-daszek nie ogranicza tak bardzo pola widzenia jak tradycyjna osłona przeciwsłoneczna. Niestety, na razie nie wiadomo, kiedy wynalazek zostanie wprowadzony do produkcji ani ile będzie kosztował. Pomysł może chwycić, bo co roku „sprawcą" tysięcy wypadków na świecie jest właśnie oślepiające słońce.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

VOLKSWAGEN POLSKA UKARANY

Aż 120,6 mln zł kary ma zapłacić Volkswagen Polska za wprowadzanie w błąd klientów w kwestii poziomu emisji spalin – takie zarządzenie wydał prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Polski UOKiK jest kolejnym organem ochrony konsumentów w Europie, który wydał decyzję w tej sprawie. Oszustwo polegało na manipulowaniu wskaźnikami emisji spalin. Prezes UOKiK Marek Niechciał tłumaczył, że rekordowo wysoka kara wynika m.in. ze skali oszustwa i liczby klientów, którzy padli jego ofiarą. Rozstrzygnięcie urzędu nie jest prawomocne. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

debata DO RZECZY

Od lewej: dr n. med. Jakub Gierczyński, dr Krzysztof Górski, prezes AOTMiT dr n. med. Roman Topór-Mądry, dr n. med. Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld, wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski, prof. Małgorzata Myśliwiec, prof. Piotr Rutkowski, prof. Marek Brzosko, dr hab. n. med. Anna Potulska-Chromik FOT. IWO JABŁOŃSKI/PROFESJONALNA.TV

Rok sukcesów, rok nadziei

Katarzyna Pinkosz

Czy w Polsce leczymy tak jak w Europie, czy doganiamy standardy i jakie są największe wyzwania na 2020 r. – zastanawiali się eksperci podczas debaty „Do Rzeczy" z cyklu „Wizjonerzy zdrowia"

Nigdy jeszcze żaden minister nie był tak chwalony podczas debat „Do Rzeczy" jak wiceminister Maciej Miłkowski podczas styczniowej debaty podsumowującej 2019 r. Dostał pochwały za refundację nowych leków, m.in. w diabetologii, onkologii, hematologii, reumatologii, neurologii, gastroenterologii oraz chorobach rzadkich. Rok 2019 w tych dziedzinach był rokiem sukcesów, ale też nadziei, że kolejny będzie jeszcze lepszy.

– To był kolejny dobry rok, jeśli chodzi o poprawę dostępności Polaków do nowoczesnego leczenia, zarówno pod względem poprawy standardu opieki, jak i dostępu do nowoczesnych terapii. O standardach europejskich terapii nie mówimy już jako o czymś dalekim; w wielu przypadkach przybliżamy się do nich albo je realizujemy – mówił dr n. med. Jakub Gierczyński, ekspert od systemu ochrony zdrowia. Zaznaczył, że według raportu IQVIA nastąpiła istotna poprawa, jeśli chodzi o dostęp do leków refundowanych: liczba nowych leków wprowadzonych do refundacji w 2019 r. była najwyższa od pięciu lat. W ramach programów lekowych udostępniono 37 produktów (jako nowe substancje czynne lub nowe wskazania refundacyjne), co oznacza wzrost o blisko 25 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Podczas debaty skupiliśmy się na trzech głównych obszarach, w których najwięcej zmieniło się w 2019 r.: diabetologii, onkologii i chorobach rzadkich.

NAJPIERW OCENA, POTEM DECYZJA

Żeby lek stał się refundowany, musi być nie tylko zarejestrowany przez Europejską Agencję Leków

eprasa.pl 1425b3815a

(EMA), lecz także zostać zaopiniowany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Z roku na rok ocenia ona coraz więcej leków i technologii medycznych. – W 2018 r. ocenialiśmy 70 leków do refundacji, w 2019 r. – 90, wydaliśmy też 130 rekomendacji w ramach tzw. ratunkowego dostępu do technologii medycznych (RDTL), gdzie decyzje muszą być podejmowane szybko, gdyż to leki ratujące życie. Cieszymy się, jeśli dzięki naszym działaniom pacjenci mają coraz lepszy dostęp do leczenia – mówił prezes, dr n. med. Roman Topór-Mądry.

AOTMiT opiera swoje oceny na dowodach z badań klinicznych, zawsze jednak wspiera się opiniami klinicystów. W analizie ekonomicznej ocenia też, jak wygląda korzyść, którą można zapewnić pacjentom dzięki wprowadzeniu danej technologii medycznej, w stosunku do jej kosztów. Finansowanie rosnących kosztów leczenia jest wyzwaniem globalnym, taka metoda oceny technologii medycznych jest wykorzystywana przez wszystkie kraje europejskie i wiele krajów świata (nawet najbogatszych, np. Japonię, Kanadę czy Singapur). – Zdarza się, że leki (m.in. w chorobach rzadkich) mają niedostateczne dowody naukowe lub jest ich zbyt mało, dlatego cieszymy się, że Agencja Badań Medycznych (ABM) będzie mogła podjąć badania kliniczne, w oparciu o które będziemy mogli wystawić opinię – mówił prezes Roman Topór-Mądry.

Głównym zadaniem ABM, która powstała w 2019 r., jest zwiększenie liczby badań klinicznych prowadzonych w Polsce. Chodzi zarówno o badania sponsorowane przez firmy farmaceutyczne (dzięki temu pacjenci mogą korzystać z najnowocześniejszych leków jeszcze przed ich rejestracją), jak i badania niekomercyjne inicjowane przez lekarzy klinicystów albo uczelnie. – Badań klinicznych prowadzonych w Polsce jest coraz więcej, co cieszy, jednak będziemy starać się jeszcze bardziej ułatwiać ich przeprowadzanie. Będziemy też inicjować badania kliniczne, które mają na celu zmianę schematów leczenia, a także badania porównujące różne terapie, których zwykle nie przeprowadzają firmy farmaceutyczne – mówił dr Krzysztof Górski, dyrektor ds. naukowych ABM. Już pierwszy konkurs, ogłoszony przez ABM, do którego zgłoszone wnioski opiewały na sumę ponad 10 razy wyższą niż suma pieniędzy przeznaczona na pierwszy konkurs, pokazał, jak bardzo w Polsce ABM i niekomercyjne badania kliniczne są potrzebne. W kolejnych latach będą mogły również dostarczać dowodów, czy dany lek warto w Polsce refundować.

Ostateczną decyzję, czy lek powinien być refundowany, podejmuje minister zdrowia po negocjacjach cenowych z firmami farmaceutycznymi. – Nad każdą decyzją długo się zastanawiamy, spotykamy się z ekspertami, z firmami. Patrzymy nie tylko na koszt terapii, ale też na koszty pośrednie, po stronie ZUS, gospodarki. Zwracamy uwagę, czy dzięki zastosowaniu nowej terapii zmniejszą się np. koszty pośrednie. Zawsze przy podejmowaniu decyzji refundacyjnych kierujemy się nie tylko ceną, ale też zwracamy uwagę na to, jakie są jeszcze dodatkowe korzyści z zastosowania nowej terapii – zapewnił wiceminister Maciej Miłkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Jakub Gierczyński
ekspert systemu ochrony zdrowia

W Polsce staramy się jednocześnie poprawiać model opieki nad pacjentami i dostęp do nowych technologii medycznych. Jeśli chodzi o decyzje refundacyjne w 2019 r., to w raku piersi zrefundowano dwie ważne opcje terapeutyczne, w raku płuca pojawiły się trzy nowe terapie, a w zaawansowanym raku jelita grubego – jedna. Mamy też nowy lek w nowotworach głowy i szyi. Dużo nowych cząsteczek pojawiło się w hematoonkologii: dla chorych na przewlekłą białaczkę limfocytową, szpiczaka plazmocytowego, ostrą białaczkę limfoblastyczną oraz ostrą białaczkę promielocytową. Rewolucja dokonała się w terapii cukrzycy: weszły analogi insuliny (długo działające i szybko działające), a także flozyny (trzy preparaty), systemy do monitorowania glikemii poprzez skanowanie dla dzieci od 4. do 18. roku życia oraz opatrunki oczyszczające rany w zespole stopy cukrzycowej. W chorobach układu oddechowego zrefundowano lek na ciężką astmę i pierwszą wziewną terapię trójlekową w POChP. W kardiologii wprowadzono do refundacji nowy lek obniżający poziom cholesterolu oraz dwa leki złożone. Zrefundowano również lek zapobiegający infekcji wirusem RS u dzieci z wadami serca.

Rok 2019 był przełomowy w chorobach rzadkich: zrefundowany został lek w rdzeniowym zaniku mięśni (SMA), dwa leki w chorobie Fabry'ego, rekombinowany ludzki czynnik krzepnięcia dla dzieci z hemofilią A i B oraz opatrunki medyczne w EB (pęcherzowe oddzielanie się naskórka). Kolejne dwa nowe leki weszły do refundacji w stwardnieniu rozsianym: chorzy mają dziś dostęp do wszystkich opcji terapeutycznych zalecanych przez standardy europejskie. Zrefundowany został kolejny lek dla chorych na padaczkę. Pojawiły się też dwie nowe terapie dla chorych z chorobą Leśniowskiego-Crohna, jedna dla chorych na łuszczycę oraz dwa nowe leki w reumatoidalnym zapaleniu stawów. Poszerzono wskazania refundacyjne dla leku w osteoporozie. Pojawiła się nowa opcja terapii w okulistyce.

Wyzwania na 2020 r. to zwiększenie budżetu NFZ na refundację nowych technologii medycznych, dynamiczne wprowadzanie na listy refundacyjne kolejnych terapii lekowych i wyrobów medycznych oraz zmniejszenie restrykcyjności kryteriów refundacyjnych.

eprasa.pl 1425b3815a

debata DO RZECZY

Cukrzyca: przełomowy rok

2019 to nie był dobry rok, jeśli chodzi o leczenie cukrzycy w Polsce, to był rok... bardzo dobry. Nastąpił przełom – mówiła prof. Małgorzata Myśliwiec podczas debaty „Do Rzeczy". Nigdy tak wiele nie wydarzyło się w tak krótkim czasie dla chorych na cukrzycę

Przed 2019 r. o cukrzycy w Polsce mówiło się jako o zapomnianym priorytecie. Źle leczona choroba powoduje poważne powikłania, prowadzi m.in. do zawałów i niewydolności serca, udarów mózgu, niewydolności nerek, zespołu stopy cukrzycowej i konieczności amputacji nogi, problemów z widzeniem, jednak do niedawna w Polsce nie refundowano żadnego z nowoczesnych leków przeciwcukrzycowych w cukrzycy typu 2. Eksperci często zwracali uwagę, że stosunkowo dobrze leczona jest w Polsce cukrzyca typu 1, natomiast w cukrzycy typu 2 odstajemy od świata. W 2019 r. tyle się wydarzyło, jeśli chodzi o cukrzycę, że nazwano to wręcz przewrotem kopernikańskim.

„JEDYNKA" TO JUŻ ŚWIATOWY STANDARD

– Wiemy, że chorzy z cukrzycą typu 1 rozpoznaną w dzieciństwie mogą mieć najpoważniejsze powikłania, ponieważ czas trwania choroby jest u nich bardzo długi. Dlatego najważniejsze, by tę populację leczyć nie średnio czy dobrze, tylko bardzo dobrze. I takie mamy dziś możliwości dzięki decyzjom podjętym przez pana wiceministra Macieja Miłkowskiego. Nasi pacjenci pediatryczni są leczeni najlepiej w Europie, wyniki leczenia mamy lepsze niż w USA! Jeszcze niedawno 80 proc. czasu w ciągu doby nasi pacjenci mieli nieprawidłowe poziomy cukru we krwi (hiperglikemię lub hipoglikemię), dziś dzięki dostępowi do nowych technologii dozujących insulinę i monitorujących glikemię 70 proc. czasu spędzają w tzw. normoglikemii – przekonywała prof. Małgorzata Myśliwiec, kierująca Katedrą i Kliniką Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Na uzyskanie tak dobrego wyrównania cukrzycy składa się wcześniejsza refundacja osobistych pomp insulinowych oraz systemu do ciągłego monitorowania glikemii sprzężonego z pompą insulinową. W październiku 2019 r. wprowadzono też refundację elektrod do monitorowania glikemii za pomocą skanowania dla dzieci i młodzieży z cukrzycą typu 1 od czwartego do 18. roku życia. W sposób dyskretny pacjenci i opiekunowie młodszych dzieci mogą szybko zmierzyć poziom cukru we krwi.

REWOLUCJA W „DWÓJCE"

Największym przełomem było wprowadzenie w 2019 r. do refundacji flozyn (trzy leki), a od stycznia 2020 r. leków inkretynowych. Te dwie grupy leków zmniejszają liczbę powikłań, zwłaszcza sercowo-naczyniowych i nerkowych, zawałów serca, udarów mózgu, przypadków niewydolności nerek. – Wprowadzenie tych dwóch leków spowoduje, że jakość życia pacjentów będzie znacznie lepsza, spadnie liczba powikłań naczyniowych, incydentów sercowo-naczyniowych, liczba hospitalizacji, nieobecności w pracy, rent inwalidzkich. To ogromny przeskok w diabetologii – mówiła prof. Małgorzata Myśliwiec. O przełomowym charakterze tych leków świadczy m.in. to, że w charakterystyce produktu leczniczego dwóch leków (empagliflozyny i liraglutydu – leku inkretynowego) zaznaczono nawet, że są to leki wydłużające życie, co zdarza się wyjątkowo.

Obie grupy leków w Polsce na receptę ze zniżką mogą na razie otrzymać chorzy na cukrzycę typu 2, którzy spełniają określone kryteria: poziom wyrównania metabolicznego mierzony HbA1c jest u nich powyżej 8 proc., pomimo stosowania dwóch doustnych leków przeciwcukrzycowych, oraz są po incydentach sercowo-naczyniowych. W przypadku refundowanych od stycznia 2020 r. leków inkretynowych dodatkowym kryterium jest BMI równe lub wyższe niż 35, mają one bowiem dodatkowe właściwości silnie obniżające masę ciała, co jest bardzo istotne, gdyż większość osób z cukrzycą ma nadwagę lub otyłość. W odróżnieniu od insulin, których stosowanie u chorych na cukrzycę często powoduje wzrost masy ciała, stosowanie flozyn i inkretyn powoduje spadek masy ciała. Jest on szczególnie duży w przypadku stosowania leków inkretynowych (ta sama substancja czynna co w liraglutydzie, tylko w większej dawce, jest już zarejestrowana w leczeniu otyłości).

– Tak wiele w cukrzycy udało się zmienić dzięki bardzo dobrej współpracy z diabetologami i firmami farmaceutycznymi. Jeśli chodzi o dzieci oraz młodzież, to muszą one być najlepiej leczone, dlatego mamy nieco inne standardy dla populacji pediatrycznej i dla dorosłych w cukrzycy typu 1. Cieszę się też bardzo z refundacji flozyn i inkretyn. Była to bardzo ważna decyzja, trudna kosztowo ze względu na dużą grupę pacjentów. Przy obecnych

Oczekiwania w diabetologii:

- Rozszerzenie refundacji osobistych pomp insulinowych i systemów monitorowania poziomu glikemii dla osób dorosłych.
- Refundacja insuliny ultraszybko długo działającej.
- Rozszerzenie refundacji flozyn i inkretyn.
- Poprawa leczenia zespołu stopy cukrzycowej.
- Wprowadzenie porady edukacyjnej.

eprasa.pl 1425b3815a

wskazaniach jest to ok. 200 tys. osób. Już w pierwszych dwóch miesiącach ponad 23 tys. chorych zaczęło korzystać z flozyn. Efekty są znakomite, tak więc efekty kliniczne wprowadzenia tych leków do refundacji będą bardzo korzystne – zapewniał wiceminister Maciej Miłkowski.

PLANY NA 2020

– Będę namawiała pana ministra do rozszerzenia refundacji osobistych pomp insulinowych i systemów do monitorowania glikemii także dla pacjentów dorosłych. Możemy uzyskać u pacjentów normoglikemię, czyli zapobiec powikłaniom. Ważna byłaby też refundacja analogu ultraszybko działającej insuliny, która zapobiega epizodom hiperglikemii bezpośrednio po posiłku i hipoglikemii w okresie późniejszym. Profil farmakokinetyczny jej działania jest niemal taki jak insuliny wydzielanej przez zdrowe komórki beta trzustki, to szczególnie idealna insulina do osobistych pomp insulinowych – mówiła prof. Myśliwiec.

Ultraszybko działającą insulinę Fiasp można stosować do dwóch minut przed posiłkiem i do 20 minut po jego spożyciu, co powoduje, że pacjent nie musi czekać po podaniu insuliny, może od razu spożywać posiłek. W przypadku małych dzieci czy osób starszych, gdy nie można przewidzieć, ile zjedzą, można podać insulinę nawet po posiłku. Tę insulinę mogą stosować zarówno osoby używające pomp insulinowych, jak i podające ją penem.

W cukrzycy typu 2 eksperci liczą na rozszerzenie grup leczonych flozynami i inkretynami. Amerykańskie, europejskie i Polskie Towarzystwo Diabetologiczne zalecają indywidualizację terapii i stosowanie tych leków, gdy pierwszy lek (metformina) przestaje być wystarczający, a pacjent ma ryzyko sercowo-naczyniowe.

Profesor Małgorzata Myśliwiec podkreślała też, jak ważne jest, aby pacjenci byli dobrze wyedukowani i stosowali się do terapii. Wiceminister Maciej Miłkowski zaznaczył, że od stycznia jest już możliwość porady pielęgniarskiej, także porady diabetologicznej. Zaznaczył również, że trzeba poprawić program leczenia stopy cukrzycowej, co może zapobiec konieczności amputacji. – Do tego jest potrzebna jednak lepsza wycena opieki nad chorymi, refundacja opatrunków, lepsza opieka pielęgniarsko-lekarska nad pacjentem i stosowanie się pacjenta do zaleceń. Będziemy nad leczeniem cukrzycy mocno pracować w 2020 r. – obiecał minister Miłkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Nadzieja dla onkologii

– Niedawno „The New York Times" napisał, że w ciągu ostatniego roku w USA nastąpił największy w historii spadek umieralności z powodu nowotworów. Przypisuje się to głównie wprowadzeniu nowych terapii, zwłaszcza immunoterapii w raku płuca i czerniaku. W Polsce za rok czy dwa lata będziemy mieć ten sam efekt – zapewnił prof. Piotr Rutkowski

Zdaniem prof. Piotra Rutkowskiego, kierownika Kliniki Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie, rok 2019 był rokiem pozytywnych zmian w onkologii, na co złożyły się m.in.: pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej, powstawanie Breast Cancer Units (ośrodków kompleksowego leczenia raka piersi), prace nad tworzeniem kolejnych ośrodków kompleksowego leczenia (w raku jelita grubego, raku płuca), jak również pozytywne decyzje refundacyjne dotyczące trzech nowotworów o największej śmiertelności: raka płuca, piersi oraz jelita grubego. Bardzo poprawił się też dostęp do nowych terapii w nowotworach krwi. Wciąż jednak jeszcze chorzy onkologicznie czekają na nowe terapie, mając nadzieję, że staną się dostępne w 2020 r.

SKOK W RAKU PIERSI

Rak piersi to pierwszy pod względem liczby zachorowań nowotwór wśród kobiet: co roku taką diagnozę słyszy w Polsce ponad 17 tys. kobiet. – Większość może być całkowicie wyleczona, ale nasze wyniki leczenia odbiegają jednak od wyników w krajach zachodniej Europy. Jednak 2019 r. w leczeniu raka piersi to rok dużych sukcesów – przekonywała dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld z Kliniki Nowotworów Piersi i Chirurgii Rekonstrukcyjnej Narodowego Instytutu Onkologii.

Pierwszy sukces to rozporządzenie ministra zdrowia zmieniające organizację leczenia: zgodnie z nim pacjentki mają być leczone w Breast Cancer Units, gdzie będą zapewnione kompleksowa diagnostyka, leczenie i rehabilitacja. W ośrodkach będą przyjmować lekarze różnych specjalności, m.in. onkolodzy, chirurdzy onkologiczni, specjaliści chemioterapii, radioterapii, psycholodzy kliniczni i rehabilitanci.

Drugim sukcesem jest poprawa dostępu do nowoczesnego leczenia. – Zyskaliśmy dostęp do leczenia przedoperacyjnego wczesnego raka piersi HER2 dodatniego tzw. podwójną blokadą. Dzięki temu o ok. 15 proc. więcej kobiet z HER2 dodatnim rakiem piersi będzie całkowicie wyleczonych. Mamy też refundację inhibitorów CDK4/6, co jest przełomowe; z takiego leczenia może skorzystać nawet 80 proc. chorych na rozsianego raka piersi. Możemy je długotrwale leczyć, uzyskując stabilizację choroby nowotworowej. Przedłużamy życie i zdecydowanie poprawiamy jego jakość w stosunku do leczenia chemioterapią – przekonywała dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld.

W styczniu 2020 r. w refundacji pojawił się kolejny nowy ważny lek: kadcyla, nazywany „koniem trojańskim". Zawiera on dwie cząsteczki: trastuzumab i emtazynę, czyli cytostatyk. Zaczyna ona działać dopiero wtedy, gdy dostanie się do komórki nowotworowej, dzięki czemu ten silny lek może być zastosowany.

eprasa.pl 1425b3815a

– Cieszymy się z możliwości zastosowania tego leku, jest on przeznaczony dla chorych z HER pozytywnym rakiem piersi, które miały szczególnie złe rokowanie. Na dziś pod względem dostępu do nowych terapii nie odbiegamy od standardów europejskich – podsumowała dr Jagiełło-Gruszfeld.

Dobrą wiadomością dla pacjentek jest to, że wciąż pojawiają się nowe opcje leczenia. W grudniu 2019 r. Europejska Agencja Leków zarejestrowała kadcylę w nowym wskazaniu: leczenia wczesnego raka piersi HER2 dodatniego. – Dzięki zastosowaniu tego leczenia mamy szansę dla kolejnej grupy chorych na całkowite wyleczenie, co jest ogromnym sukcesem. Drugim ważnym lekiem, który został zarejestrowany w grudniu 2019 r. przez EMA, jest immunoterapia (atezolizumab) w leczeniu rozsianego trójnegatywnego raka piersi. Ogromnie cieszy pojawienie się tego leku, gdyż ten podtyp nowotworu szczególnie źle rokuje – dodała dr Jagiełło-Gruszfeld.

CZAS NA ZMIANY W CZERNIAKU

Jeszcze kilka lat temu chorzy z przerzutowym czerniakiem żyli kilka miesięcy; obecnie dzięki nowoczesnemu leczeniu – nawet kilka lat i dłużej. Przełom jest związany z dwiema grupami leków, które wprowadzono do leczenia. Pierwsza to terapie ukierunkowane molekularnie, druga – immunoterapia, czyli leczenie wspomagające układ odpornościowy. Jej zastosowanie właśnie w tym nowotworze daje znakomite wyniki.

– Kolejny przełom w leczeniu czerniaka to stosowanie immunoterapii i leczenia ukierunkowanego u chorych, którzy nie mają choroby uogólnionej, tylko przerzuty do węzłów chłonnych lub tkanki podskórnej, które zostały chirurgicznie usunięte. Podawanie leczenia uzupełniającego przez rok powoduje zmniejszenie nawrotów choroby u ok. 20 proc. pacjentów, czyli co piąty chory jest dodatkowo wyleczony – mówił prof. Piotr Rutkowski. W Polsce na razie takie leczenie można stosować tylko w procedurze RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych). To jednak skomplikowane, ponieważ dla każdego chorego co trzy miesiące trzeba wypełnić wniosek, wysłać do ministerstwa, musi on zostać zaopiniowany przez AOTMiT. Chory czeka na zgodę. – Lepiej by było mieć możliwość stosowania tej opcji w programie lekowym, takie leczenie zostało już pozytywnie zaopiniowane przez AOTMiT, a wszystkie wyniki pokazują, że jest też efektywne kosztowo – mówił prof. Rutkowski.

Zaznaczył, że dzięki zmianom w programie lekowym Polska ma szansę mieć najlepszy program lekowy i najlepszą dostępność w leczeniu czerniaka w całej Europie, co szybko przełoży się na więcej uratowanych chorych i poprawę wyników leczenia. – Druga rzecz, na którą czekamy, to możliwość zastosowania podwójnej immunoterapii u chorych z przerzutowym czerniakiem. Daje to szansę na kontrolowanie choroby, a być może wręcz na wyleczenie przerzutowego czerniaka – zaznaczył prof. Rutkowski. Ma nadzieję, że program lekowy, w którym znajdą się te zmiany, wejdzie w życie w najbliższych dwóch miesiącach.

Wiceminister Maciej Miłkowski zapewnił, że cały czas toczą się prace nad zmianami w programie leczenia czerniaka. – Już dziś mamy w Polsce bardzo dobre leczenie, teraz rozmawiamy o leczeniu na poziomie światowym. Chcielibyśmy cały program leczenia czerniaka tak ułożyć, by klinicznie przyniosło to jak największe zyski dla pacjentów – mówił wiceminister.

STRATEGIA NA RAKA

Przełomem w leczeniu nowotworów w Polsce ma stać się Narodowa Strategia Onkologiczna, która obecnie czeka na akceptację Rady Ministrów. Zgodnie z jej zapisami do 2030 r. w Polsce ma być refundowanych ok. 90 proc. terapii dostępnych dla pacjentów w Europie (dziś jest to ok. 70 proc.). Strategia mocno też stawia na profilaktykę i wczesne wykrywanie nowotworów, co zwiększa szansę na wyleczenie. W ramach profilaktyki raka szyjki macicy mają być refundowane szczepienia przeciw HPV (wirusowi brodawczaka ludzkiego).

Poprawę wyników leczenia ma też przynieść wprowadzenie w całej Polsce Krajowej Sieci Onkologicznej. Dzięki niej każdy chory będzie leczony według takich samych standardów. Ważna jest też zmiana w organizacji leczenia, by np. operacje chirurgiczne były wykonywane tylko w ośrodkach specjalizujących się w leczeniu operacyjnym danego nowotworu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jest już znanych 7–8 tys. chorób rzadkich, z których zaledwie 3 proc. ma leczenie przyczynowe. Niektóre leki okazały się wręcz przełomowe

Większość chorób rzadkich to choroby genetyczne, diagnozowane w dzieciństwie, choć zdarza się też, że choroba ujawnia się dopiero kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat później. W ostatnich latach pojawia się coraz więcej badań klinicznych w chorobach, które do niedawna nie dawały nadziei. Pojawiają się też nowe terapie skuteczne w chorobach, w których do tej pory nie było żadnego leczenia.

CZY DUCHENNE POWTÓRZY SUKCES SMA?

Od stycznia 2019 r. wszyscy chorzy na SMA (rdzeniowy zanik mięśni) w Polsce mogą być leczeni nowym lekiem, niezależnie od wieku, podtypu choroby i stopnia jej zaawansowania. To jeden z największych sukcesów roku, gdyż lek jest bardzo skuteczny. – Obecnie w Polsce nie ma dziecka, które czekałoby na leczenie dłużej niż kilka tygodni, a noworodek czasem dostaje lek nawet w ciągu tygodnia. To ważne, ponieważ im szybciej zastosuje się leczenie, tym jest ono skuteczniejsze. Szczególnie w typie 1 SMA, w przypadku którego mięśnie są tak słabe, że dziecko nigdy nie zaczyna chodzić. Stopniowo traci umiejętności ruchowe, słabną także mięśnie oddechowe – wyjaśniała dr hab. Anna Potulska-Chromik z Kliniki Neurologii WUM. Szybko też można zauważyć działanie leku.

Dużo trudniej zauważyć skuteczność leczenia w chorobie, która postępuje powoli, a również uszkadza mięśnie, np. w dystrofii mięśniowej Duchenne'a. Choroba rozwija się wolno, ale zwykle już po 10. roku życia większość dzieci ma poważne zaburzenia chodu, potem w ciągu kilku lat przestaje samodzielnie chodzić. W drugiej dekadzie życia zaczynają się także problemy oddechowe i może rozwinąć się kardiomiopatia. – Dystrofia mięśniowa postępuje powoli, stąd trudno oczekiwać szybkich efektów leczenia. Jednak na podstawie rejestrów europejskich, gdzie dzieci już są leczone od lat, widać, że im wcześniej włączymy terapię, tym większa szansa, że pacjent będzie dłużej chodzić, a zatem dłużej będzie sprawny, dłużej będzie

eprasa.pl 1425b3815a

mógł samodzielnie oddychać – mówiła dr hab. Anna Potulska-Chromik.

Jak dotąd EMA zarejestrowała tylko jeden lek w dystrofii mięśniowej Duchenne'a. Mogłoby go przyjmować ok. 13 proc. chorych z tzw. mutacją nonsensowną. Lek nie cofa choroby, ale hamuje jej postęp, co w przypadku schorzeń, które przebiegają w tak ciężki sposób, jest ogromnym sukcesem. Pozwala wydłużyć okres sprawności i przedłużyć życie. – Mam ośmiu pacjentów, którzy otrzymują lek w ramach badania klinicznego oraz charytatywnie od firmy. Trzech z nich jest sprawnych i chodzi, mimo że mają naście lat (>13). Nastolatki z dystrofią Duchenne'a, które chodzą samodzielnie, to rzadkość. Na pewno jest to lek, który daje nadzieję – mówiła dr hab. Potulska-Chromik. Tłumaczyła, że najlepsze efekty miałoby zastosowanie leczenia jak najwcześniej, jednak firmie trudno wykonać badania u dzieci młodszych niż pięcioletnie, gdyż nie współpracują jeszcze przy wykonywaniu testów pozwalających ocenić skuteczność leczenia, takich jak 6-minutowy testu chodu.

W Polsce na dystrofię Duchenne'a choruje ok. 400–500 pacjentów, z czego do leczenia kwalifikowałoby się ok. 20–30 dzieci. Lek nie jest jeszcze w Polsce refundowany. Refundacje leków w chorobach rzadkich to jedno z wyzwań na rok 2020. – Liczymy na to, że w przypadku chorób rzadkich będzie prowadzonych więcej badań, również inicjowanych przez Agencję Badań Medycznych. Widzimy taką potrzebę społeczną. Jako agencja zajmująca się ocenianiem leków chcielibyśmy mieć więcej dowodów, które pozwoliłyby nam wydać pozytywną ocenę co do leczenia. A ostateczna decyzja jest w rękach pana ministra, który ma wyjątkowe umiejętności negocjacyjne z firmami farmaceutycznymi – potwierdził dr n. med. Roman Topór-Mądry, prezes AOTMiT.

CHOROBA INNA, LEK TEN SAM

Dla pacjentów z chorobami rzadkimi szansą może być sytuacja, gdy lek efektywny w jednej chorobie okazuje się też skuteczny w innym schorzeniu. Tak stało się w przypadku nintedanibu: leku, który jest w Polsce refundowany w idiopatycznym włóknieniu płuc, gdyż hamuje proces ich niszczenia. Opublikowane niedawno badania kliniczne wykazały, że ten sam lek może być skuteczny również w innych chorobach mogących przebiegać z włóknieniem płuc, np. w stwardnieniu rozsianym, a także w rzadkiej chorobie, jaką jest twardzina układowa.

To choroba autoimmunologiczna; objawy przypominające włóknienie najczęściej obejmują skórę, ale czasem również narządy wewnętrzne, w tym płuca. Powoduje to ich włóknienie, prowadzące do niewydolności oddechowej. Lek spowalnia tempo zmian zachodzących w płucach.

– W Polsce na twardzinę choruje 5400 osób, u ok. 30 proc. objawy dotyczą płuc. Stosujemy klasyczne leki, za pomocą których jednak nie zawsze udaje się opanować chorobę, dlatego nowy lek na pewno poprawiłby sytuację. Czekamy na rejestrację EMA w tym wskazaniu, a potem na jego refundację w Polsce – mówił prof. Marek Brzosko, krajowy konsultant w dziedzinie reumatologii.

NARODOWY PLAN

W przypadku chorób rzadkich ważne są nie tylko leki, ale też to, by pacjent trafił do właściwego ośrodka. Niezbędna jest też współpraca między specjalistami; w przypadku twardziny są to reumatolodzy i pulmonolodzy, w przypadku dystrofii Duchenne'a – m.in. neurolodzy, kardiolodzy. Niezbędna jest też ukierunkowana na dane schorzenie pomoc fizjoterapeutyczna. Przede wszystkim jednak pacjent musi być pod dobrą opieką. Taką właśnie kompleksową opiekę (diagnostykę, leczenie, rehabilitację, edukację, pomoc psychologiczną) zakłada Narodowy Plan na rzecz Chorób Rzadkich, na którego przyjęcie czekają pacjenci i ich rodziny. Jego realizacja to jedno z większych wyzwań na rok 2020.

FOT. ADOBE STOCK

Rzadkie, ale ważne

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1425b3815a

RYCERZE I WARCHOŁY

Niedźwiadek Jana Kazimierza

JACEK KOMUDA

Jedną z największych sensacji, o których opowiadano po dworach całej XVII-wiecznej Europy, było to, że na dworze Jana Kazimierza przebywał chłopiec wychowywany przez niedźwiedzicę i zwany swojsko „Niedźwiadkiem". Zdawać by się mogło, że opowieści o nim można by włożyć między bajki, razem z upiorami i ze strzygami, gdyby nie to, iż zachowało się kilka niezależnych przekazów źródłowych.

O owym dzikim dziecku pisał pod 1662 r. Jan Chryzostom Pasek, który często bywał u króla: „Był tam niedźwiadek, a raczej z postaci człowiek, około lat 13 mający, którego w Litwie […] Marcjan Ogiński żywcem osocznikom kazał do sieci nagnać i złapać z wielką strzelców szkodą; bo go niedźwiedzie srogo bronili, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziej broniła, znać, że to była jego matka. Tę, skoro osocznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był taki właśnie, jaki powinien być człowiek, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale człowiecze paznokcie". Nikt na dworze nie wiedział, jak to się stało, że dziecko wychowało się w lesie, wśród dzikich zwierząt. Jedni sądzili, że musiał narodzić się ze związku człowieka i niedźwiedzia, inni uważali, że niedźwiedzica porwała gdzieś chłopczyka, który przybrał podobieństwo zwierzęcia. Odmieniec nie miał ludzkich obyczajów ani odruchów. Pewnego razu królowa Maria Ludwika podała mu pocukrowaną łupinę z gruszki, specjał, którego próżno by wówczas szukać w chałupie czy na zaścianku. Niedźwiadek zaś „z wielką ochotą włożył do gęby; posmakowawszy, wyplunął to na rękę i ze ślinami cisnął królowej między oczy. Król począł się śmiać okrutnie. Królowa rzekła coś po francusku; król jeszcze bardziej w śmiech. Ludwika, poszła od stołu; król też na ową furią kazał nam wszystkim pić, wina dawać".

FOT. WIKIPEDIA

Pasek nie wiedział, jaki był dalszy los osobliwego sługi, wspominał tylko, że zaczął się uczyć mowy. O niedźwiadku pisał też szczegółowo Bernard O'Connor w historii Polski. Podaje jednak nieco inną wersję jego schwytania. Otóż w lasach w pobliżu Grodna oddział żołnierzy znalazł wśród niedźwiedzi dwóch chłopców. Jeden z nich uciekł na pobliskie bagno, drugi został złapany i przewieziony do Warszawy, gdzie go ochrzczono i nadano mu imię Józef. Niestety nie dało się go ucywilizować: „Jadł surowe mięso, miód dzikich pszczół, dzikie jabłka i inne przysmaki niedźwiedzi, tak jak i one chodził na czterech nogach. Po chrzcie z wielkim trudem nauczono go stać wyprostowanym, jeszcze mniej nadziei było na nauczenie go języka polskiego". Król traktował go jako osobliwość przez długie lata, wreszcie podarował go podkanclerzemu Piotrowi Opalińskiemu, który zatrudnił nieszczęśnika w kuchni, gdzie chłopiec nosił wodę i drewno. O'Connor spotkał go w 1669 r., a więc siedem lat po tym, kiedy widział go Pasek. Niedźwiadek przebywał wówczas w klasztorze, a lekarz opisuje spotkanie tak: „Ujrzałem bawiącego się chłopca w wieku około 12–13 lat. Widząc mnie, podskoczył ku mnie, jakby zaskoczony i zaciekawiony mym ubiorem. Najpierw chwycił jeden z moich srebrnych guzików, zbliżył go do nosa i obwąchał. Nagle skoczył do kąta i zaczął wydawać dziwny dźwięk, który przypominał wycie. Wszedłem do budynku, gdzie służąca powiedziała mi o tym, w jaki sposób pojmano chłopca […] i pokazała mu wielki kawał chleba. Zobaczywszy to, chłopiec natychmiast wskoczył na czworaka na ławę przytwierdzoną do ściany. Następnie podniósł się gwałtownym ruchem na nogi, wziął chleb w ręce, zbliżył go do nosa, obwąchał, zeskoczył na ziemię i znowu wydał ten dziwny dźwięk".

O'Connor pisał, że w Polsce, a zwłaszcza na Litwie, bardzo częste były przypadki znajdowania dzieci wychowywanych przez niedźwiedzie lub inne zwierzęta. „W Królestwie – podawał – powszechnie i bezdyskusyjnie przyjmuje się, że dzieci rzeczywiście są karmione i wychowane przez niedźwiedzie. Mówią również, że jeśli głodny niedźwiedź znajdzie beztrosko zostawione dziecko, rozerwie je natychmiast na strzępy, lecz jeśli znajdzie je niedźwiedzica, przystawi je do piersi, zabierze do swego legowiska i wykarmi razem ze swoimi małymi. Po pewnym czasie takie dziecko może zostać uratowane przez myśliwych".

Nie wiadomo, jak potoczył się dalszy żywot niedźwiadka; królewski sekretarz i francuski szpieg Pierre des Noyers podawał, że stał się niebezpieczny i musiano zakuwać go w łańcuchy. Znaczyłoby to, że z dworskiej osobliwości pokazywanej gościom i zagranicznym posłom przeistoczył się w niebezpieczne i zarazem nieszczęśliwe stworzenie. Być może należałoby odesłać go na powrót do lasu. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

ZIEMNIACZANE BOMBY WITAMINOWE MAŁGORZATY PUZIO

Jednym z moich ulubionych warzyw jest ziemniak. Nieprawda, że tuczy – w 100 g gotowanych ziemniaków jest tylko 80 kcal. Tuczą zawiesiste, maślane, śmietanowe, mączne sosy do ziemniaków. No i oczywiście chipsy! Polecam ziemniaki gotowane na parze w specjalnych woreczkach z dodatkiem kilku kropel dobrego oleju, np. rzepakowego lub z lnianki, soli i suszonych ziół. A jeżeli gotuję tradycyjnie w wodzie, to staram się pamiętać o wrzucaniu na wrzątek, w małej ilości wody. Nie wolno gotować zbyt długo, ponieważ ginie np. witamina C.

Polecam bardzo praktyczne i zdrowe faszerowane ziemniaki kiełkami, czyli bomby witaminowe. Można je podawać do pieczonego mięsa, kotletów czy ryby lub jako przekąskę.

Przygotowanie:

Myjemy i gotujemy duże ziemniaki ze skórką, kroimy na pół, wydrążamy miąższ, delikatnie podsmażamy połówki ziemniaka lub podpiekamy. W tym czasie przygotowujemy kolejne farsze (po prostu łącząc i doprawiając wszystkie składniki) i gorące jeszcze wydrążone ziemniaki faszerujemy. Podajemy po cztery na osobę, polewamy ulubioną oliwą lub olejem, posypujemy ziołami – najlepiej świeżymi, ale mogą też być suszone (prowansalskie, cząber, lubczyk, majeranek, bazylia, tymianek). Nie zapiekamy, ponieważ kiełki i inne składniki stracą swoje wartości odżywcze. Pięknie wyglądają na stole i są zdrowe.

Składniki:

- Na każdą osobę po cztery średnie, ugotowane i opieczone, wydrążone ziemniaki w łupinie.
- Bomba witamin A+E: łyżeczka masła, łyżeczka majonezu, jajko na twardo, mała garść kiełków lucerny, sól, pieprz.
- Bomba witaminy B: mała garść kiełków fasoli mung (posiekanych), 10 cm kaszanki (wcześniej podsmażonej) lub 50 g kostki sojowej wcześniej ugotowanej, łyżka drobno posiekanej cebuli, czerwona czubryca do smaku.
- Bomba witaminy C: mała garść kiełków rzodkiewki, 100 g tłustego białego sera, posiekana natka pietruszki, łyżka posiekanej czerwonej papryki lub rzodkiewek, sól.
- Bomba witaminy D: mała garść kiełków słonecznika (posiekanych), 3 szprotki lub 100 g wędzonego łososia albo makreli, garść tartego żółtego sera, łyżka oleju słonecznikowego. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM MAŁGORZATY PUZIO

Małgorzata Puzio jest aktorką, prowadzącą programy kulinarne, autorką książek kulinarnych. Więcej jej naturalnych i autorskich przepisów można zobaczyć na vlogu: www.youtube.com/bezprzepisu

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Spacer w lesie

Jeśli na spacerze, np. w Lesie Kabackim, spotkają państwo osobników wyposażonych w plastikowe torby, z pozoru nieprzydatne w czasie spaceru, to być może będą to moi znajomi z kręgu tzw. zbieraczy śmieci. Nie, nie chodzi o tych, którzy każdy znaleziony przedmiot zanoszą do mieszkania, gdzie odkładają go na patologiczne składowisko (zjawisko nosi nawet fachową nazwę syllogomania). To będą po prostu anonimowi, niezrzeszeni zbieracze amatorzy, którzy nie potrafią przejść spokojnie obok śmieci leżących na ziemi. Niektórzy, bardziej profesjonalni, wyposażeni są w specjalny chwytak. (Do nabycia przez Internet, polecam).

FOT. ADOBE STOCK

Jestem jednym z nich. Wyposażona w torebkę, a gdy nie zapomnę, to i rękawiczki, wyruszam w trasę. Przy okazji jako socjolog amator gromadzę dane do mapy konsumpcji i rozrywek w moim regionie – południowej Warszawie, ulubionym terenie weekendowej rekreacji.

Trofea bywają różne. W sezonie grzybobrania prawie każdego dnia powszedniego można spodziewać się obfitości małpeczek po trunkach. Po weekendzie w utargu mam butelki po piwku – to żniwo po spacerowiczach pieszych. Z kolei kochający sport rowerzyści znaczą trasę butelkami po napojach energetyzujących i wodzie mineralnej. Piją dużo, niezależnie od sezonu. W lecie w okolicznych zagajnikach królują minigrille. Po nich zostają zestawy plastikowych sztućców, talerzy, butelek po napojach, także wyskokowych, pety, resztki jedzenia, torebki foliowe. W pobliżu chusteczki higieniczne wyznaczają miejsca, gdzie nastąpiła przemiana materii, rzecz zrozumiała, po konsumpcji…

To wszystko detaliści. Z nimi codzienna praca u podstaw daje sobie radę. Gorsi są hurtownicy – ci nie bawią się w wyrzucenie jednej małpeczki. Przyjeżdżają w nocy furgonetką i na leśnej ścieżce wyrzucają, co tam mają: sedes, worek zaschniętego cementu, potłuczone kafelki, połamany kubeł pełen gipsu, nieprzydatne po zakończonej budowie gumiaki. Kiedyś wkładałam rękawiczki i grzebałam w tym wszystkim, żeby znaleźć kwit na winowajcę. Rachunek, list, kopertę. Dziś już nie zawracam sobie głowy – sprawę zgłaszam na aplikację 19 115, podaję miejsce i opis wysypiska.

I daję słowo – zbierają.

Jest jedno zjawisko, którego nie potrafię sobie wytłumaczyć. Ławka w parku/lesie, obok niej kosz na śmieci. A tuż przy nim butelki po piwie i kupka petów.

No niech mi ktoś powie: Dlaczego? ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

RPO Mięsa

Tak, ja się oczywiście z państwem zgodzę, że lewica została wynaleziona w celu usankcjonowania władzy elit nad tym odrażającym pospólstwem, fuj! Naturalnie możemy dyskutować, czy to elity nowe, czy wielce szlachetne, czy cyniczne w perfidii przewartościowania wartości, dekadami możemy rozprawiać (ja akurat nie mam dziś czasu, bo muszę zrobić skośne brzucha) nad łagodnością wprowadzanego przez lewicę dobrowolnego niewolnictwa i odbierania wolności oraz et cetera. Nie zmieni to jednak znamiennego faktu, że Sylwia Spurek chce, żeby mięso było droższe i wyroby odzwierzęce także. Tak, wiem, że państwo doskonale wiedzą, kto to jest pani Spurek, więc utrwalę. Pani Spurek jest prawnikiem, politykiem, feministką i była zastępcą rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. O! Przepraszam! O! Co ja głupi napisałem! O! Pani Spurek była zastępczynią (!). O! Przepraszam, pani Sylwio!

Pilnie śledzę wypowiedzi pani Spurek, bo zachwyca mnie także Eugène Ionesco i np. jego „Łysa śpiewaczka", chociaż cytaty pani Spurek są wyrazistsze. Zresztą proszę porównać, oto cytat z pani Spurek: „Z mlekiem nie jest jak z moczem, nie daje się bez przyczyny. No, krowy są gwałcone, żeby zostać zapłodnione", a tu cytat z twórcy teatru absurdu: „Popatrz, już dziewiąta. Na kolację była zupa, ryba, kartofle ze słoniną, angielska sałata. Dzieci napiły się angielskiej wody. Dobrą mieliśmy dzisiaj kolację. Wszystko dlatego, że mieszkamy niedaleko Londynu i że nazywamy się Smith". Przyznać trzeba, że pani weganka Spurek dużo lepsza. No i lepiej zarabia, bo jest jednak europosłanką.

Wróćmy jednak do tego, że pani Spurek chce, żeby mięso było drogie. Myślę sobie, że to jest bardzo szlachetne z jej strony, bo te zwierzątka takie biedne. No, ale ja to jestem prosty, a ludzie bardziej ode mnie przenikliwi mówią mi dobrotliwie: „No co ty, Sławciu, wszakże ta pani oczy tobie mydli. Jak mięso będzie drogie, to się utworzy elita mięsna. Biedaki będą wege, a bogaci mięsożerni, Sławciu, no co ty".

No to ja tak myślę i myślę na tej siłowni i myślę, że może to i racja? I tak mi przychodzi do głowy (głowa to ważna część ciała, kulturyści nią jedzą), że jak pani Spurek pokazała się w takim pasku od pewnego Louisa, który nie dość, że ze skóry zwierzęcej, to kosztuje ponad 3 tys. zł. Oznacza to, że na pewne wyroby to stać tylko elitę lewicy, a biedny lud broniony przez ten fragment lewicy ma jeść trawę dla ogólnego dobra. Postulując więc utworzenie instytucji Rzecznika Praw Obywatelskich Mięsa i wysuwając naturalną kandydaturę pani Spurek, idę na steka z nowym postanowieniem: zapytam przed smażeniem, czy on, ten stek, chce być blue, rare, medium czy well done, i obiecuję, że wysłucham, żeby rzeczniczka była ze mnie dumna. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Zakupowe samarytanki

Wydawać by się mogło, że epoka „wyzwań" (challenge) w mediach społecznościowych minęła wraz ze schyłkiem mody na wylewanie zimnego kubła wody na głowę w celu… uświadomienia światu choroby ALS. Internet nie znosi jednak próżni, dlatego co jakiś czas pojawiają się kolejne odmiany celebryckiego aktywizmu, który zaczyna się i kończy na opublikowaniu wzruszającego zdjęcia na Instagramie. Nie inaczej, choć zapewne intencje były szczytne, stało się z akcją #ShoppingForAustralia.

Otóż Izabela Janachowska, prezenterka TVN Style podpisująca się jako „Wedding Expert" („ekspertka od wesel"), wpadła na następujący pomysł. „Wierzę, że małe gesty mają wielką moc – drobna kwota, równowartość Waszych ostatnich zakupów, przekazana na walkę z żywiołem w Australii może pomóc uratować wiele istnień. Zróbmy to razem!" – zaapelowała pod fotką z dzieckiem. Jak stwierdziła prezenterka, synek ma już dziewięć miesięcy, wyrósł mu pierwszy ząbek, a „jego uśmiech jest bardziej rozczulający niż dotychczas". Janachowska marzyła zatem wraz z mężem, że „pokaże mu cały świat – piękny, różnorodny, kolorowy", ale „pęka jej serce, że przez działania ludzi nie będzie mógł poznać wielu miejsc, które ich zachwyciły".

Naturalnie całość opatrzono stosownymi hasztagami, takimi jak #motherhood, #loveiseverything, #babyboylove i gdzieś tam na końcu #helpaustralia.

Ekspertka od wesel, dając przykład, zadeklarowała przy tym, że przekaże Australijczykom 600 zł, czyli równowartość jej ostatnich zakupów w drogerii kosmetycznej. Wiedzą państwo, takie drobne na waciki. Do całej akcji nominowała również koleżanki: Małgorzatę Sochę, Natalię Siwiec i Małgorzatę Rozenek-Majdan. Celebrytki, nie czekając długo, ruszyły do zakupowego szaleństwa, aby im więcej kupując, tym więcej przekazać na misie koala i kangury. „Wszyscy wiemy, jaka tragedia rozgrywa się w Australii, i fajne jest to, że dużo o tym rozmawiamy, a przy okazji rozumiemy, do czego potrafią prowadzić zmiany klimatyczne. Jednak jeszcze bardziej niż gadanie lubię robienie, więc zachęcam was do udziału w moim challenge'u" – motywowała inne kobiety Janachowska na dodawanych na Instagramie filmikach.

Gdy po kilku godzinach okazało się, że tzw. zwykli ludzie znaleźli jednak luki w logice „kupuj więcej, ratuj świat" oraz delikatną nutkę hipokryzji we wrzucanych zdjęciach z egzotycznych wakacji (ślad węglowy!) przy jednoczesnym narzekaniu na antropogeniczne źródło zmian klimatu, niektórzy wycofali się ze wszystkiego. „Większość z was nie zrozumiała idei akcji" – stwierdziła Rozenek-Majdan, której zdaniem cały „czelendż" miał zwrócić uwagę na problem konsumpcjonizmu. No to zwrócił, ale na problem z celebrytami. Też coś. ©℗

eprasa.pl 1425b3815a

Poczta Polska

Początki Solidarności w Polsce

– NSZZ Solidarność – 40-lecie – Emisja 27.01

Poczta Polska nawiązuje do historii kraju od samego początku jego państwowości. Upamiętniamy wybitne osoby, wydarzenia i miejsca, w których Polacy odegrali znaczącą rolę. Miniatury sztuki, jakimi są znaczki, kartki i koperty FDC* oraz foldery filatelistyczne pełnią istotną rolę kulturową i społeczną.

**FDC (ang. first day cover, FDC) – koperta z naklejonym znaczkiem pocztowym, ostemplowana (zazwyczaj stemplem okolicznościowym) w pierwszy dzień obiegu znaczka.*

eprasa.pl 1425b3815a

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Teorie spisku

Jestem historykiem, więc wierzę w spiski. Zresztą nie jest to kwestia wiary, ale wiedzy. Historia obfituje w zmowy, knowania i tajne protokoły. Dość wspomnieć wszystkie cztery konwencje rozbiorowe podpisywane (trzy pierwsze) w Petersburgu i Moskwie (jedna) – ta ostatnia z 23 sierpnia 1939 r. – od XVIII do XX w.

Przeżycie pod tytułem „aktywność dydaktyczna" dodatkowo utwierdziło mnie w tym, że coś jednak jest na rzeczy. O istnieniu drugiego dna w historii utrwalonej na kartach podręczników przekonywali mnie niejednokrotnie autorzy egzaminacyjnych prac z przedmiotu historia Polski w XX wieku. Jeden z nich na pytanie o udział Polaków w działaniach zbrojnych w czasie drugiej wojny światowej odpowiedział literalnie tak: „Polacy walczyli bohatersko w czasie drugiej wojny światowej. Pierwszym przykładem była obrona Westerplatte, które 1 września 1939 r. zostało zaatakowane przez Armię Czerwoną, ponieważ Sowieci podejrzewali, że Polacy przetrzymywali na Westerplatte najnowsze technologie wojskowe". Praca była pisemna, a dokopanie się przez autora do drugiego dna wydarzeń związanych z początkiem ostatniej wojny tak brawurowe, że niemożliwe, aby je zapomnieć. Nawet po latach. Kto wie, może ten student znalazł później zatrudnienie jako kremlowski konsultant, sądząc po niezobowiązującym stosunku do prawdy o genezie wybuchu drugiej wojny światowej.

Powróćmy jednak do spisków. Wydarzenia związane z ostatnią eskalacją napięcia na Bliskim Wschodzie i Środkowym Wschodzie po zabiciu przez Amerykanów gen. Sulejmaniego i ostrzale przez Iran baz amerykańskich w Iraku stały się pożywką dla rozkwitu kolejnych teorii „wyjaśniających prawdziwe tło" tych wydarzeń. Można je podzielić na parę grup.

Pierwszą nazwałbym powtórką scenariusza filmowej „Teorii spisku" z Melem Gibsonem i Julią Roberts. Analogia nasunęła mi się, gdy obserwowałem dziwne natężenie wydarzeń w nocy z 7 na 8 stycznia i cały dzień 8 stycznia. Światowe media skupiły się na trzech: ostrzale amerykańskich baz, katastrofie ukraińskiego boeinga w Teheranie i oświadczeniu prezydenta Trumpa. Prawie niezauważona została natomiast wiadomość o trzęsieniu ziemi akurat w rejonie, gdzie znajduje się irańska elektrownia atomowa. Wstrząsy sejsmiczne były odczuwane tylko tam.

Czy ktoś z państwa przypomina sobie, że w filmowej „Teorii spisku" kluczowa wiadomość, na którą przede wszystkim zwrócił uwagę główny bohater – tropiciel drugiego dna zza oficjalnych medialnych newsów – dotyczyła korelacji między wizytą prezydenta USA w Turcji i oczekiwanym (tylko przez tego, jak się wydawało, domorosłego analityka – wariatuńcia) trzęsieniem ziemi w tym kraju? To, co wydawało się fantasmagorią dziwaka, stało się faktem.

Przypomniałem sobie ten motyw w kontekście trzęsienia ziemi wokół irańskiej elektrowni atomowej i dywagacji światowych mediów, „jaka teraz będzie odpowiedź USA po ataku na ich bazy?". Jaka ulga zapanowała po „deeskalacyjnym" przemówieniu Donalda Trumpa, gdy okazało się – jak mogliśmy przeczytać na czerwonych paskach – że „Stany Zjednoczone nie odpowiedzą militarnie na ostrzelanie ich baz przez Iran". Hm, czyżby naprawdę nie odpowiedziały?

Albo weźmy spiskową teorię „układową", wedle której to, co mogliśmy obserwować na ekranach telewizorów i komputerów od chwili zabicia przez Amerykanów Sulejmaniego, było jedynie realizacją wcześniejszych ustaleń amerykańsko-rosyjskich, które zakończyć się miały przyjęciem zasady „wy [Rosjanie] bierzecie Syrię, a my [Amerykanie] dostajemy wolną rękę w Iranie". Ciekawe, czy ktoś pamięta, gdzie akurat przebywał Władimir Władimirowicz, gdy spadały rakiety na amerykańskie bazy w Iraku, a ziemia trzęsła się w określonym miejscu (jednym z 52 wcześniej wyznaczonych?) w Iranie? Zgadza się. Akurat był przejazdem w Syrii w drodze do Turcji.

Są ludzie, którzy do dziś wierzą, że za zatonięcie „Titanica" i zabójstwo J.F.K. odpowiadają jezuici. U nas zaś nie od dziś wiadomo – dość poczytać i pooglądać media „światłych i fajnych ludzi" – że za wszystko złe odpowiada Jarosław Kaczyński. Począwszy od zmian klimatycznych, a skończywszy na wirusie ASF. Kto wie, może się okazać, że i tym razem za sznurki pociągał prezes, który irańskimi rakietami chciał „przykryć" przełomowe konsultacje marszałka Grodzkiego w Brukseli. I co gorsza – „przykrył". ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 1425b3815a

Bestie

fot. Jerzy Gumowski

Pod koniec listopada 2019 w Lublinie 38–letnia Monika S. z Bractwa Miłosierdzia im. św. Brata Alberta została oskarżona o *„zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem”*, gdyż obezwładniła kołdrą i udusiła swego 10–letniego synka. Parę dni później w Pensylwanii aresztowano 36–letnią Lisę Snyder, która powiesiła wewnątrz piwnicy dwójkę swoich dzieci (8–letniego chłopca plus 4–letnią dziewczynkę), a policji próbowała wmówić, że popełniły samobójstwo, lecz zdradził ją m. in. fakt, iż wcześniej szukała internetowo skutecznej metody wieszania ludzi. Takie tragedie uświadamiają szerokiemu ogółowi mocniej niż ciągłe medialne doniesienia o matkach mordujących swe noworodki, że pod względem okrucieństwa/zwyrodnialstwa kobiety niczym się od mężczyzn nie różnią. Ba! — według niektórych panie przewyższają panów na tym polu. By nie zostać posądzonym o mizoginizm, szowinizm i takie tam — rezygnuję z opinii samców na rzeczony temat i przywołuję jako eksperta damę, znaną salonową aktorkę Krystynę Jandę, która powiedziała w wywiadzie medialnym (lata 90–e XX wieku): *„ — Kobiety są nie tylko bardziej przewrotne, ale i dużo okrutniejsze od mężczyzn, brutalniejsze. Myślę, iż Szatan jest raczej płci żeńskiej”*. Notabene: czyż nie z tego powodu głośny włoski pisarz Curzio Malaparte twierdził, że Hitler jest kobietą?

Kobietom–bestiom poświęcono za minionych stuleci dużo tekstów, również beletrystycznych. Tadeusz Żeleński–Boy pisał o pani de Merteuil, bohaterce **„Niebezpiecznych związków”** Choderlosa de Laclos: *„Oto kobieta–demon, jeden z najbardziej rasowych, jakie wydała literatura. Dostać się w jej ręce nie radzę...”*. Tyle że markiza de Merteuil była demonem raczej buduarowym, bestią salonową, jej pazury rozrywały sakiewki i serca, nie zaś ciała. Silniej bolało nieszczęśników dostających się w ręce sadystek fizycznych. Jak ta — gdy już mówimy o rękach — z ukraińskiego dowcipu, Sara Cymmerman. Miała bardzo złą reputację, dlatego kiedy poinformowała na Facebooku, że złamała rękę, nikt nie pytał którą, lewą czy prawą, wszyscy pytali: komu?

Możemy sarkać, iż dowcipy à propos fizycznego bestialstwa nie są w dobrym tonie, lecz trudno coś poradzić na to, że istnieją. Często wychodzą z zakamarków *„służb”*, oto przykład. KGB prowadzi rekrutację kandydatów na zabójców. Po ostrej selekcji zostaje trójka: jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Ostatnia już, finałowa seria sprawdzianów. Pierwszy mężczyzna ma wejść do pokoju i zastrzelić własną żonę. Odmawia, więc zostaje wyeliminowany z konkursu. Drugi ma zrobić to samo. Wchodzi do pokoju, lecz chwilę później wraca chlipiąc i mówi, że nie może zabić ukochanej. Kobiecie polecają wejść do pokoju i zabić jej męża. Wchodzi, słychać strzały, później głuchy łomot i robi się cicho. Gdy drzwi się otwierają, instruktor pyta kobietę jak jej poszło. Ta tłumaczy: *„ — Nie wiedziałam, że daliście mi ślepe naboje, musiałam krzesłem go zatłuc”*.

Takich złowrogich *„żienszczin”* nigdy Kacapom nie brakowało, Dzierżyński lubił werbować je do CzK. Pisząc artykuł o *„czerezwyczajce”* i GPU (**„Ogoniok”** 2017) rosyjski publicysta Leonid Mleczkin wzmiankował rekordzistkę, która gołymi rękami zamordowała kilkuset *„wrogów władzy radzieckiej”*. Własnoręcznie setki osób uśmierciła też (m. in. topiąc) legendarna czerwonoarmistka Rozalia Załkind (po mężu Samojłowa), zwana *„Ziemlaczką”* (krajanką) tudzież *„Demonem”* (osobiście preferowała używanie tej drugiej ksywki). Antykomuniści diagnozowali to później jako tradycję mongolską. Co nie jest wykluczone. Swoim **„Opisaniem świata”** (1324) Marco Polo przedstawił m. in. wojowniczkę Khutulun, Mongołkę z rodu Kubilaj–chana, która głosiła, że odda rękę tylko takiemu mężczyźnie, który pokona ją w zapasach. Wszystkich, którzy próbowali (a próbowało wielu), dosłownie miażdżyła.

∞

Wincenty Pol (XIX w.):
„Aż tu diabeł babę niesie...”

∞

Dzieje ludzkości pełne są historycznych figur bab–potworów, od Messaliny (I wiek naszej ery), przez Claudię von Erthal (będącą XVIII–wiecznym pierwowzorem Złej Królowej alias macochy królewny Śnieżki z bajki Gimmów), po współczesne bestie pretendujące do miana *„queen of mean”* (jak zwana *„Sinobrodą”* i *„Czarną wdową”* Belle Sorenson Gunnes, która ukatrupiła 28 facetów, czy inna Amerykanka, prostytutka Aileen Carol Wuornos, która zabiła „jedynie” 7 gości — o niej Hollywood zrobił głośny film **„Monster”**, z Charlize Theron). Tego rodzaju monstra kobiece mordowały nie tylko dorosłych, exemplum Angielka Myra Hindley, która przy udziale swego kochanka zamęczyła na śmierć 5 małoletnich dzieci (najmłodsze miało 10 lat) w drugiej połowie XX wieku. Bywały również i wojenne mordy. Gdy parę dekad temu szalała w Peru czerwona partyzantka Sendero Luminoso, zabijając kogo popadnie, wieśniaków i ministrów, wszyscy wiedzieli, że najdziksze akty bestialstwa to robota członkiń Świetlistego Szlaku — że przy tych *„rewolucjonistkach”* ich towarzysze to mięczaki, bo zdarza im się okazywać litość, na przykład rannemu, a one każdego rannego maltretują i dorzynają.

Mitotwórcy ubiegłych stuleci najchętniej obdarzali swoistą zbrodniczą celebryzacją (to jest demonizowali jako żeńskie bestie) damy z wysokich arystokratycznych rodów, władające państwami lub przynajmniej prowincjami. Dla Europy zachodniej symbolem stała się tu *„Krwawa Mary”* (*„Bloody Mary”*) czyli Maria Tudor, a dla wschodniej *„Drakulanka”* Elżbieta Batory. Ta pierwsza, rządząca Anglią od 1553 roku, próbowała przywrócić w swym państwie katolicyzm (zniesiony decyzją jej ojca — króla Henryka VIII), za co znienawidzili ją protestanci, i to oni upichcili *„gędźbę”* o drapieżnej bestii na tronie, wkuwaną później przez wiele pokoleń angielskich uczniów. Szczególnie się tu oszczerczo zasłużyli dwaj pamfleciści anglikańscy czasów Elżbiety I (protestanckiej sukcesorki Marii Tudor) — John Foxe oraz John Knox. Foxe w swej książce **„Dzieła i pomniki angielskich męczenników”** uwypuklał grozę *„strasznych czasów krwawej królowej Marii”*, natomiast Knox w książce **„Pierwsze dźwięki surm zagrzewające do walki”** opisał Marię jako *„makabryczną i potworną Jezabel”*, za panowania której Anglicy musieli *„zginać karki pod jarzmem Szatana”*.

Z węgierską księżną Elżbietą Batory, *„panią na Karpatach”*, było odwrotnie — jej *„czarną legendę”* wysmażyli katolicy (konkretnie: jezuici), bo zmieniła wyznanie, stając się luteranką. Przez kilka wieków po jej śmierci (zmarła roku 1614) opowiadano, iż była wampirzycą, morderczynią kilkuset młodych panien (plebejek i szlachcianek), których krwią obmywała swe ciało dla ujędrnienia i wygładzenia skóry. Jej dzieje miały zainspirować Brama Stokera do napisania *„transylwańskiego horroru”* **„Dracula”** (1897). Dzisiaj już wiemy, że paszkwilanckie brednie wampiryczne o Elżbiecie wykreował jezuita László Turóczi w swym dziele **„Ungaria...”** (1729), opierając się na wcześniejszych pomówieniach jezuickich szkalujących księżnę nie tylko za luteranizm, lecz i za sympatie polityczne (m. in. wspierała mocno swego wuja, króla Polski Stefana Batorego).

O prawdziwych kobiecych bestiach (chociażby o kilku przywódczyniach karteli narkotykowych) nie dam już rady rozpisać się (z braku miejsca), ale powtarzam: ględzenie, że *„females”* charakteryzują się łagodniejszą naturą niż *„males”*, to bzdura, *„mowa–trawa”*, *„pic na wodę”* (tak mawiano dawno temu), czyli *„ściema”* absolutna (tak się dziś mówi slangowo). Koniec–kropka, ladies and gentlemen. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 1425b3815a

ORLEN

MOC i DYNAMIKA

Polecam paliwo

verva

eprasa.pl 1425b3815a